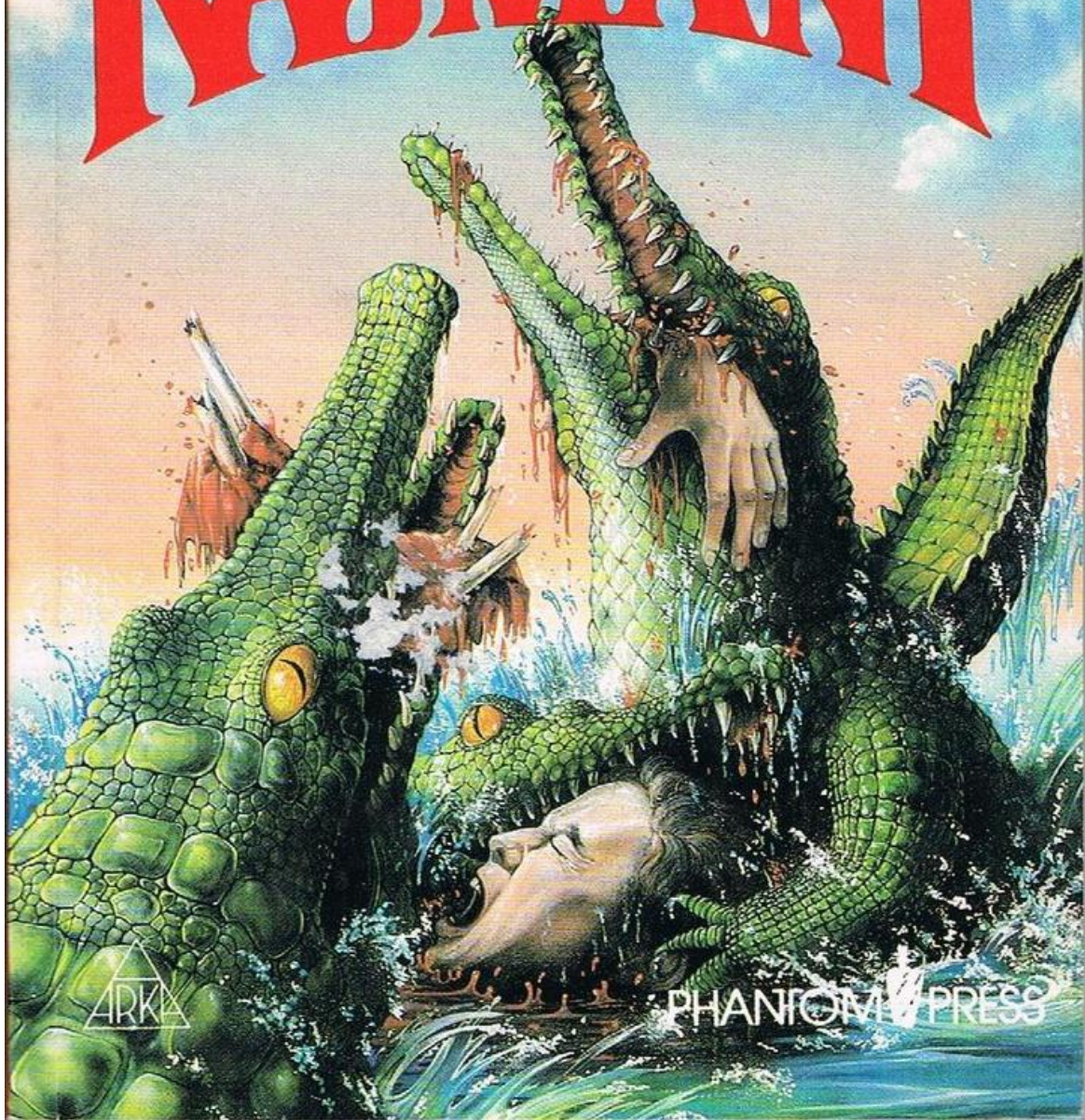


HORROR

GUY N. SMITH

KAJMANY



Guy N. Smith

Kajmany

Alligators

Tłumaczenie Andrzej Sawicki

1

Dwa kajmany odbyły gody na wiosnę. Potężna samica, której długość przekraczała dwanaście stóp na pewien czas zapomniała o sztucznym i nienaturalnym otoczeniu; prostokątnej, otoczonej czerwoną barierką sadzawce, karłowatej obcej roślinności, niczym nie przypominającej przepychu zieleni nad Amazonką, tak dobrze jej znajomej jeszcze przed osiemnastu miesiącami, i o nagich betonowych ścianach. Jedyne światlik w dachu przypominał jej o tym, że świat zewnętrzny ciągle jeszcze istnieje. W ciągu dnia przychodzili tu ludzie, by pogapić się na kajmany. Pożerali je wzrokiem, później zaś do zatechłej wody rzucali często różne przedmioty, zazwyczaj puste puszki, które podskakiwały na niewielkich falach i spływały wreszcie ku brzegom. Ale na krótki okres pod wpływem przemożnej potrzeby kopulacji i reprodukcji samica zapomniała o swoim uwięzieniu.

Samiec aż do tej pory trzymał się od niej na dystans, woląc na wpeł zanurzony leżeć w płytkiej wodzie po drugiej stronie basenu, jak gdyby nieświadomy jej istnienia. Był stworzeniem urodzonym w niewoli, nie wiedział nic o rzekach i bagnach, o czujnych ptakach wodnych, do których należało zbliżać się spod powierzchni ani o rybach, na które przy odrobinie przebiegłości też dawało się polować. Samiec obojętnie

przyjmował swoją dolę. Jego oczy nie wyrażały żadnych uczuć, aż teraz nagle zaskoczył go własny budzący się nieoczekiwanie instynkt. *Ona* jednak pamiętała, niespokojnie krążyła po klatce. Na swój sposób marzyła o wolności. Kiedy opanowała ją złość, gadzi mózg wyczarowywał mgliste wizje przeszłości nagie dzieci kąpiące się na przybrzeżnych płycznach, podczas gdy ich matki prały i rozkładały na skałach bieliznę do wyschnięcia; skradanie się i powolne zbliżanie wśród mętnej wody, wybór ofiary; uderzenie, nagły rzut do przodu i kłapnięcie potężnych szczęk; wrzaski i krzyki kobiet i dzieci uciekających na bezpieczny brzeg i zostawiających ofiarę, której buchająca krew plamiła purpurą kotłującą się wodę. Zapach i smak ludzkiego mięsa, delikatna dieta, na którą składały się ryby i ptactwo wodne były tym, co pamiętała i czego pragnęła.

Teraz jednak te dręczące wspomnienia zostały usunięte w cień przez demonstracyjne zachowanie się samca, który zaczynał dawać jej znać o swojej obecności. Obawiał się jej, wiedziała o tym, ale w tej chwili było to nieistotne – potrzebowała partnera. Początkowo wyczuwała zapach piżma, delikatny, podniecający aromat przenikający zatechłą wodę. Zapach płci, który wydzielały gardziel i odbyty samca, uderzająca jej do głowy woń. Obserwowała, jak wielki aligator sunął w jej stronę.

Czujnie zmierzył ją wzrokiem, potem zatoczył dookoła niej szeroki krąg, który zakończył ponownie na stromym zboczu sadzawki, gdzie spędzał większą część

dnia. Przez jakieś pół godziny obserwował ją, zanim wydał pierwszy dudniący ryk, przerażający dźwięk wzmocniony echem wewnątrz pustego kwadratu betonowych bloków. Jej żądza natychmiast się wzmogła, o czym świadczyły lekkie drgnienia łuskowatego ogona. Wbiła wzrok w jego oczy, a jej nieruchome spojrzenie sygnalizowało potrzebę zbliżenia.

Po upływie godziny samiec ryknął ponownie. Przerażający dźwięk sprawił, że inne żywe istoty zamieszkujące herpetarium pośpieszyły szukać ukrycia w swoich klatkach; setki przedstawicieli różnych gatunków jaszczurek i ryb, obawiając się swoje życie, gnane przerażeniem skryły się za kamieniami mizernymi roślinkami.

Samica wiedziała, że musi pójść ku swojemu towarzyszowi. Wydał rozkaz, któremu nie mogła się sprzeciwić: chodź tu, bo nadeszła pora. Gibka jak na swoje rozmiary, wsunęła się do wody i popłynęła na drugą stronę sadzawki. Teraz rozdzielała ich przestrzeń może jarda, patrzyli na siebie – była to gra niezbędna dla przedłużenia gatunku.

Nagle samiec drgnął. Jak na stworzenie tak z pozoru niezgrabne ruszył niewiarygodnie zwinnie, skacząc z gracją do wody i wzbudzając falę, która z szumem uderzyła o krawędzie sadzawki. Po zanurzeniu się zawrócił i oczekiwał, by samica odegrała swoją część rytuału.

Ona zaś pływała, okrążając go ze wzrastającą prędkością, bijąc pianę uderzeniami potężnego ogona. Następnie samiec pomknął za nią, rycząc, parskając, chrząkając i sapiąc z szeroko otwartą paszczą, kłapiąc szczękami w udanym gniewie.

Zwierzęta pływały coraz szybciej, wijąc się i skręcając, stykając się ze sobą, ale na krótko, bo samica uwolniła się, umknęła w bok i zawróciła ku samcowi. Jego zęby zazgrzytały na jej łuskach, lecz ponownie wymknęła się uchwytowi. Okrzyki samca były teraz głębokie, przepełnione gniewem i rozczarowaniem. Jego żądza narastała, a potężne ciało skręcało się w oczekiwaniu jedyne go sposobu zaspokojenia gwałtownej potrzeby.

Uchwycił ją wreszcie i obrócił, ale z całej siły odrzuciła go od siebie. Zanurzając się i wypływając na powierzchnię sprawiały, że plac poza barierką nieustannie zalewała woda. Karłowata i chorowita młoda palma trzasnęła i popłynęła miotana falami. Powietrze wprost przytłaczał zapach piżma, ciężki smród prymitywnych bestii, których ryki sięgały już najwyższych tonów.

I wreszcie ją miał, dwugłowy potwór miotał się na głębini, w dzikim akcie kopulacji. Samica jednak opierała się, dopiero w ostatniej chwili uległa; poddała się głosowi natury.

Rozdzieliły się wreszcie, on wrócił na swoje zwykłe leże, ona zaś unosiła się na wodzie jak ciemny pień

drzewa. Patrzyły na siebie płonącymi ślepiami: cykl życia będzie toczył się dalej.

Samica zaczęła budować gniazdo. Najpierw użyła gnijących roślin, które leżały w sadzawce przez całą zimę, zbierając je i spychając na płycizny jak najdalej odsunięte od obserwatorów, tworząc bezładny, ale zaskakująco solidny stos. Po kilku dniach pawilon aligatorów został zamknięty dla publiczności, a dozorczy w poplamionych błękitnych kombinezonach zaczęli taczkami przywozić gałązki wawrzynu i innych roślin trawiastych, przerzucając je później przez barierki.

Samica chętnie przyjęła ofiarowane jej zielsko, wciąż pilnie pracując. Budowane przez nią gniazdo rosło coraz wyżej, wystając w końcu więcej niż jard nad powierzchnią wody. Cały ten czas obserwowana była przez samca leżącego nieruchomo na wyższym brzegu i pogrążonego na całe godziny w takim letargu, że młody praktykant zapytał starszych kolegów, czy „ten wielki” jeszcze żyje. Następnie, pomijając codzienne karmienie, kajmany pozostawiono samym sobie. W nocy samica złożyła jaja, wdrapawszy się jakoś na szczyt liściastej budowli, w której wyszarpała płytką jamę – leżała tam przez jakiś czas, a potem wróciła do wody. Noc po nocy troskliwie wygrzewała jaja swoim ciałem, dopóki było to potrzebne. Na wolności złożyłaby ich prawdopodobnie trzy lub cztery tuziny, tu jednak, uwięziona, doświadczała uczucia niebezpieczeństwa i niepewności, wewnętrzny

nakaz ograniczył ją do tuzina. W tym obcym miejscu obawiała się o bezpieczeństwo potomstwa, nieustannie spoglądała na towarzysza, szukając w nim ochrony. Nie doczekała się jednak pożądanej reakcji. Wykonał swoje zadanie. zaspokoił potrzebę i nic go już nie obchodziło. Ponownie wyczuwała, że się jej boi, wzgardziła nim, przypominając sobie gwałtowność samców z wielkiej rzeki. Na krótko nawiedziła ją tęsknota za daleką ojczyzną i wolnością – ale trwała tylko chwilę. Jej zadanie dopiero się zaczynało.

Dni były teraz dłuższe, a ze świetlika lały się ciepłe promienie wiosennego słońca sprzyjające rozwojowi nowego życia w słonawej sadzawce. Samiec próbował wygrzebać jamę w dnie, ale po pewnym czasie zrezygnował, bo beton nie poddawał się jego wysiłkom. Wrócił więc do swojej półki i do obserwacji.

Podczas dnia w pawilonie zaczynało być duszno, a szkło wzmagало jedynie upał. Samiec i samica wygrzewali się oddzielnie, jedno ospale, drugie czujne i wyczekujące.

W końcu usłyszała od dawna wyczekiwane skrzeczenie, dźwięk, na który jej pierwotny instynkt przygotował ją od nocy, w której odbyła gody. W półmroku spokojnej czerwcowej nocy powoli ruszyła do przodu, podpłynęła do gniazda i zaczęła się na nie wspinać. Trzaskały martwe gałązki, odpadały kruche liście, dzieło wielu godzin pracy ulegało unicestwieniu,

błoniaste łapy pracowały celowo, ale delikatnie. Teraz skrzeczenie stało się bardziej gwałtowne i przypominało rechotanie żab w letni wieczór.

I oto świeżo wyklute małe były wolne, sześć istot potykających się i wijących wśród gnijącej roślinności, wpadających do wody, gdzie natychmiast wiedzione instynktem zaczynały pływać. Tłoczące się dookoła matki wyrosnięte jaszczurki szczyrzyły zęby i kłapały paszczami, wydając ostre, pełne podniecenia dźwięki, podczas gdy z półki bez większego zainteresowania obserwował je samiec. One go nie obchodziły.

Ludzie zjawiali się teraz nieco częściej. Ci odziani w znajome stroje robocze przynosili pożywienie, skrzynki śmierdzących ryb dla matki, siekane mięso dla małych. Obserwował je też człowiek w białym płaszczu, który pewnego razu zręcznie rzuconą podrywką wyłowił z wody malucha i oglądał go, mocno zaciskając jego małe, ale już niebezpieczne, mogące zadawać śmierć szczęki. Samica z rykiem rzuciła się na stalowe bariery, te jednak oparły się jej atakowi.

– No i co? – niespokojnie spytał wysoki człowiek w błękitnym serżowym garniturze, którego spodnie zatknięte były za cholewy sięgających do połowy łydek gumowych butów. – Czy nic im nie jest? Jak sądzisz, Philip?

– Czują się świetnie – mężczyzna o twarzy okolonej brodą uśmiechnął się, rzucając wijącego się gada z powrotem do basenu, gdzie mały szybko podpłynął do

rozjuszonej nadal matki. – Tak zdrowe jak w chwili narodzin, mr Kerr. ale proszę usłuchać mojej rady i kazać oczyścić ten basen.

– Chryste, co za smród!

– Uważa się, że aligatory nawykły do życia w brudnych rzekach. Nie oczekujesz chyba, Filipie, że da się oczyścić Amazonkę?

– Tam jest bieżąca woda – dobrze zbudowany mężczyzna mówił teraz nieco protekcjonalnie – w tym cała różnica. Ta sadzawka śmierdzi, nie uda ci się wyhodować zdrowych aligatorów w niezdrowym środowisku.

– Dobrze, dopilnuję tego. Dziwi mnie jednak, że wykluła się tylko połowa jaj.

– A mnie nie. – Philip Grant potrząsnął głową. – W niewoli rozrodczość nie może być zbyt wysoka. Tej samicy brak naturalnego otoczenia. Możliwe, że następnym razem uda ci się osiągnąć sześćdziesiąt procent. Ona jest swojego rodzaju piękną.

Weterynarz był smutny. Potajemnie nienawidził ogrodów zoologicznych i miejsc, w których trzymano zwierzęta w niewoli. Dla samicy kajmana było to więzienie, w którym miała odbyć dożywotni wyrok. Nigdy nie będzie mu dane wiedzieć, ile z tego pojmoowało zwierzę. Być może już zapomniała. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że sam się oszukuje. Ona zawsze będzie pamiętała o szerokim nurcie Amazonki i o wolności. Poskromiono jej instynkt łowiecki, ale on nigdy nie

zniknie całkowicie – chyba że skona samo zwierzę. „To diablo nieuczciwe” – pomyślał, ale było to wszystko, co mógł uczynić.

Dwaj mężczyźni wyszli, a samica skierowała swoją uwagę na młode. Przez następnych kilka tygodni niewiele będzie miała czasu na cokolwiek innego.

Samiec na półce tylko leżał i patrzył. Widział wściekłość towarzyszki, a jej wysiłek, by dopaść ludzi, rozbudził w nim pierwotny instynkt. Przez krótką chwilę doświadczał chęci mordy, potem uczucie to rozplynęło się w zwykłej obojętności.

2

Dziewczyna oparta o wilgotną betonową ścianę wyczuwała zapach własnego strachu, doznała pokusy ucieczki. Dookoła niej przemykali się inni, będący teraz tylko sylwetkami w mroku, a kauczukowe klepisko tego miejsca strachu i odrazy wydawało niegłośny, przypominający mlaskanie dźwięk.

Smukła figurka dziewczyny odziana była w ciemną kurtkę i dżinsy, poplamione teraz białą farbą z otwartej puszką, którą trzymała w dłoni, a jej długie czarne włosy opadły na ładną, mongolską w typie twarzyczkę, jak gdyby nieświadomie pragnęła się zamaskować. Jej matka była Chinką i wspominała coś Anglika, ojcu dziewczyny, Susie Lee jednak nie znała go wcale jej na tym nie zależało; już jako dziecko zmuszona była stawić czoło światu. Był to jeden z powodów, dla których znajdowała się tutaj – intruz w pawilonie przerażających gadów.

Dziesięć minut temu sprawa wydawała się dość bezpieczna. Ociekającą farbą nabazgrała niezgrabne litery w poprzek szyldu przy wejściu, zastępując znak „zoo gadów” napisem „Więzienie dla zwierząt”. Zrobiła to z prawie przewrotną satysfakcją, czuła przy tym, że postępuje słusznie. Nie było to gorsze niż wypad w ostatnim miesiącu, kiedy po drugiej stronie miasteczka uwolnili setki hodowlanych nerek z farmy futrzarskiej. Teraz jednak nieoczekiwanie zabawa straciła urok.

Tu wewnątrz oświetlał wszystko rodzaj zielonej poświaty, choć nie potrafiła odgadnąć, co było źródłem blasku. „Niesamowite” – pomyślała – „a to jeszcze nic w porównaniu z...”

Usiłowała nie patrzeć przez barierkę na sadzawkę, ale czuła się tak, jak gdyby woda wywierała na nią jakiś mroczny i wrogi efekt hipnotyczny. Wzdrygnęła się, usiłując oderwać wzrok, ale okazało się to niemożliwe. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że te wielkie, na wpół zatopione, pływające tam rzeczy były jedynie kłodami, potężnymi pniami zgniłych drzew, które zwały się do wody, podobne do tych w rzece przepływającej przez miasto. Ale tamte kłody nie miały oczu, które lśniły czerwono i obserwowały cię złowrogo.

To są aligatory, ostrzegał ją jakiś wewnętrzny głos, i jeśli wydostaną się na wolność, pożrą cię. Opuściła puszkę z farbą i usłyszała, jak toczy się po betonowej podłodze. „O Boże, jakąż cholerną jestem idiotką” – pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, czy jeszcze nie jest za późno, aby zwiać.

Usłyszała równomierny zgrzyt ostrza piły do metalu i z przerażeniem zobaczyła, że Maurice już zaczął ciąć bariery, które otaczały ten straszliwy basen. Nie, proszę, nie wypuszczaj tych straszliwych stworzeń, błagała bez słów. One są mordercami!

Klęczący Maurice Young gorączkowo piłował. Był to osobnik mały, chudy, o ostro rzeźbionej twarzy, przeciętej paskudną blizną, rezultatem bójki w knajpie, kiedy to pięć

lat temu rozbito mu na głowie kufel piwa. Zajączy wardze zawdzięczał wyraz nieustannej kpiny na twarzy, a jego długie, brudne włosy opadały mu teraz na kark. Dwaj inni młodzi ludzie stali w pobliżu i obserwowali go. Zjawiała się tu cała lokalna samozwańcza Grupa Walki o Prawa Zwierząt, której celem był sabotaż polowań i wszelki sprzeciw wykraczający poza dziedzinę spokojnych akcji protestacyjnych. Ich mottem było „Działanie”, zebrali się, by po raz kolejny zademonstrować światu swą obecność. Prasa na pewno nie omieszka wspomnieć o ich łamiącym prawo postępowaniu.

– Pieprzyć to! – Maurice przerwał. Oddychał ciężko, a jego twarz lśniła od potu. – Te kraty są kurewsko twarde!

– Daj mi spróbować – cierpiący na nadwagę młody człowiek, którego brzuch zwisał nad paskiem od spodni, wysunął się do przodu.

– Kev, odpierdol się, po pięciu minutach dostaniesz zawahu – warknął Maurice. Przy akompaniamencie jękliwego zgrzytu ponownie zaczął piłować. – Spadaj stąd, już prawie skończyłem.

– Masz jeszcze prawie tuzin przed sobą – ochryple zaśmiał się trzeci chłopak. – W tym tempie stracimy na to całą pieprzoną noc.

– Przyjdzie kolej na ciebie, nie martw się. – Przywódca grupy sapnął z ulgą, gdy stalowa podpórka puściła, a potem przesunął się ku następnej. – Rzymu nie

zbudowano w jeden dzień – a to dlatego, że nie budowałem go ja – dodał.

Susie cofnęła się ku drzwiom, uchyliła je na kilka cali, wyjrzała na zewnątrz. Ujrzała mały, służący odpoczynkowi park. Widoczne w głębi huśtawki i tunele z niespodziankami wyglądały jak dekoracje filmu fantasy, w którym króliki są wielkości lwów albo aligatorów. Czowała suchość w gardle i skurcze brzucha przygotowującego się do wymiotów. Chryste, pomyślała, nigdy nie zapomni widoku tych bestii w sadzawce. Małe były nawet gorsze – wyrosnięte pokryte łuskami jaszczurki, nieustannie kłapiące szczękami, jak gdyby rozkoszujące się możliwością zatopienia w tobie zębów. Była pewna, że ich niewielkie rozmiary umożliwiały im przedostanie się za barierkę, gdyby tego zapragnęły. Być może jednak pracownicy zoo liczyli na to, że małe wolały zostać przy rodzicach. Te małe diablęta na pewno mogłyby paskudnie ugryźć, pomyślała.

– Susie, filujesz na wszystko? – Maurice Young przeciął jeszcze dwa pręty i podał piłę ciemnowłosemu młodemu mężczyźnie imieniem Ian. Kev nadal pozostawał widzem.

– Rozglądam się – szepnęła w odpowiedzi, słysząc jednocześnie, że betonowe ściany wzmocniły jej słowa złowieszczym echem.

– Dobra. Filuj na nich!

Wolała wyglądać na zewnątrz. W ten sposób nie miała okazji patrzeć na aligatora.

„Kajmany” – oznajmiała tabliczka na zewnątrz drzwi. Przypuszczała, że była to nazwa gatunku, ale nieoczekiwanie dla samej siebie, wyteżając wzrok w tym niesamowitym świetle, odszyfrowała małe litery poniżej: „Kajmany są dzikimi krewniakami amerykańskich aligatorów, odznaczają się agresywnością” – dalej już nie czytała.

– Mam go!

Podskoczyła, lecz prawie natychmiast się rozluźniła. To po prostu łan dał radę następnemu stalowemu prętowi. Usłyszała, że piła jęczy ponownie.

Menażerię gadów oddzielał od ulicy wysoki płot. Uliczne światła rzucały pomarańczową poświatę, powodując powstanie ostrych, wyrazistych cieni. Z miejsca, w którym stała, mogła dostrzec kutą w żelazie bramę, dziwacznie wyglądające wejście, którego w żaden sposób nie można było uważać za bezpieczne. Przecięcie kłódki zajęło im zaledwie parę minut.

„Chryste” – pomyślała – „ty głupia kretynko!” Opryskiwanie farbą rzeźni i sklepów mięsnych wydawało się czymś niewiele groźniejszym od nieszkodliwych wybryków. Uwolnienie tych nerek, wypuszczenie ich na swobodę było aktem miłosierdzia, nawet jeśli wziąć pod uwagę fakt, że większość zwierzątek następnego dnia i tak została schwytana ponownie. Ale tym razem posuwali się za daleko. Aligatory były niebezpieczne, mogły kogoś zabić. W ten sposób, Susie Lee, staniesz się morderczynią.

Jej ciemna bluzka była wilgotna i przylegała do ciała, dziewczyna chciałaby teraz mieć pod ręką jakiś dezodorant. „Możesz stąd uciec” – powiedziała sobie – „nie ma nic, co mogłoby cię zatrzymać. Brama jest otwarta, możesz prysnąć na ulicę, nic cię tu nie trzyma. Nawet Maurice Young”.

I tak myśli Susie wróciły do Maurice’a. Spotkała go w Londynie na odbywającej się w Hyde Parku manifestacji przeciwko krwawym sportom. Przyłączyła się w zasadzie z nudów, z tego samego powodu tydzień wcześniej brała udział w marszu protestacyjnym na rzecz rozbrojenia nuklearnego. Z jej punktu widzenia posiadanie broni nuklearnej – o ile powstrzymywało to Rosjan przed użyciem swojej – było po prostu rozsądne, ale jednak przyłączyła się do marszu. Gdy jesteś samotny i żyjesz z zasiłku społecznego, przyłączanie się do hałaśliwego tłumu i protestowanie przeciw temu lub owemu w pewnym sensie dodaje ci wigoru. Wzbogaca to twoją osobowość, myślała wtedy – albo ją tworzy, jeśli przedtem jej nie miałaś. Nie było się już dłużej zerem.

Maurice jednak, co nie ulegało wątpliwości, był zdecydowany położyć kres cierpieniom zwierząt – nie bacząc na nic, fanatycznie i obsesyjnie. Przedtem nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Na początku objawił się jej jako bohater, obrońca biednych, głupich stworzeń – choć nieco krzykliwy i przesadnie hałaśliwy. Inni go słuchali – w przypadku Susie to właśnie popchnęło ją na

początku ku niemu. Chciałaś tego czy nie okazywało się, że go słuchasz. Potrafił zasiać w twoim umyśle wątpliwości dotyczące tego, w co wierzyłaś. I dotyczące również ciebie samej.

Skończył szkołę średnią, studiował też na uniwersytecie. Wiedziała, że prawdopodobnie zrobiłby dyplom z fizyki, gdyby nie wyrzucili go za udział w studenckich demonstracjach. Zaatakował wykładowcę, który odmówił podpisania petycji wzywającej do zakazu wiwisekcji.

Susie pracowała wtedy na pół etatu w supermarkecie. Miała szesnaście lat i była jeszcze dziewicą – dopóki nie poznała Maurice'a. Ukryta w pomarańczowo zabarwionym półmroku westchnęła z tęsknotą. Wtedy była szczęśliwa. Lub raczej była mniej nieszczęśliwa niż teraz.

Raz przynajmniej wszystko zdawało się układać pomyślnie. Supermarket przymierzał się do redukcji pracowników, ale związki zawodowe przekonały kierownictwo, żeby zamiast tego skrócić czas pracy. Susie więc powróciła do swojej klitki w Streatham z dostateczną ilością forsy, by zapłacić komorne i mieć na żywność.

Tego właśnie dnia Maurice wyłowił ją z tłumu i zaprosił do własnego mieszkania. Z całą pewnością nie był przystojny tak wówczas myślała – i gdyby nie jego dominująca osobowość, należałoby go zaliczyć do osobników dość brzydkich. Ale mówił nieustannie. Nie chodziło zresztą o samo mówienie. Po prostu jego słowa

uderzały w nią z impetem ciosów fizycznych. Jakiego rodzaju ludzki miał prawo, by dla własnych celów manipulować życiem zwierząt? Prawo, dobre sobie! Bezmyślny handel, skóry focze, kosmetyki. I te eksperymenty, których celem przypuszczalnie było znalezienie lekarstwa na raka. Rak miał swoje przyczyny. Żarcie mięsa chociażby. Stworzenia nadające się do zjedzenia zmuszono do cierpień od urodzenia. Kury stłoczone w klatkach, pozbawione ruchu, snu, nafaszerowane Bóg jeden wie jakimi świństwami i zarzynane, gdy wyczerpywała je do cna wymuszona pozycja siedząca. Prawie to samo dotyczyło bydła, któremu wstrzykiwano rakotwórcze substancje, zanim wydawano je na ostateczne okrucieństwo rzeźni. Ludzie zjadali je, dostawali raka, więc następnym krokiem okazywała się konieczność zadawania dalszego bólu i upokorzeń innym zwierzętom w celu znalezienia nań lekarstwa. Sadystyczny cykl. By go przerwać, należało przede wszystkim nie jeść mięsa.

Susie udawała, że cały czas była wegetarianką. W żaden sposób nie potrafiłaby przyznać się wobec Maurice'a, że jej codzienne pożywienie stanowiła najczęściej kanapka z szynką w kawiarni na High Road. Jednej rzeczy była pewna – w najbliższej dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie jadła szynki ani innego mięsa. Ale Maurice'owi nie dość było zwykłego wegeterianizmu – zapamiętały miłośnik zwierząt był zaprzysięgłym wegeterianinem. Powiadał, że nikt nie ma

prawa jeść sera czy pić mleka, ponieważ robiąc to, pozbawia się jagnięta i cielęta mleka ich matek. Jeśli nikt nie piłby mleka, cielęta pozostawiano by przy krowach i mogłyby dorastać w sposób naturalny. Miałyby swoją wolność, okrucieństwo zaś zniknęłoby na zawsze.

Trafiało to do przekonania Susie. Kiwała więc potakująco głową. Od ich pierwszej wspólnej nocy nigdy i w niczym nie sprzeciwiła się Maurice'owi. Nawet wtedy, gdy zaczął ją całować i obmacywać te części jej ciała, których przedtem nie dotykał żaden mężczyzna. Pozwoliła mu na wszystko, zupełnie się nie opierając. Nie bolało, jak tego podświadomie oczekiwała, ale również nie dało jej spodziewanej, nie znanej uprzednio, przyjemności. Tak naprawdę minęło kilka tygodni, zanim zaczęła znajdować upodobanie w seksie.

Przeprowadziła się do Maurice'a, ponieważ nie miało sensu utrzymywanie dwu kawalerek, skoro żyli razem. Potem nastąpiło dwanaście burzliwych miesięcy – wtedy właśnie jej kochanek dostał wyrok w zawieszeniu za posiadanie heroiny (był to już jego drugi wyrok), a Susie wykpiła się warunkowym wycofaniem oskarżenia przeciwko niej. Liczba członków Grupy Walki o Prawa Zwierząt rosła, kiedy Maurice ponownie przeholował. Zniszczył zapas wiejskiego sera w trzech oddziałach dużej sieci supermarketów, wlewając urynę do tuzina plastikowych rur zawierających dostawę z mleczarni z ukrytej w rękawie małej butelki. Tego samego popołudnia anonimowo zadzwonił na Fleet Street.

Następnego ranka on i Susie uciekli z Londynu, zmierzając na północ przez Euston. Później przesiedli się w Wolverhampton do innego pociągu i w końcu trafili do tego miasteczka. Niegdyś była to niewielka, żyjąca z handlu miścina, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat zmieniła się nie do poznania. Teraz była to mieszanina starego i nowego, na wpół drewniane domki zostały otoczone nowymi rezydencjami. Trzon, jaki stanowiła miejscowa ludność, został zdominowany liczebnie przez przybyszów mówiących z innymi akcentami. Było to miejsce, jak myśleli, w sam raz, aby się w nim ukryć, skoro metropolie okazały się dla nich niezdrowe.

Dopiero po kilku dniach pobytu w tym miasteczku–satelicie na peryferiach wielkiej aglomeracji Maurice Young odkrył, że ulegli panice uciekając. Pozostając na miejscu, byłiby znacznie bezpieczniejsi, gdyż jedynym dowodem, jakim dysponowała policja, okazał się portret pamięciowy sprawcy. Wykonano go na podstawie zeznań, złożonych przez kilku właścicieli sklepów, którzy widzieli mężczyznę kręcącego się w pobliżu stoiska z artykułami mleczarskimi. Maurice nie musiałby nawet obcinać włosów ani zapuszczać brody, by ukryć te paskudne blizny na twarzy. Zastanawiał się, czy informatorzy widzieli *jego*, czy po prostu usiłowali zyskać rozgłos dzięki oszustwu. Ale w końcu nie miało to znaczenia.

Susie i on pozostawali jednak w miasteczku. Oznaczało to stworzenie nowej grupy. A pozyskanie

zwolenników poza stolicą wcale nie było łatwe. W końcu zebrali grupkę mających szlachetne cele miłośników zwierząt, których główną intencją zdawało się być propagowanie ruchu wegetariańskiego.

– „Wegeci” – jak określał ich Maurice. Namówienie ich na przeprowadzenie wypadu na farmę hodowlaną wymagało całej jego elokwencji, jednak jedynymi, którzy zostali z nimi później, byli Kev i Ian. – No cóż, przynajmniej oddzieliło się ziarno od plew – powiedział Susie tej samej nocy. – Być może uda się działać więcej, jeśli pozostanie tylko nasza czwórka. Dobrze zorganizowane ataki w stylu komandosów potrafią wywołać znacznie lepszy efekt niż działania niezdyscyplinowanego motłochu przypominające „Wielką ucieczkę” w pełnym świetle dziennym.

Jednak dzisiaj Susie miała dosyć. Postanowiła wycofać się, zanim zdarzy się coś okropnego. Możliwe, że i tak było już za późno – pomyślała, słysząc, jak kolejna podpórka trzasnęła, potoczyła się po betonowej podłodze i z głośnym pluskiem wpadła do basenu. Kev dyszał głośno, a Maurice, biorąc od niego piłę, sklął go, nie przebierając w słowach.

Miała niejasną nadzieję, że ktoś tu się pojawi – nie policja oczywiście, ale może strażnik, który przeszkodzi im, zanim te przerażające i niesamowite stworzenia wydostaną się na wolność. Postanowiła uciec. Dokądkolwiek. I więcej już tu nie wracać.

– Ile jeszcze tych pieprzonych prętów? – Maurice był coraz bardziej zmęczony, a piłowanie szło coraz wolniej.

Usłyszała trzask metalu. Rura odbiła się od podłogi i plusnęła do wody.

– Phi! – Maurice Young cofnął się, chwilowo oślepiiony piekącym potem zalewającym mu oczy. – Teraz już mogą przeleźć. Chodźmy. Zostawmy drzwi i bramę szeroko otwarte. I jeśli te aligatory mają choć odrobinę rozumu...

Przygniatającą ciszę nagle przeszył przeraźliwy wrzask, okrzyk bólu i przerażenia, który ogłuszająco odbił się od ścian zamkniętej przestrzeni. Woda zakotłowała się, potem rozległ się ciężki, mlaszczący dźwięk, jak gdyby o marmurową płytę ktoś trzasnął dużą rybą, po czym nastąpiły wrzaski i jęki.

Susie Lee niemal zamarła w pół obrotu – ale nawet w tym momencie paralizującej obawy i strachu otworzyła jakoś drzwi. Nie chciała oglądać się za siebie, ale miejsce to w pewien sposób hipnotyzowało ją, przyciągając wzrok do sadzawki i jej otoczenia.

Jeden z kajmanów wychylał się już do połowy ze szczeliny w barierze zabezpieczającej, potwornym krokodylim kształtem zaznaczając swoją obecność na tle jaśniejszej wody. Ogon zwierzęcia nieustannie walił w kipiela wodną, ono samo zaś wydobywało się z sadzawki ze szczękami zaciśniętymi na czymś, co wilo się i szarpało. I bluzgało krwią. Kształt był nie do rozpoznania, ale Susie zorientowała się, kogo dopadło zwierzę – lub

przynajmniej tak jej się zdawało. Ponieważ Maurice i Kevin stali obok bladzi z przerażenia – to musiał być łań.

Samo przerażenie sparaliżowało obserwatorów na kilka sekund. Słyszeli odgłosy miażdżenia i trzaskania słabych kości, tępy łomot uderzającej o podłogę nogi w zakrwawionych spodniach i wrzaski ofiary tonącej we własnej krwi. Bestia szarpała się w wąskim przejściu i uderzając o kraty po jego obu stronach uwalniała się, rzucając głową jak rozjuszony smok, który mógłby zionąć ogniem, gdyby nie to, że miał pełny pysk.

Zza niej wylazł drugi kajman – potwór, który prychał, ryczał, rzucając głośno wyzwanie wszystkiemu dookoła. Po obu stronach zwierzęcia podążały małe, niechętnie oddalając się od matki, ale ciekawe świata leżące poza murami ich więzienia.

Teraz krzyczał Kevin... jedno z małych zamknęło szczęki na jego kostce. Próbował skopać je drugą nogą, stracił równowagę i wpadł do wody. Samica była już przy nim i węsząc krew, przypomniała sobie tych nagich, beztroskich amatorów kąpieli z odległej tropikalnej rzeki. Jednym straszliwym szarpnięciem nieomal na oślep przecięła obnażone ciało ofiary, rozdarła tors i rozerwała twarz.

Maurice patrzył z przerażeniem i niedowierzaniem na bestialskie kaleczenie i rozszarpywanie ciał ludzkich, na tę gadzią orgię śmierci. Zdawał sobie sprawę z tego, że w basenie są jeszcze inne stworzenia, znacznie więcej aligatorów, które podczas przecinania bariery pozostały

ukryte. – *Jezu Chryste, od wczoraj, kiedy oglądaliśmy basen, musieli go jeszcze dopchać!*

Odwrócił się i wrzasnął do Susie, aby uciekała, ale dziewczyny już nie było i tylko drzwi gwałtownie zakołysały się, gdy wyprzedzając o kilka jardów szarżującego samca, wyrwał się na zewnątrz. Przerażony dostrzegł przed sobą szeroko otwartą bramę, ku której pomknął, bo ścigał się o życie, przegrana zaś oznaczała śmierć.

Biegł, odwołując się do ostatecznych rezerw sił, wiedząc, że na twardej powierzchni ma pewne szanse, których nie miałby gdyby przyszło mu się ścigać na trawie. Aligator, któremu przeszkadzał żwir, zaryczał z wściekłości, potem wciąż rycząc, oznajmił towarzysze, że wolność była tuż–tuż.

Na opuszczonej ulicy Maurice się potknął. Po obydwu stronach drogi wznosiły się wolno stojące domki średnio zamożnych mieszkańców miasteczka, okolone ogródkami pokrytymi trawą i krzewami. Pięć lat temu były tu slumsy, potem ten teren przebudowano. Teraz w ciągu kilku minut przekształcił się w dżunglę z morderczymi bestiami czyhającymi w mroku.

Skreślił w prawo, odnajdując w sobie jeszcze nieco sił, by zwiększyć prędkość, i przebiegł obok zaparkowanych samochodów. Z zasłoniętych okien sypialni mijanych domów sączyło się światło, inne były pogrążone w mroku, a ich mieszkańcy spali w błogiej nieświadomości szalejącej w dole zgrozy.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Poczuł nagły dreszcz przerażenia na myśl, że Susie nie udało się uciec. Nie, na pewno jej się udało. Zwolnił, obejrzał się za siebie. Wielkie zwierzę stało na środku ulicy, tnąc wściekle powietrze długim ogonem, otwierając szczęki w kolejnym wibrującym ryku. Z tyłu za nim w różnych kierunkach śmigwały mroczne cienie. Duże i małe aligatory poruszały się na wszystkie strony, zaskoczone nieoczekiwanie uzyskaną wolnością. Rozbiegały się każdy w swoją stronę, zapominając na razie o ściganej zwierzynie. Zagubione w obcym świecie szukały schronienia. Najważniejszą dla nich sprawą stało się znalezienie kryjówki Maurice Young był o sto jardów od swojej kwatery, gdy usłyszał pierwsze syreny i ujrzał kawalkadę wozów policyjnych. Słyszał też głośnie wezwania, ale nie potrafił rozróżnić słów. Jęczały opony, zgrzytały hamulce.

Chwiejąc się z wysiłku, wlaź na górę po schodach, potem miał pewne kłopoty z włożeniem klucza do zamka, drżał bowiem cały i czuł, że za chwilę zwymiotuje.

Zanim otworzył drzwi, wiedział już, że Susie Lee nie ma w środku.

3

– No cóż, to przynajmniej coś *nowego* – detektyw inspektor Carver uśmiechnął się cynicznie, poklepał po zarośniętym policzku. Spojrzał na mapę miasta wykreśloną w dużej skali i przypiętą do ściany sali konferencyjnej Wydziału Śledczego. – Muszę jednak przyznać, panowie, że nie znam zwyczajów aligatorów, oczywiście pomijając skąpe wiadomości laika.

Philip Grant spojrział na Alexa Kerra. Właściciel zoo miał twarz bladą i ściągniętą. Według niego posiadanie niebezpiecznych, dzikich zwierząt decydowało o randze zoo. Nieoczekiwanie okazało się jednak, że kij ma dwa końce. – Myślę – przerwał, by zaciągnąć się cygarem, a pozostali zauważyli, że głos miał niepewny – że mr Grant najlepiej nadaje się, by objaśnić nam szczegóły, inspektorze – rozpoczął już manewr podrzucania śmierdzącego jaja komu innemu.

– Proszę więc – świdrujące spojrzenie błękitnych oczu policjanta wpiło się w brodatego weterynarza. – Jak do tej pory nie dostrzeżono nigdzie żadnego z nich, co wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne!

– Wcale nie – pospiesznie odezwał się Philip. Niech to diabli, pomyślał, nie był nawet pracownikiem zoo, po prostu wzywali go (niezbyt często), by pomagał im rozwiązywać ich problemy. – Na wolności znajduje się dwunastu przedstawicieli gatunku aligatorów – dwa

dorośle południowoamerykańskie kajmany, sześć małych, niedawno wyklutych z jaj i cztery pospolite aligatory amerykańskie, takie jakie znajduje się w Missisipi. Jeśli którekolwiek z nich są w ogóle groźne to tylko kajmany. Proszę jednak nie dać się zwieść popularnym wyobrażeniom, że są to bestie–ludojady zamierzające pożreć całą miejscową ludność. Z wyjątkiem jednego z nich Annie, samicy przywiezionej wprost z Brazylii – wszystkie zostały wyhodowane w niewoli i przyzwyczajone są już do ludzi.

– To właśnie dlatego tak poharatały dwu młodzików, że w dwadzieścia cztery godziny potem nadal mamy trudności z identyfikacją – z sarkazmem w głosie odpowiedział Carver.

– Ci cholerni idioci sami sobie byli winni – policzki Philipa nabiegły czerwienią. – Każdy, kto w samym środku nocy włamuje się do pawilonu aligatorów, zasługuje na to, co im się przytrafiło. Stworzenia są przerażone i nieoczekiwanie same dla siebie znajdują się na wolności i w obcym otoczeniu. Jedyńm ich pragnieniem jest znaleźć kryjówkę.

– I oczywiście z tego powodu musiały zrobić krwawą jatkę.

– Oczywiście. Na pewno wiemy jedynie, że uciekły przez bramy zoo. – Grant podszedł do mapy i zaczął kreślić po niej palcem. – Tutaj przeszły przez drogę i potem ruszyły wzdłuż boiska, ale bariery nie pozwoliły im dostać się do rzeki. Szły więc dalej do opactwa, a

następnie na lewo wzdłuż ogródków działkowych. Tu mamy pewne dowody na ich przejście: połamaną fasolę i ślady łap na miękkiej ziemi. Później dotarły do rzeki.

– O.K. – są więc w rzece – *ale gdzie?* – Rzeka jest głęboka i szeroka, są w niej tuziny miejsc, w których mogą się przyczaić. Może się tam ukryć setka aligatorów i nie dowie się pan, gdzie są. Nie mogą jednak pozostawać w niej w nieskończoność.

– To właśnie mnie martwi, panie Grant. Być może znajdzie potrzeba użycia płetwonurków, aby je odnaleźć.

– Posłuchajcie mojej dobrej rady i nie róbcie tego. – Wargi weterynarza zacisnęły się w wąską linię. – Każdy płetwonurek w rzece będzie dla nich łakomym kąskiem. Nie będzie miał większych szans niż kropla wody na rozżarzonej blasze.

– No to jak mamy je odnaleźć?

– Musicie po prostu być cierpliwi. Po pierwsze mają tam mnóstwo żarcia. W rzece są łososie i inne ryby, no i mnóstwo na wpół oswojonych kaczek, które dla aligatorów będą łatwą zdobyczą. Przez jakiś czas nie będą więc musiały wylazić na brzeg i prawdopodobnie nie będą nawet chciały. Będą zadowolone z tego, że znalazły kryjówkę.

– Cóż więc je stamtąd *wypłoszy?*

– Zimno. – Aktualnie mamy połowę lata i zbliża się fala upałów – idealne warunki dla kajmanów i aligatorów. Gdyby jednak nadszedł okres chłódów przypuszczam, że skłoniłoby to je do wyjścia z wody i szukania cieplejszych

okolic.

– W ciągu najbliższego tygodnia nie ma co na to liczyć – prychnął Carver. – Wczoraj w południe widziałem tygodniową prognozę pogody: gorąco i sucho, ani kropli deszczu. A więc pańskie przekłete aligatory pozostaną w ukryciu. Na to jednak nie możemy pozwolić, połowa mieszkańców miasta już zabarykadowała się w domach, ludzie wpadają w panikę. Ten cholerny telefon dzwoni nieustannie. – Rzeczywiście usłyszeli terkot brzęczyka, potem czyjąś odpowiedź i znowu brzęczyk. Ludzie uważają, że odpowiedzialność spada na policję. Kiedy tylko są, psiakrew, kłopoty, wszyscy czepiają się policji – uważają, że od ręki potrafimy czynić cuda. Nie możemy więc czekać na zmianę pogody, bo taka jak teraz może trwać aż do września.

Philip Grant westchnął. – No to mamy problem. – Może damy radę wysadzić je w powietrze albo ogłuszyć. Lub użyć związków cyjanku, jak to robią kłusownicy łowiący łososie.

– *Nie!*

– Będziemy musieli!

– Zabijecie w rzece wszystko, co żyje, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zaszkoicie aligatorom. Inspektorze, może być i tak, że nie ma ich na tym odcinku rzeki. Mogły popłynąć w górę lub w dół rzeki, a proszę mi wierzyć, aligator potrafi w ciągu jednej nocy przepłynąć wiele mil.

– Jezu Chryste! – detektyw skrzywił się. – No dobra,

w obrębie miasta możemy ogrodzić rzekę. Od brzegu do brzegu między mostami Angielskim i Walijskim rozciągamy stalowe sieci i nawet Polaris we własnej kurewskiej osobie się nie prześlizgnie.

Philip skinął głową. – Jeśli stwierdzą, że przejście jest zamknięte, może zmusi je to do wyjścia na brzeg. Pewności jednak nie ma.

– Wezwaliśmy na pomoc i armię. Co sto metrów pomiędzy siatkami stoi strzelec wyborowy.

– Czy nie moglibyśmy ich... uśpić specjalnymi pociskami? – zapytał Alex Kerr.

– Psiakrew, nie! – odpalił Carver. – Nie będą usypiane ani łapane w sieci, panie Kerr. Na wolności są niebezpieczne stworzenia i każde z nich musi zostać odnalezione i zastrzelone.

– Tak aby Jasio Publika dostał swój funt mięsa, co? Inspektorze, tak naprawdę to chodzi tu o odwet.

– No cóż, jest tak, jak jest. Muszą być odnalezione i zastrzelone.

– A co z tymi draniami, którzy włamali się do mojego zoo?

– W tej sprawie prowadzi się dochodzenie. Kiedy zidentyfikujemy tych dwu nieboszczyków, może uda nam się odnaleźć pozostałych. Staną przed sądem, niech pan będzie spokojny. – I ty też doczekasz się swojej zemsty, dodał w duchu. – Panowie, zamierzam poprosić was o bliską współpracę. Będziemy musieli wykorzystać waszą znajomość zwyczajów aligatorów.

„To właściwie odnosi się do mnie” – pomyślał Philip.
– No dobrze inspektorze, zrobię, co w mojej mocy, aby wam pomóc, ale mam też i swoją praktykę, której muszę pilnować. W nocy i rano operacje plus wezwania telefoniczne o każdej porze doby.

– Dobrze i to – Carver ruszył ku drzwiom i otworzył je. – Panie Grant, proszę zatem u pańskiej recepcjonistki zostawiać notatki dotyczące pańskich wyjazdów. Możemy pana potrzebować w każdej chwili. I może się zdarzyć, że będzie to sprawa życia i śmierci.

Podczas bezładnej ucieczki na oślep, wprost przed siebie z gadziego zoo aligatory i kajmany trzymały się razem. Instynktownie zebrały się w stado, szukając bezpieczeństwa we własnej liczebności.

Wolność! Podniecenie i radość gadów szybko jednak przekształciły się w strach. Wypadając z więzienia, w którym trzymano je od momentu narodzin, w głębi duszy spodziewały się soczystej, bujnej dżungli, głuszy z głębokimi rzekami i zakamarkami, w których można się przyczołgać. Zamiast tego ujrzały świat schludny i cywilizowany: przerażająco symetryczne budynki wznoszące się ku niebu i szereg metalowych potworów z okrągłymi łapami i mętnymi wielkimi ślepiami, martwych albo tylko pograżonych w drzemce i oczekujących okazji do błyskawicznego ataku.

Małe zaskrzeczały i stłoczyły się przy matce. Wielka samica warknęła ostrzegawczo. Stała, szczerząc kły. Te

dziwnie zbudowane stwory, pomyślała, są na pewno martwe, bo nie czuła pulsującego w nich życia i nie miały rozpoznawalnego zapachu. Przecinając drogę i biegnąc wzdłuż szpaleru zaparkowanych na noc pojazdów, mniejsze aligatory z Missisipi trzymały się. dwu kajmanów, szukając u większych kuzynów ochrony; w chwilach niebezpieczeństwa był to układ tolerowany obustronnie.

Wszystkie szukały bardziej miękkiego gruntu, ale nie napotykały żadnego, pomiędzy domami zaś nie było przerwy ani możliwości zbieżenia z trasy. Pędząc przed siebie, szły na oślep, wyczuwały bowiem obecność rzeki, nie potrafiły jednak odnaleźć drogi ku niej i trzymały się w cieniu, obawiając się wysoko umieszczonych pomarańczowych świateł, które szukały okazji, by oblać je nienaturalnym blaskiem i poświatą.

Doszły wreszcie do miejsca, w którym droga była szersza i rozdzielała się. Ruszyły lewym odgałęzieniem, wyczuwały bowiem, że przywiedzie je ku rzece; potem usłyszały wabiący je ku sobie ryk wody przy grobli. Dobiegał ich spoza otwartej przestrzeni i musiały precyzyjnie przycisnąć się przez krępujący ruchy żywopłot z głogów, później zwały na ziemię jakąś metalową siatkę ogrodzenia i przeczłapały przez nią. Ich łapy zagłębiły się w miękkim gruncie.

Jeszcze jeden żywopłot, a za nim dostrzegły lśnienie bieżącej wody, w której odbijały się światła szeregu lamp ulicznych, robiąc z niej rzekę płynnego ognia. Popędziły

na oślep w dół stromym trawiastym brzegiem, nie zatrzymując się nawet na dobrze wydeptanej ścieżce w dole, ale wślizgnęły się w błotnistą głębię, nurkując dopóty, dopóki nie znalazły dna. Dopiero tam poczuły się względnie bezpieczne.

Przez pewien czas odpoczywały, małe przytuliły się do matki, a samiec przyczał się w odległości kilku jardów niezdecydowany, patrząc na swoją towarzyszkę i oczekując od niej jakiegoś znaku. Mniejsze aligatory zebrały się razem, były to trzylatki, które musiały wybrać spośród siebie przywódcę. Teraz czujnie obserwowały kajmany, bo nie znajdowały się już w zoo, gdzie wspólnie dzieliły hańbę niewoli. Tu była głusza, w której zwierzę walczyło ze zwierzęciem, przeżywały zaś tylko najsilniejsze. Ale był to świat wrogi jednym i drugim. Po pewnym czasie samica zwróciła się pyskiem ku samcowi i jej szczęki rozwarły się w milczącym przesłaniu, które nie mogło być odczytane inaczej jak tylko: *sezon godowy się skończył, już cię nie potrzebuję. Odejdź!*

Odpowiedział jej machnięciem ogona i odwrócił się od niej. Ponieważ wszystko zostało już powiedziane, popłynął wolno w dół z prądem rzeki i wkrótce przepadł wśród błotnistej wody. Aligatory z Missisipi zebrały się w gromadkę i cofnęły, sygnalizując: *my też odejdziemy!* Odplynęły pospiesznie, zebrane w stadko, które aby przeżyć, powinno trzymać się razem. Na miejscu pozostała zaś potężna samica kajmana i jej potomstwo.

Dostosowywała zmysły do nowego otoczenia. W

wodzie napływającej z górnego biegu rzeki wyczuwała przyjazne ciepło, które odpowiadało jej potrzebom i przypominało inną rzekę w dalekim kraju. Ruszyła więc i płynęła powoli, a młode tuż za nią.

W pewnej chwili zwolniła. Dostrzegła żerujące ptactwo, stadko kaczek w pobliżu brzegu. Przerwała w połowie uderzenie ogonem, potem całą jego siłą odbiła się ku górze. Jedno kłapnięcie zębami i w paszczy miała parę ptaków, reszta z alarmującym kwakaniem zerwała się do lotu. Wciągając zdobycz w dół, zmiażdżyła pióra i mięso w jedną masę, a potem przełknęła wszystko razem.

Natrafiły też na kilka ryb, przerażoną ławicę okoni na płyćźnie. Okonie nie miały żadnych szans, gdy młode kajmany błyskawicznie zaatakowały. Młode uczyły się szybko.

Woda stawała się coraz cieplejsza, napawając kajmany nadzieją i wigorem. Matka ponownie przypomniła sobie o niemal zapomnianej rzece i stwierdziła, że instynktownie wypatruje nagich dzieci pluskających się na płyćznach. Nie dostrzegała ich jednak, tylko ryby pryskały na boki i uciekały, mały łosoś wystrzelił zaś ponad powierzchnię i w ten sposób umknął z okrutnych szczęk.

Rzeka była tu głębsza i szybsza – prąd dawał o sobie znać. Wielka samica była nieco zaskoczona, zachowała też ostrożność, zganiając potomstwo pod siebie, pod zwisającą nad wodą półkę i zaczęła czujnie wietrzyć. Prąd i nurt były obce, sztuczne, potop, który zwałił się na nich

z góry, wlewał się do wody i zamieniał rzekę w pienisty kocioł. Nieustający wodospad walił na nich z kompletnej czerni nocy, bo przecież nie było tu żadnych świateł.

W końcu wodę rozświetlił świt, zmieniając jej czerń w brudny brąz; dopiero wtedy samica zdecydowała się ruszyć. Powolne uderzenie ogona uniosło ją ku powierzchni. Wyglądała jak długa, obrośnięta, unosząca się na wodzie kłoda. Kłoda, która łypie na wszystko baczny okiem.

Przeraziło ją to, co zobaczyła. Woda tryskała z potężnej, okrągłej, betonowej rury znajdującej się może o stopę nad poziomem rzeki i wystającej z murowanego przepustu. Wyżej wznosiły się ściany, dwie bliźniacze, betonowe, wklęsłe nieco pośrodku wieże, sięgające wysoko w niebo i rzygające dymem przypominającym oddech olbrzyma w mroźny poranek, wyraźnym i przerażającym, dominującym nad rozciągniętą w głębi sadybą, z której w spokojnym powietrzu poranka wyraźnie dobiegały odgłosy wibrującej i hałasującej maszynerii.

Słońce już wstało i kąpało surowy krajobraz miękkim złotawym blaskiem podkreślającym władzę Człowieka nad Przyrodą. Samica obserwowała to wszystko przez jakiś czas, kąpiąc się i grzejąc w ciepłe elektrowni, gotowa zanurkować i skryć się przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa.

Widziała poruszających się dookoła ludzi, widziała, jak pojawiają się i znikają te stalowe potwory z okrągłymi

nogami i jak wydostają się z nich ludzie. W promieniach słońca połyskiwały wozy osobowe i ciężarówki, wszędzie dookoła trwała nieustanna krzątanina. Samica zapadła nieco niżej, wystawiając nad wodę jedynie nozdrza i oczy, i dała spokój próbom zrozumienia otoczenia.

Gady rozumują powoli, z trudnością. Miała tu miejsce, w którym mogła ukryć się sama wraz z młodymi. Miała tu ciepło i pożywienie. I w pewien ograniczony sposób miała też wolność – nie taką, jakiej kiedyś zaznawała w Amazonce, ale lepszą od tej sztucznej sadzawki, do której ludzie przychodzili, by gapić się i rzucać do wody różne przedmioty. Ludzie – istoty takie jak te wyłazące z prostokątnych potworów i kręcące się tu dookoła... jeśli ją złapią, zabiorą ponownie do więzienia.

Oczy zapłonęły jej nienawiścią, jaką żywiła dla swoich prześladowców i nadzorców. Przypomniała sobie, jak łatwo umierali ci dwaj ostatniej nocy. Tacy słabi i bezsilni, wierzgający i wrzeszczący w jej uścisku, podczas gdy ona miażdżyła ciała, smakując mięso i krew, których nie miała czasu pożreć.

Tęskniła za ponownym zabójstwem i za żuciem delikatnego mięsa ludzi, tak jak czyniła to często, zanim przyszli po nią łowcy z sieciami i wyrwali ją z rodzinnego środowiska.

Poranne zabiegi chirurgiczne zajęły Philipowi Grantowi czas aż do jedenastej. Jak zwykle napływała nie kończąca się rzesza zwierzęcych pacjentów i osób zawracających mu głowę. Miss Howe–Franklin ze swoim rozpieszczonym pudlem. Pies nie był wcale przeziębiony, choć stara panna twierdziła, że tak. Uważała, że zawiniła tu Pamela, bowiem zbyt krótko ostrzygła futerko jej pupila. Philip, który wywodził się ze starej szkoły i był mistrzem taktu i kompromisu, powstrzymał swoją asystentkę od uwagi, że gdyby w tym upale nie przyciąć psu krótko włosów, mógłby się po prostu przegrzać. Przepisał mu jakieś tabletki, które miały wywrzeć efekt psychologiczny – na miss Howe–Franklin, oczywiście.

Przyszedł mały chłopczyk z żółciem, ciągle znajdującym się w stanie śpiączki. Zwierzę śmierdziało i lekarz znał przyczynę: stworzenie nie żyło już od czterech miesięcy. Kiedy chłopiec zaczął płakać, Philip powiedział mu, że za kilka funtów w sklepie Penny‘ego może kupić sobie następne zwierzątko. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa dzieciak nie miał dwóch funtów i dlatego – jak podejrzewał Philip płakał.

Obejrzał psa, który miał nowotwór. Owczarek alzacki był już stary – właściciel sądził, że zwierzę ma czternaście lat – i ślepy. Philip mógł go od ręki uśpić, ale zwierzę nie cierpiało. „Jeszcze miesiąc i sam zdechnie” – pomyślał.

Powiedział właścicielowi, żeby przyszedł pojutrze. Był to jeden z tych dni, w których lepiej sprawy odkładać na później – tak mu się przynajmniej wydawało. Przez cały czas dzwonił też telefon.

Pamela zaczynała zdradzać oznaki wzburzenia – jego własne wewnętrzne napięcie robiło się zaraźliwe. Mieszkający przy drodze do Bayston Duttonowie mieli chorą kozę wszystko wskazywało na zatrucie wewnętrzne. Obiecał, że wpadnie przed obiadem, nie miał możliwości zajrzeć do nich wcześniej. Wiedział zresztą, że i na obiad nie będzie miał czasu.

Pamela poprosiła, by zwolnił ją po południu. Przystąpił na to, jednocześnie zastanawiając się w duchu, jak też u licha sobie poradzi. Jeszcze tylko brakowało, żeby zadzwonił ten policjant... Ale najwidoczniej nikt jeszcze nigdzie nie widział aligatorów. Był pewien, że zadzwoniliby do niego, gdyby tylko zobaczono choć jedno ze zwierząt. Pomyślał, że Kerr jest cholernym draniem. Po to, by zoo cieszyło się powodzeniem, zatłoczył je do granic możliwości, a o gady niech dba weterynarz. Postawa godna człowieka interesu, ale wszystko ma swoje granice.

Dał jakiejś kobiecie puszkę proszku przeciw wszom dla osła. Zapisywał to właśnie w książce przyjęć, gdy właścicielka osła wyszła. Wiedział, że powinien jakoś zmusić się do comiesięcznego wysyłania rachunków albo wkrótce ponownie doczeka się telefonu od księgowego prowadzącego jego sprawy w banku. Księgowi nie chcieli

zrozumieć, że zwierzęta były dla niego ważniejsze niż pieniądze.

– Następny, proszę – zastanawiał się, czy w poczekalni ktoś jeszcze pozostał. Liczył na to, że nie. I wtedy właśnie usłyszał lekkie kroki, szybkie i nerwowe, kroki uczennicy. Gdy otwierały się drzwi do sali zabiegowej, usiłował ją sobie wyobrazić – i okazało się, że całkowicie się pomylił.

Była Chinką, a przynajmniej miała w sobie sporą domieszkę chińskiej krwi. Mała, z długimi czarnymi włosami. Najwidoczniej wytrącona z równowagi – podpuchnięte i zaczerwienione oczy wskazywały na to, że ostatnio sporo płakała. Odzież pomięta i wygnieciona, jak gdyby w niej spała. Prawdopodobnie miała w domu chore zwierzę – domyślał się – i siedziała przy nim całą noc. Wziął się w garść.

– Mr Grant?

– Tak – uśmiechnął się. – Czym mogę pani służyć?

– Ja... chciałabym porozmawiać.

Przez chwilę niczego nie pojmował. – No dobrze, proszę mówić. Ale obawiam się, że wkrótce będę musiał wyjść. O jakie zwierzę chodzi?

– Ja nie mam żadnego zwierzaka. Ale muszę z panem pomówić. – Patrzyła obok niego poprzez częściowe uchylone drzwi w głąb pomieszczenia, w którym Pamela zajęta była liczeniem jakichś tabletek i wrzucaniem ich do plastikowej buteleczki. – To sprawa pilna i poufna.

– Rozumiem. – Ale niczego nie rozumiał. Powinien

powiedzieć jej grzecznie, ale stanowczo, że jest zajęty. Nie wiadomo jednak, dlaczego skinął dłonią w stronę biura. – Lepiej więc przejdźmy do mojego gabinetu.

Otworzył przed nią drzwi, potem je zamknął i wskazał jedyne w małym pokoiku krzesło. Nie czuła się tu swobodnie, usiadła, składając małe, smukłe palce razem.

– Musiałam się z panem zobaczyć. – Jej głos był cichy i drżący. – Nie mogłam bowiem, nie ośmieliłabym się pójść na policję.

– No dobrze, więc w co się wpakowałaś? – próbował bezceremonialnie przejść do sprawy.

– Chodzi o... – zawahała się. Zamknęła oczy i otworzyła je ponownie. – *Aligatory!*

Zacisnął wargi, czuł, że na przemian ogarniają go fale zimna i gorąca. – Zakładam, że mówisz o tych uwolnionych poprzedniej nocy.

– Tak. Pomagałam je uwolnić.

„Chryste święty” – jęknął w duchu – „tego mi tylko brakowało!”

– Jesteś głupią i bardzo niegrzeczną dziewczyną. Powinienem od razu zadzwonić na policję.

– Nie zrobi pan tego.

„Jezu” – pomyślał – „całkiem trafnie mnie oceniłaś”.

– Przedtem wysłucham twojej historii i niczego z góry nie obiecuję.

– Dziękuję panu, panie Grant. Nazywam się Susie Lee.

Załamującym się głosem, przerywając co jakiś czas,

opowiedziała mu całą historię, unikając przy tym jego spojrzenia. Powiedziała o Youngu, skażeniu produktów mleczarskich i o akcji na farmę hodowlaną. A także o sobie samej. Gdy opowieść dobiegła końca, nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Nerwowo rozglądali się w różne strony, unikając swojego wzroku.

Kiedy Philip przemówił, jego wzrok spoczywał na telefonie stojącym pośrodku biurka, przysadzistym stworku z kości słoniowej, który mógł w każdej chwili ożyć – gdyby zaś po drugiej stronie linii znalazł się inspektor Carver, weterynarz nie miał pojęcia, co mógłby tamtemu powiedzieć.

– Teraz powinienem zadzwonić na policję – powtórzył, przerywając w końcu ciszę. – Naprawdę powinienem tak zrobić.

– Ale nie robi pan tego – usiłowała się uśmiechnąć, a jej wiśniowe usta zadrżały. – Tak przynajmniej myślę.

– Jesteś cholernie pewna siebie – odpowiedział – ale masz rację. Nie zamierzam dzwonić na policję, choć niech szlag mnie trafi, jeśli wiem dlaczego. – Właściwie znał przyczynę, lecz prawie bał się do tego przyznać nawet przed sobą samym. Ukradkowo obrzucił łobuzerskim spojrzeniem jej smukłą figurkę i delikatne, wschodnie rysy. Gdyby należała do członków tej szurniętej Grupy do Walki o Prawa Zwierząt, nie miałby wątpliwości, co należy robić i nie zawahałby się ani chwili. Wiedział, że sam się oszukuje, ale czasami możemy sobie na to pozwolić.

– Dziękuję, panie Grant – podniosła oczy i spojrzała na niego. – Philip. – Weterynarz uśmiechnął się. – O.K., dzięki za wprowadzenie mnie w całą historię. Ale teraz wpakowałaś mnie nie na żarty. I cóż, do diabła, mamy teraz zrobić?

Przerwało mu pukanie do drzwi. Lekko popchnięte otworzyły się i na progu stanęła Pamela. Patrzyła to na Philipa, to na dziewczynę.

– Philipie, wybacz, ale nie zapomniałeś chyba o kozie Duttonów, prawda?

– Nie, Pam, nie zapomniałem. Zaraz wychodzę.

– Mówiłeś też...

– Że możesz mieć wolne popołudnie. Nie, nie zapomniałem. Przy okazji – to jest panna Lee – dla przyjaciół Susie. Przez jakiś czas, zanim we wrześniu wróci do szkoły, będzie nam tu pomagać.

– O... rozumiem.

– Nie martw się, nie będziesz przez to mniej potrzebna. Chodzi po prostu o to, że tu na miejscu przyda nam się jeszcze jedna para rąk. Pomoże przy zwierzętach, zaparzy herbatę, odbierze telefon. Jeśli naprawdę chcesz wychodzić nieco wcześniej, nie mam nic przeciw temu. Pewien jestem, że odbieranie telefonów będzie dla Susie ciekawym doświadczeniem, podczas gdy ja udam się do Duttonów.

– Dziękuję – zakłopotana Pamela zarumieniła się. – A więc zobaczymy się jutro rano.

Drzwi zamknęły się za nią. Philip zwrócił się ku

Susie. – Dziewczyno, nie jesteś już bez pracy. Masz posadę, ale ostrzegam cię, że to cholerna robota.

– Nie spodziewałam się...

– Czasami otrzymujemy to, czego się nie spodziewamy. Teraz zajmijmy się tym stukniętym Youngiem. Mieszkasz razem z nim?

– Mieszkałam. Nie mogę tam wrócić. Zabiłby mnie – nie wiesz, jaki on jest.

– Zaczynam go sobie mniej więcej wyobrażać. Oczywiście, że nie możesz tam wrócić, a to oznacza, że będziesz musiała zamieszkać tutaj. Wliczymy to w część twojej mizernej pensji. Mieszkam w pokojach na górze – kiwnął głową w stronę sufitu. – Jestem rozwiedziony. Obawiam się, że panuje tam okropny bałagan, ale jest oddzielna sypialnia przeznaczona dla mojej matki, gdy czasami tutaj przyjeżdża.

– Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć – jej oczy lśniły.

– No dobrze. Nadal nie wiem, co zrobić z naszym przyjacielem Youngiem. Muszę to przemyśleć. A zresztą ważniejsza jest sprawa ośmiu kajmanów i czterech aligatorów z Missisipi. To miasto nie odetchnie, dopóki nie zginą co do sztuki. Sama widzisz, jak te bzdury o uwalnianiu zwierząt rykoszetem uderzyły w ciebie.

– Byłam głupia. – Załamano ręce w geście winy i rozczarowania. – Kiedy poznałam Maurice'a, wszystko było takie czyste, wyidealizowane. Malowaliśmy na rzeźniach slogany i uwolniliśmy trochę norek. Myślę, że

zorientowałam się, jakie to wariactwo, kiedy powiedział mi o zanieczyszczeniu pojemników z wiejskim serem. Ale wczorajsza noc to było coś najbardziej przerażającego. Te aligatory... Boże, co myśmy zrobili!

– Musimy po prostu mieć nadzieję, że nikomu więcej nie stanie się krzywda – ruszył w kierunku drzwi. – Ale pomijając wszystko inne, moja praca polega na leczeniu chorych zwierząt, a pewna koza potrzebuje mojej pomocy. Zostań tutaj i odbieraj telefony, o ile ktoś zadzwoni. Przyjmuj zlecenia i wiadomości, a ja powinienem wrócić około pierwszej. Wtedy wykombinujemy coś do jedzenia. Na razie!

Drzwi zatrzasnęły się za Philipem i dopiero wówczas Susie Lee wybuchnęła płaczem.

Jeśli nie będzie żadnych komplikacji, koza Duttonów powinna przeżyć. Zastrzyki podziałają za kilka godzin. Wracający do miasteczka w swoim brązowym subaru, Philip był prawie tego pewien. Miał jeszcze wykonać jeden nie planowany wcześniej telefon przed obiadem z Susie.

Skręcił w lewo w John Street, krętą drogą podążył ku Castlefields. Niektóre budynki z czerwonej cegły, pochodzące z przełomu stulecia, zostały przez właścicieli zamienione w kamieniczki czynszowe. Zwolnił, czytając numery na drzwiach, aż znalazł ten, którego szukał.

Gdy wysiadł z samochodu i ruszył przez brukowany podjazd, czuł, że serce bije mu szybciej. Odgłosy kroków

odbijały się echem w pustej klatce schodowej, w której śmierdziało jakąś zepsutą potrawą. Wszędzie dookoła panowała pustka wiedział to i wyczuwał, że na piętrze również nikogo nie zastanie. Ale musiał się upewnić.

Drzwi były uchylone. Zabębnił w nie i impet jego uderzeń pchnął je do środka. Zaskrzypiały, otwierając się i ukazując wnętrze mieszkania. Philip stał przez chwilę, popatrzył na wszystko i uznał, że nie ma żadnego powodu, aby wejść do środka. To co zobaczył, mówiło samo za siebie.

Jeden pokój łączył w sobie funkcje sypialni, saloniku i kuchenki. Umeblowany był dość przypadkowo. Pusta komoda stała z uchylonymi drzwiami i powyciąganymi szufladami. Brudny, nie umyty kubek na stole wskazywał, że mieszkaniec tego pokoju wpadł na chwilę napić się kawy przed ostatecznym wyjazdem. Ostatecznym, bo nie zamierzał tu powrócić.

Maurice Young, pomysłodawca i prowodyr akcji na zoo Kerra, opuścił to miejsce. Co do tego nie było wątpliwości. Philip doznał przelotnego uczucia ulgi, ale stłumił je w sobie. „Jezu” – powiedział sam do siebie – „zna przecież Susie Lee dopiero od pół godziny. Była przestępczynią, podobnie jak i reszta tych szurniętych bojowników o prawa zwierząt. Ale spowodowały to okoliczności, których nie była w stanie kontrolować i na które nie miała wpływu” – argumentował, przekonując sam siebie. Wiedział, że powinien zachować rozwagę i rozsądek.

Wyszedł na zewnątrz i przez chwilę nasłuchiwał odgłosów wody przy tamie, która znajdowała się nie dalej niż trzysta jardów stąd. Wspominał dzień, gdy złapał tam pierwszego w życiu łososia (dwanaście funtów wagi), który zaciekle walczył z nim o każdy cal żyłki. Dwukrotnie nieomal go stracił i...

Nostalgiczny nastrój prysnął w jednej chwili – rozległa się seria głośnych wystrzałów z broni palnej. Po nich dał się słyszeć głęboki donośny ryk bólu trafionego zwierzęcia... i znowu cała seria szybkich strzałów. To właśnie przywróciło Philipa Granta do rzeczywistości. Rzucił się biegiem w stronę rzeki.

5

Młody żołnierz czuł się nieco rozleniwiony, marzyła mu się drzemka w ciepłym blasku słońca. Im bliżej było do południa, tym goręcej się robiło. Przesunął się więc w cień rzucany przez kępę wierzb.

Uważał się za wybrańca losu. Służba w armii była loterią niektórzy trafili gdzieś za morza, ci bardziej pechowi zostali już wysadzeni w powietrze albo zastrzeleni przez terrorystów. Część jego kolegów dostała przydział na Falklandy – sama nuda. A on trafił tutaj, w pełni angielskiego lata, a oprócz pilnowania rzeki nie miał niczego do roboty. Pograżony w słodkim nieróbstwie – przypomniał sobie starą piosenkę mówiącą o podobnej sytuacji. Miał służbę do trzynastej, a potem był wolny aż do szóstej rana następnego dnia.

Zaczął myśleć o dziewczynie, którą wczoraj wieczorem spotkał w miasteczku. Poderwał ją na stacji autobusowej, potem poszli na drinka i wreszcie pozwoliła mu się przelecieć. Na samą myśl o tym poczuł falę podniecenia.

Zastanawiał się, czy nie zaryzykować papierosa. Dlaczego nie – następny żołnierz w dole rzeki palił, on sam wyczuwał zapach dymu unoszonego leciutkim wietrzykiem. Oparł karabin o pień wierzby, z kieszeni wyłowił paczkę papierosów i zapalił. Idylla, pomyślał, a połowa dnia już minęła. Być może dziś wieczorem raz

jeszcze poszuka tej sikorki.

W rzece coś się poruszyło. Zesztywniał na chwilę, ale pomyślał, że pewnie to łosoś. Już przedtem kusilo go, by zająć się łowieniem ryb, szczególnie w dni takie jak ten. Siedzisz sobie na brzegu rzeki i moczysz wędkę, palisz, drzemiesz i nawiedzają cię podniecające sny o dziewczynie, którą miałaś ostatniej nocy. Ale gdy padało, sprawa nie przedstawiała się już tak różowo. Wtedy trzeba się było być zapaleńcem, kryjącym się pod zielonym parasolem i udającym przed samym sobą, że to świetna zabawa.

Coś tam znowu drgnęło – na drugim brzegu, w nurcie głębokiej spokojnej wody załamała się fala. Zwężił oczy i skupił wzrok na tym miejscu. Była to kłoda, zanurzony w wodzie, na wpół zatopiony pień drzewa, ponownie wypływający na powierzchnię. *I patrzący na niego dwojgiem złowrogich płonących zielenią oczu!*

– *O w mordę!* – rzucił papierosa i złapał za karabin. – *Jeden z tych pieprzonych krokodyli jest tam w wodzie!* Teraz widział wyraźnie wydłużone zielonkawe cielsko i poruszający się ogon. Gad już, już miał się zanurzyć – wiedział, że został odkryty.

Żołnierz strzelił raz, poczuł kopnięcie broni i zdał sobie sprawę z ogłuszającego huku. Ponownie zaczął naciskać spust, aż woda w rzece zapieniła się gwałtownie.

Odpowiedział mu ryk aligatora, który z otwartą paszczą jak behemot wynurzył się z głębin, potężnie i głośno oznajmiając swym bólu i nienawiści. Waląc jak

szalony ogonem, wywrócił się na grzbiet, przekręcił jeszcze raz i jeszcze, wytwarzając wściekły wir. Brudna woda zaczynała już nabierać odcienia purpury.

Ranione zwierzę szalało, wyskakując z wody i wpadając w nią ponownie brzuchem do góry. Żołnierz słyszał i inne wystrzały kolegów po obu stronach, słyszał też, jak ciężkie kule trafiają w cel. Widział rozdzierane łuskowate ciało, przewalanie się potwora, miotanie ogonem, szarpaninę i wysiłki, aby wydostać się na odległy brzeg.

Ponownie wystrzelił, starannie celując. Strzał prosto w łeb bydlę już ani drgnęło. Kolejne serie z obu stron. Zwierzę wpadło na trawiasty brzeg, rozrzucając szeroko szponiaste łapy. Nie widział jego oczu i nie chciał w nie patrzeć, gdy opróżniał magazynek. „Biedny skurwiel” – pomyślał.

Ze wszystkich stron słyszał strzały, gdzieś w pobliżu ktoś posłużył się przenośną radiostacją, a z oddali dobiegał głośny jęk syreny policyjnej. Na drugim brzegu pojawili się żołnierze policjanci. Zebrali się w grupkę i patrzyli na wielkiego gada, który na wpół wynurzony z wody jakoś pozostał na brzegu. Nieruchomy.

Wtedy żołnierz pomyślał – „Chryste, dostałem go. Zastrzeliłem skurwiela!”

Philip Grant przepchnął się przez tłum i rozpoznał policjanta, który nie dopuszczał ludzi do brzegu rzeki.

– Może się przyjrzę – powiedział.

– Tak, sir. Proszę zejść na dół. Ale niech pan będzie

ostrożny, nie jesteśmy pewni, czy to bydlę nie żyje.

Był tam też Carver. Stał i spoglądał na nieruchomego gada, dookoła niego zebrało się dwu policjantów i kilku wojskowych. Inspektor popatrzył na zbliżającego się Granta. – No, jednego już mamy. Lepiej niech pan poczeka, a w razie gdyby...

– Nie, w porządku, zwierzę jest martwe. – W głosie weterynarza pobrzmiwały nutki smutku. – Och, Jezu, nie mógłby już być bardziej martwy. Ci żołnierze rozwalili go na amen. – *A przecież mógłbym bez problemów tego biednego kutasa uśpić lub złapać w sieci.*

– Czy to ten morderca? – Carver nachylił się nad gadem.

– Jeśli ma pan na myśli samicę kajmana – Philip musiał dołożyć starań, by ukryć odrazę i gniew, które w nim kipiały to nie, to nie ona. Jest to samica aligatora z Missisipi i prawdopodobnie nikomu nie zrobiłaby krzywdy, gdyby jej nie sprowokowano.

– A słyszał pan jak ryczała?

– Ryczała z bólu. Teraz już jest spokojna, inspektorze. Może pan polecić swoim ludziom, by przynieśli liny i wyciągnęli ją z wody.

– Jeden załatwiony, pozostało jedenaście – policjant zaśmiał się ochryple ze swojego niewesołego żartu. – Przypuszczam, że będziemy musieli odstrzeliwać je dalej. Nie wątpię, że cierpliwość w końcu się opłaci.

Philip odwrócił się. Były chwile, kiedy postępowanie przedstawicieli rasy ludzkiej przyprawiało go o mdłości.

Tak jak teraz. Robili wielkie zamieszanie z powodu tak zwanych krwawych sportów, wylewali łyzy litości nad tak podstępny drapieżnikiem jak krajowy lis, wypuszczali mordercze łasice na wolność, ale gdy na tej wolności znalazło się parę nieszkodliwych gadów, z wyciem żądali krwi. Czysta hipokryzja – a byli zbyt ślepi, by to dostrzec.

Powrócił do miejsca, gdzie zaparkował subaru, będąc myślami już przy Susie Lee i obiedzie. Nieoczekiwanie dla samego siebie w ogóle nie odczuwał głodu.

David Stone miał fioła na punkcie ryb. Fascynowały go od owego odległego już o lat trzydzieści popołudnia, kiedy to matka popychała jego wózek ku sadzawce ze złotymi rybkami w miejscowym parku, by zapobiec wybuchom złego humoru. Podstęp się udał i od tamtego czasu nie potrafił już myśleć niczym prócz ryb.

Jego pulchna ciemnowłosa żona Angela uważała, że hobby męża jest nudne i denerwujące. Ich mały domek, bliźniak na River View, od saloniku aż po kuchnię był zagracony akwariami różnych kształtów i rozmiarów. Nawet na stoliku w sypialni mieli niewielki zbiorniczek. Najróżniejsze oświetlenia podwodne dawały niesamowity poblask i sprawiały, że niejednokrotnie czuła się w domu nieswojo.

Rozważała już możliwość porzucenia Davida i powrotu do matki. Stawał się trudny do wytrzymania. Czasami, choć zdarzało się to rzadko, towarzyszył jej w sobotnich wycieczkach po zakupy. Właził wtedy do

sklepu zaopatrującego akwarystów i spędzał tam całe godziny, gapiąc się po prostu na ławice bezmyślnie pływających małych rybek. Albo szedł do księgami przeglądał książki o rybach, nie zwracając uwagi na nic innego. Zabierał do domu kilka tomów i przez pozostałą część weekendu czytał zaciekle.

Wydawało się wówczas, że zupełnie jej nie zauważa. Głuchł na nieustanne wezwania, że na stole stoi posiłek, który już stygnie. To, że nigdy nie uskarżał się na zbyt zimne lub zbyt gorące jedzenie, nie było dla niej zbyt wielką pociechą – zresztą przeważnie w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co właściwie je. Jedzenie uważał po prostu za sposób podtrzymywania życia, by dysponować odpowiednią siłą do oddawania się ulubionemu zajęciu.

Jednak nie opuściła go, ponieważ na długo przed podjęciem tej decyzji pojawił się na świecie Daniel. Miała więc przynajmniej towarzystwo. Dziecko, którym mogła się zajmować i o które mogła się troszczyć. Postanowiła więc nie myśleć porzuceniu męża, przynajmniej dopóki Daniel, nie podrośnie. Na razie zaś musiała znosić wybryki męża najlepiej jak potrafiła i ułożyć sobie jakoś życie pośród ryb i akwariów.

Może decyzja była przedwczesna – rozmyślała teraz. David przekształcił w akwarium cały dom, a ponieważ małą trzecią sypialnię niemal w całości zajmowały zabawki trzyletniego chłopca, jego ojciec zmienił mały, prostokątny ogródek w coś na kształt pomieszczenia dla ryb. Nie mogła pogodzić się z tym, że ogródek cały

zdziaczał. David nie zadał sobie nawet trudu, by kosić trawę na nierównym trawniczku, który założyli poprzedni właściciele. Sąsiedzi nie raz i nie dwa uskarżali się na to, a jeden z nich (podejrzewała Parkinsona spod dwudziestki dwójki) posłał nawet kiedyś anonimowy list do rady miejskiej. Być może teraz ta dżungla roślin i ta masa zielska wyglądająca o wiele lepiej sześć tygodni temu, zanim obsiał całe to miejsce, wreszcie zostanie oczyszczona.

Jej nadzieje spełniły się, gdy David zabrał się z energią i zapalem do pracy. Ozdobił nawet opadający teren skalnikami kamiennymi sadzawkami, zrobił nawet mały wodospad zasilany z pompy. Pośrodku umieścił basen w kształcie maltańskiego krzyża, o wymiarach sześć stóp na trzy i o głębokości trzech stóp. Protestowała, że basen jest za głęboki i że Daniel łatwo może wpaść i utonąć. Giętka plastikowa siatka nie była przeszkodą dla przedsiębiorczego dzieciaka. David zignorował jej prośby i protesty wpuszczając do basenu rybki.

Problemy zaczęły się zimą. Projektując basen, powinien był tak nachylić ścianki, by w czasie zimowych miesięcy lód nie mógł się rozprzestrzeniać. Zamiast tego zrobił je strome i gładkie. Powierzchnia zamarzała do sześciu cali w głąb, a niżej beton popękał i woda wysączyła się na zewnątrz. Gdy nadeszła odwilż, David znalazł swoją nagrodzoną rybkę rekordzistkę leżącą martwą na dnie pustej sadzawki.

Tamtej nocy płakał. Przez kilka dni chodził

przygnębiony nadąsany jak małe dziecko. Angela oparła się pokusie powiedzenia „a nie mówiłam?”, ale nie okazywała wyrazów współczucia. Potajemnie cieszyła się, że niebezpieczny basen został tak uszkodzony, że nie można go było naprawić: niektóre ze szpar miały po pół cala szerokości i prawdopodobnie nie da się ich skutecznie uszczelnić. Gdyby nawet David wszystko naprawił, to samo zdarzyłoby się następnej zimy.

– W sobotę po południu skoczę z tobą po zakupy – powiedział w czwartek wieczorem.

– Jak chcesz. – Nie przyjęła tego z entuzjazmem, bo wiedziała, że mąż musi mieć w tym jakiś ukryty cel. Potajemnie cieszyła się, że nigdy nie zdał egzaminu na prawo jazdy. Dawało to jej nad nim pewną władzę: jeśli potrzebował samochodu, ona musiała go prowadzić. Księgarnię mógł odwiedzić pieszo, zamierzał więc zajrzeć do sklepu akwarystycznego.

Myślałem właśnie o dużym basenie. – Oczywiście, że myślał. Wiedziała o tym. Tylko to tkwiło mu we łbie przez cały miniony miesiąc. – Jeśli naprawię wszystko i doprowadzę do poprzedniego stanu, trzaśnie po prostu następnej zimy. – Miał rację, cóż więc takiego wymyślił? Zadrzała w obawie bezpieczeństwo Daniela. Tylko nie większy i głębszy basen, proszę, dobry Boże. – W sklepie akwarystycznym sprzedają plastikowe baseny, wykonane fabrycznie po dwadzieścia pięć funtów sztuka. Widzisz, jeden taki włożony do betonowej skorupy załatwi sprawę. Wnętrze ma pochylone dno i w najgłębszym miejscu jest

nieco ponad osiem cali.

„Dzięki ci, Boże” – westchnęła. – Myślę, że to niezły pomysł. – Nie podniosła głowy, zajęta prasowaniem. – Zawiozę cię, byś przywiózł taki w sobotę. ”Zanim się rozmyślisz wykombinujesz coś nowego” – dodała w duchu.

W następną niedzielę David pracował niestrudzenie. Przenosił gruz ze zwałiska, które kiedyś usypał w rogu trójkątnego ogródka, aby uzyskać odpowiedni poziom gruntu po opuszczeniu plastikowego basenu w istniejący już betonowy krzyż maltański. Praca nie należała do lekkich. Angela słyszała, jak klął. Była pewna, że Daniel zapamięta sobie to okropne słowa i zacznie ich używać. Jednak wypadało cieszyć się choćby z najmniejszego uśmiechu losu. Przynajmniej tuż za drzwiami nie będzie już tej głębokiej i niebezpiecznej sadzawki.

Daniel odziedziczył po ojcu miłość do wodnej fauny. W sobotę kupili w mieście razem małą złotą rybkę i wpuścili do nowego basenu. Następnego dnia o świcie z pobliskiej rzeki nadleciała czapla i zjadła mieszkańkę basenu.

– Tak to jest, gdy ktoś ma płytką sadzawkę. – David usiłował pocieszyć złamane serduszko synka. – Będziemy musieli wymyślić coś innego.

W basenie pojawiły się żaby i traszki. Angela wzdrygnęła się; nie potrafiła znieść obecności żadnego zimnokrwistego stworzenia. W zeszłym roku otwarcie odmówiła Danielowi kupna żółwia. Brr! Jeśli miał ochotę

bawić się z jaszczurkami, dopóty wszystko było w porządku, dopóki ograniczał swoją aktywność do sadzawki w ogrodzie. Zażądała tego twardo, zadowolona, że w pobliżu basenu nie rozciągały się sznury na bieliznę.

Tego roku David kończył pięć lat. Boże, jak ten czas leci! We wrześniu zacznie naukę w szkole podstawowej u Colemana. Angela wiedziała, że będzie jej go brakować.

– W rzece są krokodyle – oznajmił Daniel pewnego wieczoru, gdy cała trójka zasiadła do herbaty.

– Aligatory – poprawił go ojciec – i kajmany, jeśli chciałbyś określić rzecz dokładniej.

– Mają po sto stóp długości – chłopczyk wytrzeszczał oczy znad kromki chleba z masłem orzechowym.

– Danielu znowu przesadzasz – matka pogroziła mu palcem – według gazet te większe mają po piętnaście stóp. A jednego z tych mniejszych żołnierze wczoraj zastrzelili. Davidzie, życzylabym sobie, żeby dziecko przestało przesadzać. On się robi okropny.

– Prawdziwy rybak – zaśmiał się David. – Wyrośnie z tego.

– Hmm...

– Dziś rano w naszym basenie widziałem ogromne jaszczurki. – Młodzieńczy entuzjazm chłopca nie dawał się ujarzmić. – Wielgachne...

– Czy były duże? – David słuchał nieuważnie pograżony w lekturze "Evening Star". Zamieszczono tam najnowsze doniesienia dotyczące pościgu za aligatorami. Od tamtej strzelaniny nie widziano ani jednego gada.

– O, takie! – chłopiec rozsunął ręce na odległość dwu stóp, potem, przypomniawszy sobie słowa matki, zmniejszył demonstracyjnie rozmiary zwierzęcia do jednej. – No, ale przynajmniej takie!

– On jest zabawny. – Angela zaczęła zbierać ze stołu naczynia. – Danielu opowiadasz kłamstwa. To nieładnie.

– Wcale nie! – Oburzenie, brzęk sztućców na jego talerzu, spadające ze stołu frytki.

– To prawda! One są *olbrzymie!*

– Nie, nie są. Pleciesz duby smalone. Ja...

– To są potwory – David opuścił gazetę i zmierzył żonę gniewnym spojrzeniem. – Ja też je widziałem.

„Teraz ty opowiadasz bajki i zachęcasz syna, by robił to samo” – pomyślała. – Danielu, zjadaj swoje frytki albo nigdy nie wyrośniesz na dużego chłopca.

– Dobra! – uśmiechnął się porozumiewawczo do ojca.

– Zjem frytki, mamusiu, ale gdy urosnę, nie będę ich zjadał, a ty już mnie wtedy do tego nie zmusisz!

Angela myjąc naczynia, nie mogła się powstrzymać od hałasowania. Prace domowe nużyły ją i czuła, że będzie coraz gorzej. Miała tylko jedną rywalkę – rybę! Gdy Daniel dorośnie opuści męża. Dawno już to sobie obiecała.

Czy oni zastrzelą te wszystkie kro... aligatory – Daniel rozmyślnie mówił z pełnymi ustami, patrząc przy tym kpiąco przekornie na matkę, która zdawała się tego nie dostrzegać.

– Myślę, że tak – ojciec westchnął – choć należałoby

oczekiwać, że potrafią je złapać w sieci.

– Lubię aligatory – Daniel skończył przeżuwać ostatni kęs i zsunął się z krzesła. – Są podobne do tych jaszczurek w sadzawce, tylko większe. Tatusiu, czy mogę jeszcze pójść sobie na nie popatrzeć?

– Myślę, że tak – mruknął David, ponownie pograżając się w gazecie.

– Nie, nie możesz! – Angela gniewnie odwróciła się nad zlewem, z trzaskiem upuszczając widelec. – Pora spać, Danielu, i choć ten jeden raz zrobisz to, co *ja* każę. Teraz marsz na górę, a ja przyjdę tam za minutę. I żadnych sprzeciwów! „A jeśli którykolwiek z was wspomni coś o rybach czy jaszczurkach” – pomyślała – „dostanę szau i niech szlag to wszystko trafi!”

Gdy zajrzała na górę do chłopca, leżał już rozebrany, naciągnął na głowę prześcieradło i udawał, że śpi. Zdecydowała, że nie pocałuje go teraz. Równie dobrze mógł obejść się bez tej pieszczoty na dobranoc. Niechby już był wrzesień i szkoła!

Daniel drgnął dopiero wtedy, gdy usłyszał, że matka zamyka drzwi. Wszedł z łóżeczka i podszedł do okna. Przypomniawszy sobie, że przez najbliższe trzy godziny będzie jeszcze widno. Dorośli nie idą spać przed zapadnięciem zmroku – to nie jest uczciwe!

Wspiał się na przysunięte do okna krzesło. Gdy wychylił się wykręcił głowę, zdołał jakoś zobaczyć część basenu. Pomyślał, że teraz basen wygląda dość zabawnie ze sterczącą pośrodku plastikową wykładziną. Z jednej

strony widać było jeszcze trochę betonu, pierwotnie pomalowanego na błękitno. Ale to nie miało w końcu znaczenia. Liczyła się jedynie woda i kryjące się w niej życie.

Coś tam się poruszyło, łamiąc gładką powierzchnię, ale w wodzie odbijało się wieczorne słońce i nie mógł rozróżnić szczegółów. Wiedział jednak, że wielkie jaszczurki tam były, cała trójka. W jakiś sposób trochę go przerażały. Potrafił łapać małe traszki i bawić się nimi, czując ich śliski dotyk, gdy w uścisku jego dłoni zwijały się w gwałtownych próbach odzyskania wolności. Nie próbował jednak łapać tych dużych. Było w nich coś, co budziło jego niepokój. Na przykład sposób, w jaki patrzyły na niego tymi złośliwymi okrągłymi oczkami albo otwierały paszcze, ukazując szeregi białych, ostrych zębów. „Ale nie powinny gryźć” – powtarzał sobie w kółko. „Traszki nie gryzą – więc po co im te zęby?”

„To było charakterystyczne dla matki, że nie pozwoliła mu wyjść i powiedzieć im dobranoc” – pomyślał. Wpadła w jeden z tych swoich nastrojów. Nie lubiła, gdy razem z tatusiem chodzili do sklepu popatrzeć sobie na ryby. Kobiety! Kiedy dorośnie, będzie jadł tylko to, na co mu przyjdzie ochota. I nie będzie się w ogóle zadawał z głupimi dziewczynami, bo jak się ożenisz, to musisz robić to, co one ci każą.

Stał przy oknie do chwili, gdy zrobiło się zbyt ciemno, by widzieć basen. Za rzeką słyszał rozmawiających ludzi. „Żołnierze i policjanci byli równie

głupi jak matka” – pomyślał „Chcą zastrzelić aligatory, chociaż wcale nie jest to konieczne.”

Niechętnie wrócił do łóżka. Był jednak bardzo zmęczony po upływie kilku minut zasnął.

Daniel Stone obudził się wcześniej. Przeważnie budził się wcześniej. Uważał, że to wina jego matki, która zmuszała go do chodzenia spać o tak idiotycznej porze. Słońce jeszcze nie wzeszło, a nie oświetlone niebo nadal pozostawało szare.

Chłopiec jak zwykle na paluszkach podszedł do szafki z zabawkami i wyciągnął jedną z nich, by się pobawić. Siedzenie w pokoju i oczekiwanie na przebudzenie się rodziców było zawsze tak okropnie nudne. Czasami w niedzielne poranki pozwalali mu przyłączyć się do nich w ich łóżku, ale dzisiaj nie była niedziela. Nie pamiętał, jaki to dzień – ale wiedział, że na pewno nie jest to niedziela. Dopóki nie wstali, nie wolno mu było schodzić na dół. Zrobił tak parę razy, ale zawsze w końcu matka go usłyszała i wściekła zabierała go z powrotem na górę. „Zgodnie z tym, co powtarzała, w tym domu nie wolno było robić *niczego* z wyjątkiem leżenia w łóżku” – pomyślał gniewnie. Ojciec zezwalał mu na wiele rzeczy – ale niewiele miał do powiedzenia. Daniel był dość duży, aby już to wiedzieć.

Teraz przypomniał sobie o tych jaszczurkach i wstrząsnął nim lekki dreszcz, podobny do tego, jakiego doznajemy, budząc się i uświadamiając sobie, że to

poranek w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Zastanawiał się, czy nadal jeszcze pozostają w basenie. Niepewnie wyslizgnął się z łóżka i wspiął na krzesło, które nadal było tam, gdzie postawił je poprzedniego wieczoru. Wykręcając szyję, próbował coś zobaczyć.

Ze swego miejsca dostrzegł wodę i szarą, jaśniejszą płytę, która mogła być plastykiem – ale żadne drzenie nie łamało lustra basenu i nie świadczyło, że w głębi pływają jakieś żywe istoty. Patrzył przez chwilę, ale nic się nie poruszyło. „Och, jaszczurki” zaczął błagać w myślach – „nie róbcie mi tego, jeśli uciekłyście, wróćcie”.

Ale domyślał się, że prawdopodobnie wróciły tam, skąd przyszły. Poprzednia radość znikła i poczuł, że zbiera mu się na płacz. Trzeba je było nakarmić. To była wina mamy, że tego nie zrobił, bo zabroniła mu wieczorem pójść do nich. Tatuś powinien był to zrobić, ale on nie wierzył w te jaszczurki. Daniel domyślił się tego, słysząc ton, jakim ojciec odzywał się przy stole. Jeśli chłopak myśli, że w sadzawce są wielkie jaszczurki, to nic w tym złego, nie gańmy go, Angelo – tak właśnie uważał tatuś. Oczywiście Daniel rozumiał więcej, niż oni sądzili. Wiedział, że oni już się wcale nie lubili i że tatuś miał po dziurki w nosie tej pracy w biurze ubezpieczeń, cokolwiek to oznaczało.

Teraz jednak Daniel myślał wyłącznie o jaszczurkach. Czy były jeszcze w tym basenie, czy nie? Jeżeli były, to mogły za niedługo pójść sobie, bo nikt ich nie nakarmił. Zdecydował się zejść ze schodów i pójść prosto do

sadzawki.

Na bosaka, odziany jedynie w dolną część piżamy, otworzył drzwi na półpiętro. Stawiał pojedyncze, ostrożne kroki. Gdy zaskrzypiała deska w podłodze, wstrzymał oddech i zamarł. Z sypialni rodziców nie dobiegł go jednak żaden dźwięk. Przez chwilę przekonywał sam siebie, że słyszy ich chrapanie. Przypomniawszy sobie, jak mamusia opowiadała sąsiadce, mrs Lake, że tatuś chrapie.

Teraz szedł już schodami w dół, stawiając nóżki ostrożnie delikatnie. Dotarł do hallu i z walącym sercem zatrzymał się tam na chwilę. Wiedział, że gdyby teraz znalazła go tu matka, byłaby na niego wściekła. Kuchenne drzwi były uchylone i zobaczył, że w zamku tylnych drzwi wyjściowych tkwił klucz. Uznał to za uśmiech losu równy temu, który sprowadził jaszczurki do basenu.

Nieoczekiwanie uderzyła go nagła myśl. Zatrzymał się w pół kroku i zastanowił się. Miał nakarmić jaszczurki, ale co te jaszczurki jedzą? Zacisnął wargi, usiłując coś wykombinować. Na blacie leżała paczuszka z pokarmem dla rybek. No dobrze, ale to pokarm dla złotych rybek, czy te gady będą go jadły? Pokarm był niezły, ale sproszkowany – a one miały takie duże paszcze. Potem przypomniał sobie o czymś i uśmiech powrócił na jego twarzyczkę. Gdy mamusia zabierała go do parku, zawsze brali ze sobą trochę suchego chleba dla kaczek. Sam zaś niejednokrotnie obserwował, jak pod powierzchnią podpływają ryby, by uszczknąć nieco z unoszącego się na falach kawałka chleba. No cóż, jeśli

kaczki i ryby jedzą chleb, na pewno będą go jadły również i jaszczurki. No, przynajmniej pozwoli im to wytrzymać do chwili, aż przyniesie się coś, co naprawdę przypadnie im do gustu – przy śniadaniu zapyta o to tatusia.

Na krajalnicy leżała kromka chleba, która już zaczynała się nieco zsychać. Zabrał ją, myśląc o tym, że dziś rano naprawdę ma dużo szczęścia. Po kilku sekundach był już na zewnątrz. Drzwi zostawił otwarte. To nie potrwa długo, za kilka minut ponownie znajdzie się w łóżku. Jego rodzice nawet się o tym nie dowiedzą. A jeśli jaszczurki odeszły, wrócą pewnie, gdy poczują głód.

W pierwszej chwili ich nie dostrzegł. Woda w basenie wydawała się nieruchoma i bez życia. Lilie i jakieś wodorosty unoszące się na powierzchni nie pozwalały mu zobaczyć dna. Ukląkł więc i spojrzał w dół. Gdy je zobaczył, chciało mu się krzyczeć głośno z radości. Pomimo wszystko nie uciekły.

Przez chwilę klęczał i patrzył na nie. No, no, duże były, tak duże, jak to pokazywał rodzicom. A oni mu nie uwierzyli! Dobrze więc, mogą przyjść sami i zobaczyć. I wtedy przeproszą go, zarzucali mu przecież, że plecie bzdury.

Widział te stworzenia, leżące w głębszej części plastikowego basenu. Były to trzy łuskowate, ciemnozielone, prawie czarne jaszczurki. Patrzyły na niego małymi oczkami. Niezupełnie przypominały mu traszki, choć podobieństwo istniało. Wzdrygnął się, odczuwając przelotne ukłucie strachu. Ale stłumił je w

sobie. „Przecież to głupie. Jaszczurki nie zrobią ci krzywdy, przez cały czas boją się bardziej od ciebie” – powiedział sobie.

Odłamał kawałek chleba i wrzucił go do wody. Chleb pływał przez chwilę, potem zamókł i zaczął się rozpadać. Ryby zawsze go brały, ale te jaszczurki nie ruszyły się – tylko obserwowały Mrugnęły tylko ślepiami.

– No, chodźcie – nachylił się, tak że jego twarz była oddalona do powierzchni wody o kilka cali. – Zjedzcie śniadanie, bo nigdy nie urosniecie. A kiedy będziecie duże, nie będziecie musiały jeść, gdy nie zechcecie. Nie bądźcie głupie.

Nie ruszyły chleba, nawet nie drgnęły. Daniel obejrzał się za siebie. Firanki w sypialni rodziców nadal były opuszczone. „Dorośli są właśnie tacy” – pomyślał – „nie chcą, by im przeszkadzać, zanim nie wstaną. Gdyby był tutaj tatuś, wiedziałby, co trzeba robić. Może te jaszczurki nie lubią chleba. Jeśli ich nie nakarmi, na pewno sobie pójdą stąd w poszukiwaniu żywności i może już nie wróca. Głupie stworzenia!”

– Słuchajcie, przecież dostałyście coś do żarcia. – Daniel zaczął się irytować. Zdesperowany zacisnął resztki chleba w kulkę i zanurzył dłoń w wodzie, zatrzymując ją w odległości kilku cali od najbliższej długiej paszczy. – No popatrzcie, to jedzenie. Jedzcie.

Stworzenia poruszyły się zbyt szybko, aby można było nadążyć za nimi wzrokiem. Przed sekundą leżały nieruchomo, a w następnej, szeroko otwierając paszcze i

wałąc ogonami, rzuciły się wściekle na podane im delikatne mięso.

Daniel wrzasnął z bólu, gdy rzędy ostrych jak igły zębów głęboko wbiły się w jego rękę, szybko rozdzierając mięśnie. Woda w basenie zaczęła się pienić niczym w miniaturowym przyboju. Czuł, że pękają mu kości i widział, że woda przybiera różową barwę.

Próbował wyrwać rękę, ale gady mocno zacisnęły na niej szczęki. Cała trójka gwałtownie atakowała, szarpiąc i rozrywając mięśnie. Krzyczał histerycznie, lecz one były silne, silniejsze, niż spodziewałby się w najgorszych snach. Przyciągały go coraz bliżej do brzegu basenu. W końcu stracił równowagę głową naprzód wpadł do wody, wydając okrzyk przerażenia.

Gdy zachłysnął się wodą, doświadczył prawdziwego koszmaru: atakujące go gady zwały się na niego ze wszystkich stron, z szeroko otwartymi ogromnymi paszczami i oczyma złowrogo płonącymi głodem ludzkiego mięsa. Zacisnęły paszcze na fałdach skóry chłopczyka, rozdarły ją i zaczęły rwać ciało na purpurowe strzępy w dzikiej orgii, której miejsce było nad Amazonką, nie tutaj. Kopał nóżkami i szarpał się, otworzył buzię w wołaniu o pomoc i jeszcze raz zachłysnął się wodą. Purpurowa mgła zakrywająca mu oczy zaczęła nabiegać czernią.

Pograżona w głębokim śnie Angela Stone usłyszała jednak krzyk Daniela. Zaczęła rzucać się niespokojnie w pościeli. Znowu zranił się tym ostrym kawałkiem butelki,

który znalazł w ogrodzie. Krew lała się z rany na rączce. Wciągnęła go do kuchni, włożyła zranioną rękę pod strumień zimnej wody usiłując określić wielkość rany. Nie można jej było prawie zobaczyć, bo krew lała się zbyt szybko i napełniała miskę zlewozmywaka. Usiłowała nie poddać się panice. Myślała – „muszę zadzwonić po doktora, ale nie mogę zostawić Daniela samego. Doktor prawdopodobnie będzie u pacjentów. Wykręć 999.

– *Jaką służbę konkretnie, proszę pani? Pogotowie. Proszę czekać.* Kolejna zwłoka. – *Proszę podać nazwisko i adres.* –

O Boże, on umrze, wykrwawi się na śmierć, jeśli nie przyjedziecie szybko.

– *Proszę pani, proszę nie wpadać w panikę. No proszę, ja wpadłam w panikę. Wyprowadź wóz i wieź go na pogotowie. Jezu, jęczy, jak zarzynany. Nie będę mogła prowadzić. Wjadę na coś i zginiemy oboje.*”

Stopniowo budziła się z głębokiego snu. Z ulgą uświadomiła sobie, że to był tylko sen, powtórka starego koszmaru. Daniel jest bezpieczny, śpi głęboko w swoim pokoiku, ale na wszelki wypadek pójdzie to sprawdzić.

Daniel jednak nie był bezpieczny – nadal słyszała krzyki. Wrzaski przerażonego dziecka ścięły jej krew w żyłach i sprawiły, że drżała jak w febrze, odrzucając pościel. Na ułamek sekundy wszystko jakby znieruchomiało. Nie wiedziała, co robić i gdzie spojrzeć. Jednego była pewna: jej chłopiec znajdował się w strasznym niebezpieczeństwie.

Podeszła do okna i z przerażeniem spojrzała na rozgrywającą się przed nią scenę. *Daniel był w basenie i na kolanach usiłował się z niego wydostać. Ale, dobry Boże, nie miał wcale twarzy, zamiast niej zobaczyła masę surowego, krwawiącego obficie ciała i mięsa. Tam, gdzie powinny znajdować się usta chłopca, ziała otwarta w kolejnym krzyku niekształtna jama. Jego szczupłe ciało krwawiło z wielu okropnych ran i gdy ponownie wpadł w wodę, ujrzała te stwory, długie na stopę gady, które przywarły do niego jak olbrzymie wydłużone pijawki, wyrywając z torsu dziecka żywe mięso i sięgając ku jego gardłu.*

Angela runęła schodami w dół. Słyszała, jak właśnie budzi się jej mąż, jak wrzeszczy, że chciałby wiedzieć, co u licha dzieje się o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze.

Teraz krzyczała ona sama. Wyskakując z kuchennych drzwi do ogródka łkała histerycznie. – Dziecko, och moje dziecko! Wyciągnij go, on tonie. Te bestie! *Zrób coś!*

Złapała chłopca za ramię. Gdy zaczęła go wyciągać, jeden z małych kajmanów chapnął ją zębami za palce. Czuła, jak zęby zwierzęcia zgrzytają o jej kości. Usiłując zignorować własny ból, dłonią uderzyła gada, który już–już miał dobrać się Danielowi do gardła. Wtedy zwierzę rzuciło się na nią. Dołączył do niego następny gad i razem uwiesiły się u jej rąk. Krzycząc z bólu, upadła plecami na trawę. – *Boże, one zjadają mnie żywcem.*

Trzeci kajman szarpał i rozrywał brzuch dziecka. David szukał rozpaczliwie jakiejś broni. Zobaczył małą

kielnię leżącą obok brzegu basenu. Podniósł ją, zamachnął się i z całej siły walnął w grzbiet gada. Zwierzę wydało z siebie gniewny skrzek z wolnito chwył. Uderzył ponownie. Kajman puścił Daniela łupnął o ziemię. Tam przyczał się z szeroko otwartymi szczękami, jeszcze niezdecydowany, czy ponowić atak, czy rzucić się do ucieczki.

David złapał syna i podniósł do góry. Chłopak krwawił z kilkunastu głębokich ran. Nagie ciało dziecka skąpane było we krwi. Stone zdał sobie sprawę z tego, że dziecko jest nieprzytomne. O Chryste, może nawet nie żyje!

Nie wiedział, co robić. Wpadł w panikę. „Kręcić 999? Wołać o pomoc sąsiadów? Jezu, tak wcześnie rano mógłby ich poderwać na nogi jedynie atak atomowy. Na miłość boską, musimy zawieźć go do szpitala, a ja nie umiem prowadzić!”

Stojąc i trzymając w ramionach poranionego synka, spojrział na Angelę. Kajmany już ją zostawiły, ale obie dłonie kobiety wyglądały jak zmiażdżone w prasie hydraulicznej. Siedziała na ziemi ogłuszona tym, co się stało. Z niedowierzaniem patrzyła na swoje rany. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała oszaleć.

Kiedy David Stone obserwował całą tę scenę, trzy kajmany rozpoczęły pospieszny odwrót. Zniknęły w gęstym żywopłocie ruszyły ku rzece. Zachowywały się jak małe dzieci, które nagle postanowiły schronić się pod opiekuńcze skrzydła matki.

David chwiejnym krokiem wszedł do domu,

zostawiając po sobie w hallu krwawe ślady. Jakoś udało mu się śliskim od posoki palcem nakręcić numer. Potem zaczął krzyczeć do mikrofonu. W kuchni histerycznie jęczała już Angela. A potem usłyszał głuchy łomot, który uświadomił mu, że żona zemdląa.

Zdarł z siebie piżamę i usiłował zawinąć w nią dziecko, robiąc co się tylko dało, aby powstrzymać krwotoki.

Taki widok zastała przybyła w dziesięć minut później załoga karetki: nagi mężczyzna i chłopiec na zalanym krwią dywanie w hallu i nieprzytomna, krwawiąca kobieta na podłodze w kuchni. Przez chwilę patrzyli na to z przerażeniem.

Potem kopnęli się po nosze. Na pytania czas będzie później.

6

Philip Grant nie mógł zasnąć. Leżał na kanapie w swojej zagraconej sypialni odziany jedynie w nylonowe spodnie od piżamy. Powodem był cholerny upał. Początkowo myślał, że zanosi się na burzę. Ale nic z tego. W ciągu ostatnich trzech tygodni zaciągało się już parę razy. Na niebie piętrzyły się mroczne chmury burzowe, a potem gdzieś znikaly. Jałowe groźby. Zastanawiał się, czy w ogóle będzie jeszcze kiedyś padało. Ta fala upałów trwała i trwała. Robiło się coraz bardziej parno i duszno.

Ale nie tylko to nie pozwalało mu zasnąć. Dręczyła go myśl o tych gadach. Jednego zastrzelono, reszta zdołała się ukryć. Teraz już będą bardziej aktywne i bardziej niebezpieczne. Nagle poczuły się zagrożone, a to w każdym gatunku wywołuje najgorszą z możliwych reakcji. Była to tylko kwestia czasu. Wiedział, że nie przeżyją nawet jesieni. Jeśli nie żołnierze, załatwi je brytyjski klimat. Nie miały żadnych szans.

Złapał się na tym, że nasłuchuje: oczekiwał odległego dźwięku syren, strzałów i krzyków. Ale przynajmniej raz miejska noc była niesamowicie cicha. Pominąwszy fakt, że gdzieś – i to niezbyt daleko stąd – ktoś płakał cicho i wstrząsająco. Nie bez zdumienia Philip odkrył, że dźwięk dobiega go z drugiej strony korytarza, z wolnej uprzednio sypialni. Susie!

Usiadł. To na pewno ona, co do tego nie ma

wątpliwości. Napięcie kilku ostatnich dni wreszcie musiało się wyładować. „Powinien zabrać ją do lekarza” – pomyślał. Może dać jej jakiś środek nasenny? Ale gdy jedli razem kolację, wydawało mu się, że dziewczyna czuje się dobrze. Z ulgą opowiadała swoją historię, bo miała kogoś, komu mogła się zwierzyć. Ale oczywiście tak łatwo nie mogła się z tego otrząsnąć.

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Teraz już słyszał ją wyraźnie. Zduszone łkanie i niespokojne wiercenie się jej drobnego ciała. Ktoś musiał ją uspokoić, a poza nim samym nie było nikogo w domu.

Niepewny, co właściwie ma robić, przekręcił gałkę klamki otworzył drzwi do jej pokoju. – Susie?

Płacz ucichł. Usłyszał szelest, jak gdyby dziewczyna pośpiesznie naciągała na siebie pościel. Pchnął drzwi jeszcze o kilka cali. W miejskich mieszkaniach nigdy nie jest tak naprawdę ciemno, zawsze widać poświatę padającą z ulicy. Pokoje, w których nie zaciągnięto zasłon, nieustannie oświetlone są reflektorami przejeżdżających samochodów. Ujrzał więc ją wyraźnie. Leżała wyciągnięta, z poduszką pod głową, przykryta jedynie prześcieradłem. Odwróciła załzawioną twarz ku drzwiom.

– Czy mogę wejść?

– Och, pewnie. Przykro mi, chyba cię nie obudziłam?

– I tak nie spałem. – Wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi. – Też chyba mam kiepską noc. – Usadowił się na skraju jej łóżka.

– Myślę, że powinnam pójść na policję. – Jej głos teraz drżał. – Nie mogę już tego dusić w sobie.

Widać było, że to go zaskoczyło... Po chwili powiedział. – To niczego nie rozwiąże.

– Ale pozbędę się wyrzutów sumienia.

– Twoje sumienie powinno zadowolić się faktem, że wyznałaś wszystko mnie. Zresztą chciałaś z nimi już zerwać wcześniej. Właściwie to odeszłaś od nich w trakcie tej akcji w zoo. Sama przecież nie wyłamywałaś zamków, na dobrą sprawę nawet nie stałaś „na świecy”. Jediną rzeczą, którą zrobiłaś, było zasmarowanie farbą szyldu tam na zewnątrz. W sumie warunkowe zwolnienie i nadzór kuratora przez okres dwunastu miesięcy, młoda damo.

– Ktoś może zostać zabity! – szepnęła ochryple.

– Jeśli kogoś zabiją, a w Bogu pokładam nadzieję, że tak się nie stanie, fakt, że to ty właśnie poszłaś tamtej nocy z Youngiem i jego kolegami, w niczym nie obciąża twojego sumienia. Aligatory i kajmany zostałyby uwolnione, nawet gdyby cię tam nie było.

– Myślę, że masz rację. – Jakoś wydusiła z siebie uśmiech, pozwoliła też, by ujął jej dłoń. W odpowiedzi sama ścisnęła jego palce. – A jednak się boję. Boję się wielu rzeczy. Maurice nie pozwoli mi odejść.

– Zmył się. – Philip uśmiechnął się w półmroku. – Nie mówiłem ci tego przy kolacji, ale gdy wracałem od Duttonów, zajrzałem do jego mieszkania. Ktoś zabrał stamtąd wszystkie rzeczy, a on oczywiście prysnął.

– O, rozumiem.

– Prawdopodobnie wrócił do Londynu i planuje swoją następną szurniętą akcję.

– Nie – potrząsnęła głową. – Nigdy nie rozumiałam, jak funkcjonuje jego umysł, ale to jedno wiem na pewno. Zechce rozkoszować się tą sytuacją. Będzie kręcił się gdzieś tu w pobliżu, oczekując i obserwując. On *chce*, aby ktoś został zabity, bo myśli, że to nada wielki rozgłos sprawie uwalniania zwierząt.

– Sympatyczny gość. – Weterynarz oparł się o poduszkę obok dziewczyny i objął Susie ramieniem, jak gdyby biorąc ją w obronę. – Ale tutaj jesteś bezpieczna. Od jutra nigdzie nie ruszasz się beze mnie, a tutaj nic ci nie grozi. Odpręż się. W końcu nieoczekiwanie trafiło ci się mieszkanie i praca. Ludzie mówią, że żaden wiatr nie jest aż tak zły, by nikomu nie przynieść dobrych wieści. W twoim przypadku przysłowie się sprawdziło.

– Dziękuję, Philipie. – Odwróciła ku niemu twarz. Ujrzał w mroku błysk jej skośnych oczu, zobaczył jej pełne czerwone wargi tuż przy swoich ustach i pochylił się ku niej.

Pod wpływem miękkiego delikatnego dotyku całe jego ciało zadrżało. Usta Susie, ciepłe i chętne rozchyliły się lekko, jak gdyby zapraszając jego język do środka. Szczupłe ciało dziewczyny również lekko zadrżało i jeszcze zanim zsunęła z siebie prześcieradło, Grant wiedział, że jest zupełnie naga. Chciał zapomnieć, że jej ciała, badanego teraz czule przez jego palce, dotykał

kiedyś i Maurice Young. Ta sama słodka dziewczyna leżała kiedyś z innym i... Psiakrew, przecież to nie miało znaczenia. Philip postanowił wymazać z pamięci jej przeszłość.

Sumienie podpowiadało mu, że wykorzystuje sytuację, że krzywdzi dziewczynę. Niech to licho – takie rozumowanie budziło w nim wewnętrzny sprzeciw. Oboje odczuwali swoje wyrzuty sumienia. Jeśli zaczną je rozpamiętywać, to wszystko mogą zniszczyć. Los zetknął ich ze sobą i i widocznie tak musiało się skończyć.

Susie jęknęła cicho i przytuliła się do niego. Jej palce odnalazły elastyczny ściągacz od spodni jego piżamy. Kiedy je zsunęła, zrozumiał, że pragnęła tego równie silnie jak on jej. Chciał powiedzieć, że ją kocha, ale uznał, że jeszcze jest za wcześnie. To były w końcu ich pierwsze spędzone wspólnie chwile, musieli się lepiej poznać.

Myśląc o tym, pragnął powstrzymać się od zrobienia decydującego kroku. Nastąpiła krótka chwila oczekiwania i niepewności. I wtedy jej dłoń wślizgnęła się pomiędzy ich przytulone do siebie ciała, odnalazła pulsujący mięsień i pogładziła delikatnie, a potem poprowadziła tam, gdzie go pragnęła.

Gdy później, wyczerpani leżeli obok siebie, ich ciała lśniły od potu, a oni całowali się czule i delikatnie. Nawet nie próbowali rozmawiać, ponieważ słowa nie mogłyby oddać tego, co czuli. A potem zasnęli.

– No i co pan o tym sądzi? – na twarzy inspektora

Carvera pojawił się zwycięski uśmiech.

– Nie żyje z całą pewnością – odparł Philip Grant. – To następny z tych północnoamerykańskich. Jak to się stało, że jest martwy?

– Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć od pana.

Philip westchnął. Stworzenie znajdowało się na ścieżce biegnącej wzdłuż brzegu rzeki w miejscu, w którym zostało wyciągnięte z wody przez kilku żołnierzy. Do jego łap nadal jeszcze przywiązane były liny. Teraz leżało nieruchome, brzuchem do góry, ze szczękami zaciśniętymi kurczowo, tak jak gdyby w ostatnich chwilach życia doznało bólów agonii, a oczy gada pozostały otwarte, martwe i bez wyrazu. Do łusek przyczepiły się wodorosty.

– Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Chciał pan, żeby było martwe, nieprawdaż, inspektorze?

– Tak, ale musimy wiedzieć, dlaczego zdechło. Możliwe, że w rzece czy w ogóle w otoczeniu jest coś, co zabiło to zwierzę. Jeśli tak, to może ta sama przyczyna spowoduje śmierć innych. ..I tak rozwiązałby się cały problem” – pomyślał, choć nie powiedział tego na głos.

– Muszę więc wrócić do swojej przychodni – weterynarz nie ociągał się specjalnie. – Pójdę i wezmę potrzebne narzędzia. – Przerwał, by rzucić okiem na szeroki, mętny nurt rzeki. Po drugiej stronie znajdował się miejski klub piłki nożnej ze swoimi boiskami i tarasami. Widział reflektory górujące nad małą świątynią drugorzędnych miłośników futbolu. W trakcie większości

meczów rozgrywanych na tym boisku piłka przynajmniej raz opuszczała stadion i lądowała w rzece. Tradycyjnie, a tradycja ta datowała się jeszcze z okresu międzywojennego, wylawiano piłkę przy pomocy podrywki. Być może w przyszłym sezonie wrócą do tej tradycji. Chyba do tego czasu wylapie się wszystkie gady, bo inaczej piłkę trzeba będzie spisywać na straty. Niestety dopiero w drugiej połowie października powieją chłodne wiatry i rzeka będzie znowu bezpieczna.

– O czym pan teraz myśli? – zapytał Carver.

– O zwierzętach. Dzikich. I o przedstawicielach rodzaju ludzkiego. – Grant odwrócił się, zamierzając odejść. – Inspektorze, czy przyszło panu do głowy, że w ciągu kilku godzin sobotniego popołudnia ludzie sami sobie zadają więcej ran, niż prawdopodobnie spowodują to te kajmany i aligatory podczas całego swojego krótkiego pobytu na wolności? A przy okazji, co z chłopcem?

– Jest na oddziale intensywnej terapii. Bez przerwy. Ma pięćdziesiąt procent szans, że z tego wyjdzie. Być może, panie Grant, pomoże to panu uświadomić sobie stopień zagrożenia. Dużo też czasu upłynie, zanim jego matka odzyska władzę w dłoniach.

– To nie była wina kajmanów. Z tego, co usłyszałem od pana, wnioskuję, że chłopak wstał wcześnie rano i wyszedł, by się pobawić. Myślał, że są to są wielkie traszki. Jeśli mamy już winić kogokolwiek, to jego ojca. Tak samo jak należałoby winić samych ojców za to, że ich

synowie stają się rozrabiającymi na meczach chuliganami.

Pół godziny później Philip Grant rozpoczął sekcję aligatora. W ciepłych promieniach słońca pocił się obficie i usiłował skupić się na czymś innym. Jednak co chwilę wracał myślami do wykonywanej właśnie pracy.

Rozciął podłużnie brzuch – w dotyku wszystko było zimne. Musiał użyć siły, by odsunąć mięśnie. Zagłębiając się w okolice serca i aorty, wyciągnął oskrzela. Wyjął też i otworzył płuco, długie, purpurowe i płaskie jak dziecięcy balonik, z którego wypuszczono powietrze. Patrzył na nie przez chwilę, potem jego rysy stężały i gdy wreszcie podniósł oczy na inspektora, czaił się w nich gniew.

– Inspektorze – syknął – czy jest coś, o czym nie raczył mnie pan poinformować?

– Na miłość boską, co pan wygaduje? – zaskoczony policjant również spojrział na niego. Chodzi o użycie związków cyjanku. Mówił pan przedtem o tej możliwości.

– Nie – Carver potrząsnął głową. – Braliśmy to pod uwagę. Nawet przedłożyłem ją odpowiednim władzom, ale były temu przeciwnie. Rzeka jest zbyt duża. Potrzebowalibyśmy całych ton trucizny i w ten sposób zniszczylibyśmy w niej wszystkie formy życia.

– To samo powiedziałem wam i ja. – Philip wyprostował się, w dłoni trzymał rozcięte płuco zwierzęcia. – No więc, panie inspektorze, mam dla pana nowinę. *Ten aligator zdechł na skutek otrucia związkami cyjanku. Dostał dużą dawkę, powiedziałbym, że wystarczającą do zabicia słonia. Związki cyjanku wiążą*

tlen z wodą, Ryby i gady w ciągu kilku minut giną uduszone. – Odwrócił się i wskazał ręką wodę. – Zaczynajcie lepiej pobierać próbki wody. Istnieją podstawy pozwalające przypuszczać, że cała rzeka jest zatruta.

– Mój Boże! – Carver nieoczekiwanie zbladł. – Ktoś wie o wodzie związki cyjanku, ale zapewniam pana, że to me my. Mowy nie ma! Zaraz telefonicznie ściągnę tu z Wydziału Gospodarki Wodnej Reevesa i od razu to wyjaśnimy.

Philip odwrócił się. Sytuacja stawała się o wiele bardziej niebezpieczna niż pozostałe gady na wolności razem wzięte. „Być może było to dzieło jakiejś zwariowanej samozwańczej straży obywatelskiej” – pomyślał. – „Tacy amatorzy stanowią zagrożenie dużo większe niż wszystkie grupy miłośników zwierząt. Nie bacząc na konsekwencje, używają wszelkich możliwych środków, żeby zabić krokodyle.”

Dopiero w południe mógł powrócić do lecznicy. Pamela zajmowała się w pokoiku przygotowywaniem leków w pokoiku na zapleczu. Susie przeglądała książkę przyjęć, zaznaczając te rachunki, które dawno już powinny były zostać zapłacone. Skinął głową i walcząc z uczuciem beznadziejności i rozpaczyny udał się do swojego gabinetu. Nikt przecież, rozumował, nie mógłby nabyć nielegalnie takiej ilości związków cyjanku. Musiało być jakieś wytłumaczenie. Ale jakie? Na miłość boską, *jakie?*

Pół godziny później zadzwonił telefon. Philip podniósł słuchawkę i usłyszał głos Carvera.

– Aby pana uspokoić – odezwał się inspektor – powiem od razu, że przedstawiciele Wydziału Gospodarki Wodnej pobrali tuzin próbek z różnych miejsc pomiędzy mostami Walijskim i Angielskim. W wodzie nie ma śladu związków cyjanku.

Philip odetchnął z ulgą. Poczul, że jego ciało zaczyna nagle drżeć.

– Ale znaleźliśmy jeszcze jednego martwego aligatora, tego z północnoamerykańskich.

– Gdzie?

– Przy moście Walijskim, po drugiej stronie zapory z sieci. Muszę pana poprosić o dokonanie kolejnych badań, choć tym razem można się założyć, że to związki cyjanku. Martwi mnie jednak, że sukinsyn został znaleziony poza zamkniętym przez nas odcinkiem rzeki.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – odpowiedział Philip. – Aligatory często wychodzą na brzeg. I tak czy inaczej, niektóre mogły popłynąć w górę albo w dół rzeki, zanim ją zamknęliście. Tak przynajmniej to widzę.

– Zamierzamy przeszukać dno rzeki – mówił dalej policjant. – Skorzystamy z motorówek i ciężkich włók i haków. Jeśli te skurwiele są gdzieś w obrębie miasta, na pewno je wyłuskamy.

– „Podziwiam pański optymizm” – pomyślał Philip. – Czy są jakieś wieści o chłopcu?

– Umarł godzinę temu. Matka i ojciec nadal pozostają pod działaniem środków uśmierzających ból i usypiających. Grant, musimy dopaść te bydłeta, zanim

zginie ktoś jeszcze.

Philip położył słuchawkę i przez chwilę siedział nieruchomo. Patrzył po prostu na pomalowaną emulsją ścianę naprzeciw. Nie ma wątpliwości. Kajmany zasmakowały w ludzkim mięsie. Polubiły je i będą go szukać w przyszłości. Musiał zapomnieć o swoim współczuciu dla tych stworzeń. Kompromis był nie do pomyślenia.

Ale te dwa wypadki użycia związków cyjanku pozostawały nadal tajemnicą. Ona również powinna zostać rozwikłana.

Nagle wszystko zaczynało wymykać się spod kontroli.

7

Elwyn Evans miał czterdzieści dwa lata i przedwcześnie siwiejące, zwichrzone włosy. Był wysoki, szczupły i nawet mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby poświęcał nieco więcej czasu swojemu wyglądowi. Ale strażnik wodny, mówił sobie niejednokrotnie, musi stać się nieczuły na cwaniactwo i brud. „Większość czasu spędzasz nad rzeką, grzebiąc w mule i błocie. Jeśli nawet oczyścisz swoje ubranie, i tak wkrótce będziesz brudny ponownie. Po cóż więc dbać o wygląd?”

Ostatnie dziesięć lat przynosiło mu nieustanne rozczarowania, ale było już za późno, żeby cokolwiek zmienić. Nie znajdzie już innej pracy, właściwie wcale tego nie chciał. Na złe czy dobre, związał swój los z rzeką.

Czasami, gdy nachodziła go nostalgia, wracał myślami do starych dni Dolgellau. Gorzej czy lepiej, ale było zupełnie inaczej. Oczywiście i wtedy miewał do czynienia z kłusownikami, ale byli nimi ludzie miejscowi, zadowoleni, jeśli złapali pstrąga lub łososa na kolację. Konserwatywni i szanowali ryby. Cholernie dobrze wiedzieli, że jeśli łosoś nie złoży ikry, to w przyszłym roku nie złowią żadnego. Często też zdarzało się, że specjalnie nie dostrzegał kłusowników. Niezależnie od tego, co głosił sir Henry Richards, właściciel ziemski, ich zajęcia nie przynosiło nikomu krzywdy. W pewnym

sensie ci kłusownicy byli nawet użyteczni. Gdy w okolicy pojawiali się amatorzy połowów na większą skalę przy użyciu sieci, chłopcy w ten czy inny sposób dawali mu znać. Stawali się kimś w rodzaju nieformalnych strażników. Piękne to były czasy, ale nie trwały długo.

Szajki kłusowników wzięły się do solidnej roboty i nie dość im było zwykłego łowienia siecią. Nie zadowalał ich skromny połów – chcieli *łupu na dużą skalę*, bez względu na cenę. Najpierw przyszła era środków wybuchowych. Tuziny ogłuszonych ryb spływały z prądem, wyławiano je kosztami. A potem trucizna. Elwyn wzdrygnął się na samo wspomnienie. Dynamit przynajmniej zabijał natychmiast. Śmierć od związków cyjanku trwała może minutę, ale to było okrucieństwo! Całe odcinki rzeki oczyszczono z ryb. Najlepsze trafiały na place targowe, okonie i płocie zostawiano, aby gniły. Wszystko dla forsy. Z chciwości.

Po robocie kłusowników pozostawała sama obrzydliwość. Martwe ryby spływały z prądem i grzęzły w wodorostach. Podczas upałów gnijące ryby potwornie śmierdziały i obowiązek Elwyna stanowiło wydobywanie i zakopywanie resztek. Chciał się przenieść, znaleźć pracę tam, gdzie nie było tak wiele łososia. Mniejsze rzeki nie okazywały się przedmiotem nieustannych najazdów bezwzględnych gangów. Sęk w tym, że jego żona, Elspeth, nie chciała się ruszać z miejsca. Na samą myśl przenosinach wybuchała płaczem.

Od pięciu lat ich małżeństwo przechodziło kryzys.

Rozmyślając o przeszłości, niejednokrotnie zastanawiał się, po co w ogóle poślubił Elspeth. Przyczyną tej decyzji był jego temperament i jej pomysłowość. Zawarł małżeństwo prawie pod groźbą dubeltówek. Jej rodzina nie darzyła go zbyt wielkim szacunkiem. Jednak był tolerowany ze względu na córkę. Nie poślubia się po prostu żony – poślubia się całą jej rodzinę. Wkrótce, nieomal na własnej skórze, przekonał się o tym. Elspeth spędzała więcej czasu u swojej matki niż w ich domku. Dlatego właśnie Elwyn związał się z Wendy. Przeprowadził się do miasta i za 80 funtów tygodniowo podjął się pracy strażnika wodnego. Załatwił mu ją sir Henry, o czym zresztą Elwyn doskonale wiedział. Właściciel ziemski chciał zapobiec skandalowi na swoim terenie, znanym z obfitości łososia w rzece. Jego lordowska mość nie życzył sobie, aby jego pasję rybacką w jakikolwiek sposób łączono z „Kochankiem Lady Chatterley”.

Po raz pierwszy Elwyn spotkał Wendy w dole rzeki w pewne czerwcowe popołudnie. Była łakomym kąskiem. Dziewczyna leżała z zamkniętymi oczyma i opalała się w skąpym bikini. Nie usłyszała jego nadejścia i początkowo myślał, że śpi. Szczupłe ciało dziewczyny przybrało nieświadomie erotyczną pozę, uda miała nieco rozchylone, a spod półprzezroczystych majteczek wysuwała się kępka włosów łonowych. Widać było szczelinę. Biustonosz zakrywał jedynie sutki. Oddychała łagodnie, płaski brzuch wznosił się i opadał, ale w jej

nieco zuchwałych rysach krył się cień smutku i Elwynowi zrobiło się jej żal. Zauważył, że nawet we śnie coś ją dręczy.

Stał i przez chwilę patrzył. Jej powieki uniosły się i spojrzała mu wprost w oczy. W pierwszej chwili była nieco zaskoczona. Potem ujrzał błysk słońca w zbierających się w kącikach jej oczu łzach.

– Och – usłyszał stłumione łkanie – myślałam, że to...

– Kto? – Elwyn zainteresował się dość nieoczekiwanie dla samego siebie.

– Nie, to bzdura – wydawało się, że usiłuje powstrzymać wciąż napływające łzy. – Przez chwilę myślałam, że pan to Ron. Mój chłopak. Ale on nie wróci, bo między nami wszystko skończone. – Ma... wie pan... kogoś innego. – Przegrała bitwę z własnymi łzami i odwracając głowę pozwoliła im spływać po policzkach. – Ja... chciałam się utopić... ale zabrakło mi odwagi.

– Współczuję panience... Strażnik wodny czuł się nieco zakłopotany. Nigdy przedtem nie był świadkiem aż takiej rozpacz. Czuł się niezręcznie, jak ktoś, kto nieproszony wdziera się do czyjegoś złamanego serca. Podeszedł do niej i przyklęknął obok na jedno kolano. – Jeśli jest coś, w czym mógłbym pomóc...

– Niech pan po prostu posiedzi ze mną przez chwilę. – Odwróciła głowę i nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Delikatne ciało drżało targane płaczem. Nie mógł tak po prostu odejść i zostawić ją. Nie wiedział, co może wpaść jej do głowy w przypiływie nagłej rozpacz.

Po chwili przestała płakać. Obróciła się i spojrzała na niego. Łzy już zdążyły wyschnąć, nie zostawiając żadnego śladu. „Błyskawicznie przyszła do siebie” – pomyślał, widząc, jak się uśmiecha.

– To niesamowite – powiedziała. – Wie pan, wygląda pan całkiem jak Ron.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ten sam odcień włosów, te same rysy twarzy. Taki duży i silny. – Wyciągnęła rękę, odnalazła jego dłoń i uścisnęła ją. Puls Elwyna zdecydowanie przyspieszył. – To podobieństwo jest zupełnie niesamowite.

Uniosła drugą rękę i objęła go za szyję. Przyciągnęła jego usta do swoich. To było coś znacznie więcej niż zwykły pocałunek. Miękkie czerwone wargi wpiły się w jego usta, ciało odwróciło się tak, że piersi dziewczyny przylgnęły do jego torsu i ocierały się o niego. Czuł, że jej sutki sztywnieją i to go podnieciło. Wzbierało w nim pożądanie i wiedział, że ona czuje jego twardość wpierającą się w jej udo.

Po chwili westchnęła i zamruczała... – To samo działo się z Ronem, gdy go całowałam. Ale zachowywałam się jak kocica i zmuszałam, by mnie błagał, zanim mu pozwoliłam na wszystko. Może to był błąd, ale teraz już za późno na żale. Nie będę się sprzeciwiała, jeśli jakiś gość będzie chciał mnie przelecieć. – Teraz przesuwiała palcami po jego moleskinowych spodniach, sięgając do rozporka. – Gdyby kochał mnie teraz silny mężczyzna,

poczułabym się lepiej.

– Ile masz lat? – zapytał ochryplym głosem, choć był już tak podniecony, że nie miało to przesadnie wielkiego znaczenia. Otworzyła tam błyskawiczny zamek w jego spodniach i wsunęła tam palce.

– Szesnaście. Wystarczy. Ale nie *musisz*, jeśli nie chcesz. Wiem, że to bardzo brzydko z mojej strony. Nie znam nawet twojego imienia. Ale bardzo by mi to pomogło.

– Mam na imię Elwyn. – Pomógł jej zdjąć sobie spodnie, równocześnie kopnięciami zrzucając nieprzemakalne buty.

Ona już była naga i zdejmowała z niego koszulę. W pośpiechu urwała mu guzik. Zachwycała się jego potężnym ciałem, przesuając po nim gładkimi palcami, jej dłoń dotarła tam, gdzie przed chwilą już była. Przyciągając go ku sobie, uniosła w górę biodra. Na krótko mignęła mu myśl, nagła troska, że być może ona nie zażywa pigułek – ale nie, musiała zażywać, nie pozwoliłaby mu tak po prostu wejść w siebie.

Ten pierwszy raz trwał zaledwie kilka minut, a potem leżeli oboje, grzejąc się w ciepłych promieniach słońca. Opowiadał jej o Elspeth i o tym, jak bardzo pragnął wyjechać stąd, niestety żona nie zgadzała się na wyjazd.

– Ja bym pojechała – oczy jej rozszerzyły się i w powietrzu zadźwięczał jej melodyjny śmiech. – Gdybym miała taką szansę, poszłabym za takim gościem jak ty dokądkolwiek. Myślę, że Ron przy tobie odpada w

przedbiegach.

„Jakim wtedy był cholernym durniem” – myślał teraz. Wendy starannie przygotowała wszystko po to, by go usidlić. Obserwowała i szpiegowała go od dawna. Padł ofiarą chętki, którą miała na niego głupia smarkula. I wcale *nie miała* szesnastu lat, kończyła je dopiero w październiku następnego roku. Wyszło to na jaw, kiedy okazało się, że jest w ciąży. Jej rodzice złożyli skargę na policji. Elspeth przeżyła okres załamania nerwowego i wróciła do swojej matki. Wendy oddano pod nadzór kuratora, Elwynowi zabroniono się z nią widywać i wszyscy czekali na rozprawę.

Elwyn wiedział, że gdyby nie sir Henry, byłby skończony. Ten Wybitny gentelman był nie tylko sędzią pokoju. Połowa mieszkańców Merioneth (tak zwało się miasteczko, zanim jakiś głupi pierdoła nie zdecydował, że przemianuje je na Gwynedd) chętnie wykonywała jego życzenia. Wkrótce strażnik wodny dowiedział się, że oskarżenie przeciw niemu zostało wycofane.

Sir Henry nie poprzestał na tym. Dał mu wspaniałe referencje i prawdopodobnie to on załatwił Elwynowi pracę strażnika rzeczno podległego władzom miejskim. Elwyn chwycił się tej jedynej deski ratunku i czmychnął, zanim ktokolwiek zdążył się rozmyślić. Zostawił Elspeth pod opieką matki, a Wendy samą. Z przyszłym dzieckiem. Dowiedział się później, że rodzicom udało się namówić ją na zabieg.

Rozpoczął pracę na nowym odcinku bogatej w łososie

rzeki. Był zdecydowany pozostawić widma przeszłości za granicami Walii, a tutaj urządzić sobie życie od nowa. Kłusownicy jednak nie szanowali tu ani człowieka, ani ryb.

Wiedział, że operują na jego odcinku. Miejscowi opowiadali o widywanych po zmroku i poruszających się wzdłuż brzegów pochodniach. A gdzie wtedy był strażnik wodny? Zanim jeszcze zaczęli zadawać to pytanie przełożeni, Elwyn zdążył już zapomnieć o tym, że w ogóle miał łóżko.

Zbiegłymi z zoo aligatorami nie przejął się w ogóle. Nad brzegami rzeki na odcinku miejskim rozciągnięto sieci. A więc był to problem mieszczuchów. On miał się zajmować kłusownikami.

Powrócił do nocnych patroli. Policja nie pomagała mu w nich, bo jej członkowie zajęci byli próbami schwywania aligatorów.

Uzbroił się w jednolufową strzelbę i rozpoczął nocne czuwanie w strategicznych punktach na brzegach rzeki.

Ktoś lub coś niepokoiło ryby, to było pewne. Wyczuwały niebezpieczeństwo, było ich niewiele, a reszta gdzieś przepadła. Nie chciał myśleć o tym, ile z nich padło już ofiarą kłusowników.

Po tygodniu bezsennych nocy Elwyn zobaczył ich w odległości może pół mili w górę rzeki. Zapaliły się prawie natychmiast zgaszone latarki. Krótki błysk światła, który miał ukazać kłusownikom, gdzie otrute ryby wyrzucało na

brzeg. Potem znów zapanowały ciemność i cisza. W sercu Elwyna Evansa zapłonęła gorączka myśliwego.

Wiedział, że powinien tam pójść i zbadać wszystko na miejscu. Zdawał sobie doskonale sprawę z zagrożenia. Nie była to pora na włóczęgów z podrywkami szukających łososia na kolację przy ognisku. Miał do czynienia z dobrze zorganizowaną szajką i w grę wchodziły duże pieniądze. Aby uniknąć rozpoznania i aresztu nie cofną się przed morderstwem z zimną krwią.

Nie miał jednak wyboru. Załadował starą strzelbę dwunastkę systemu Cooeya, odwiódł kurek i wzdłuż brzegu zaczął przekradać się w stronę, gdzie dostrzegł światła. Noc nagle zrobiła się zimna i wroga. Poczł żal, że nie został przy Elspeth. Postanowił, że jeśli go zmuszą, to strzeli – rozpieprzy skurwieli. Lepiej zostać oskarżonym o zabójstwo, niż skończyć w kostnicy.

Usłyszał hałasy, jak gdyby szamotali się z czymś w wodzie. To by się zgadzało. Wyobraził sobie ludzi w płaszczach z kapturami, w długich nieprzemakalnych butach, którzy taplali się na płyciźnie i rzucali martwe ryby kolegom na brzegu. Mieli na widoku zarobek po dwa funty od półtorakilogramowego łososia i guzik ich obchodziły ustawy ochronne. Elwyn był przestraszony i wściekły. Jezu, robili cholernie dużo hałasu! Wydało mu się, że słyszy jakiś wrzask, ale był jeszcze zbyt daleko, by wiedzieć to na pewno. Prawdopodobnie klęli, bo łup był niewielki. Bezczelne skurwiele, nie przejmowali się tym, że w pobliżu mógł być strażnik wodny i że mógł słyszeć

ich okrzyki. Okazywali mu w ten sposób swoją pogardę i lekceważenie. Wiedzieli, że policja ma pełne ręce roboty przy pościgu za aligatorami. Strażnik zachichotał cichutko pod nosem. Nie wzięli jednak pod uwagę możliwości nadziania się na ładunek grubego kaczego śrutu.

Nieoczekiwanie zrobiło się cicho. Zbyt cicho. A po kilku sekundach ciszę rozdarł ochryply wrzask. Rozbrzmiewał przerażeniem, a panująca nad rzeką cisza tak wzmocniła dźwięk, że uderzył Elwyna Evansa prawie jak fizyczny cios. Jacyś ludzie wyli tam i wrzeszczeli. Potem znowu zapadła cisza.

Strażnik znieruchomiał, próbując zebrać myśli. Jednej rzeczy był pewien – kłusownikom przytrafiło się coś bardzo nieprzyjemnego. Nie było to takie złe – oszczędziło mu wielu kłopotów. W myślach odtworzył sobie obraz rzeki przed nimi. Początkowo biegła prosto, potem był zakręt, a później ciągnąca się może ćwierć mili głębia. Z nieoczekiwaną ulgą opanował przyspieszony oddech. Oczywiście – skurwieli wcięło! Chciwe świnię, spieszyły się, by otrute ryby, swój łup, zabrać tam, gdzie go zniosło na brzeg. W niektórych miejscach brzegi się obsunęły i wpadli! „Och Jezu” – pomyślał – „to zbyt piękne, żeby mogło okazać się prawdą”. Serce biło mu głośno, a w uszach mu chuczało, kiedy znowu ruszył przed siebie. Oparł się pokusie użycia latarki. Na brzegu mogli pozostać jeszcze inni. Poruszał się ostrożnie, ale nawet po ciemku znał tę ścieżkę na tyle dobrze, że czuł się zupełnie swobodnie. Strzelbę trzymał w pogotowiu – tak

na wszelki wypadek.

W pewnej chwili pomyślał, że coś słyszy przed sobą, ale znowu nie miał całkowitej pewności. „Teraz to już blisko” – pomyślał. Nie zamierzał im pomagać. „Niech się skurczybyki potopiają. Sami się w to wpakowali – jemu zaś i sądom oszczędzone zostanie mnóstwo czasu.”

Natrafił stopą na jakiś dziwny przedmiot i omal nie stracił równowagi. To coś było ciężkie, a trącone nogą wydało obrzydliwy, mlaszczący dźwięk. Cofnął się i poświecił latarką.

– O Jezu, Chryste wszechmogący! Był to człowiek, a raczej tylko jego część. Przypuszczał, że był to mężczyzna. Mogła to też być kobieta, choć ta ostatnia możliwość wydawała się mniej prawdopodobna. Poszarpane ciało, właściwie tylko tors, dwie nogi i ręka. Głowy i jednego ramienia brakowało. Wszystko poszarpane, porozdzierane. Z wielu ran wciąż jeszcze sączyła się krew.

Cofnął się, pełen chęci do natychmiastowej ucieczki, ale jego latarka teraz ożyła i jak gdyby przejmując inicjatywę zatoczyła półokrąg i oświetliła znajdującą się przed nim ścieżkę, rosnące obok krzaki i...

To wtedy właśnie zobaczył tę bestię. Potężne, pokryte łuskami stworzenie, łypiące maleńkimi, błyskającymi oczkami. Jego potężne szczęki nadal jeszcze z trzaskiem miażdżyły, żuły, rozdzierały i ociekały krwią, zaciskając się na resztkach ludzkiego ciała.

Przypominając sobie to wszystko później, Elwyn pomyślał, że wyglądało to tak, jakby ktoś włączył

telewizor w połowie filmu i usiłował zorientować się w akcji bez znajomości tego, co działo się przedtem. Między nim a bestią leżała oderwana głowa spoczywająca na kępie trawy. Widział wyraźnie rozerwane, krwawe ścięgna i mięśnie szyi. Nad szyją dostrzegł zarośniętą szczękę i usta otwarte do krzyku, którego nigdy już nie miały wydać. W oczach wciąż zaś odbijał się jeszcze horror poprzedzający śmierć.

Trzecie ciało leżało obok w odległości kilku jardów, twarzą ku ziemi. Beznogi korpus krwawiący nadal po podwójnej amputacji. Potwór – nie miał żadnych wątpliwości, że był to jeden ze zbiegłych aligatorów – łapczywie łypał oczyma, przerzucając wzrok z pożeranego mięsa na nowy łup, żywego człowieka, który nieoczekiwanie wyłonił się z ciemności. Potem zwierzę zaczęło jeść żarłocznie, pochłaniając następną ze swoich martwych ofiar.

Światło latarki wyraźnie ukazało leżący nieopodal lśniący kanister. Było coś na nim napisane czerwonymi literami. Gdy Elwyn przeczytał ostrzeżenie „ZWIĄZKI CYJANKU” – wtedy pojął wszystko. Poszczególne elementy ułożyły się w logiczną całość. Kłusownicy zostali zaskoczeni przez – być może nawet czekającego na nich w zasadzce – ludojada. Zabawa ze śmiercią okazała się zgubna dla nich samych.

Dotychczas strażnik reagował jak na zwolnionym filmie, teraz jednak powrócił do życia. Przypomniał sobie, że w dłoniach ściska nabitą broń. Jego spocona skóra

dotykała stali lufy, a kurek przecież był odwiedziony. „Strzelaj” – powiedział sobie. Ale zrozumiał, że nie miałyby to sensu. Wprawdzie gruby, ale kaczy śrut na nic się nie zda przeciwko opancerzonemu potworowi. Pogorszy to tylko sytuację i jeszcze bardziej go rozjuszy.

Zwierzę zaś nie spuszczało z niego oczu i wydawało mu się, że żuje szybciej, jak dziecko, które pospiesznie przetyka pierwsze i drugie danie, aby czym prędzej zająć się deserem.

Oczy bydlęcia łypnęły pożądliwie. Potężne cielsko zmieniło pozycję, ogon lekko drgnął i zmiotł liście po obu stronach ścieżki. Zwierzę szykowało się do następnej śmiertelnej szarży.

Wtedy właśnie Elwyn Evans znalazł dość sił, by odwrócić się i rzucić do ucieczki. Zostawił broń – wiedział, że zawadzałyby mu tylko. Zachłystując się krzykiem w głębi duszy, oszczędzał jednak oddech na oczekujący go długi bieg. Nie zwracał uwagi na nisko wiszące, chłoszczące go po twarzy gałęzie i ciągnące się wzdłuż ścieżki jeżyny, które rozdzierały mu ubranie usiłując zatrzymać na miejscu.

Słyszał, że zwierzę ściga go. Ryk bydlęcej furii dodał Evansowi skrzydeł i podziałął nań niczym ognisty oddech smoka za plecami. Słyszał, jak trzeszczą za nim pękające gałęzie i dudni ziemia. Pędził przekonany, że pękną mu płuca i nogi odmówią posłuszeństwa. Przez ułamek sekundy rozważał możliwość zaprzestania walki. Może zrobiłby to, gdyby miał pewność, że śmierć będzie

natychmiastowa. Przypomniał sobie jednak te na wpół poarte zwłoki, widok oderwanej głowy i poczuł nowe siły w zaczynających go ju zawodzić miśniach.

Jego przeladowca prychał i sapał. Podążając nieubłaganie ladem strażnika, wydał z siebie kolejny ryk wciekłoci. Evans najbardziej obawiał si tego, e podczas uciezki moe zelizgnc si z brzegu do wody. Wiedział, e tam nie miałby adnych szans. Nawet tu, na brzegu, miał niewielkie szanse, by ujc z yciem.

Bestia zbliała si szybko. Nie odwaył si obejrzec do tyłu, ale wiedział, e jest za nim o jard lub dwa i nieustannie zmniejsza t odległoc. „O Jezu Chryste” – pomylał – „nie dam rady bie dalej, zaczynam godzic si ju z klsk”.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wyczuł, e bydl go ju nie ciga. W pierwszej chwili nie odwaył si w to uwierzyc i zataczajc si, biegł przed siebie dalej. Oczekiwał, e lada chwila zostanie rozdarty na sztuki jak tamci kłusownicy. Zapragnał zatrzymac si i zwalic na ciek i leąc tam, po prostu umrzec.

Pod sklepieniem czaszki przez krciutk chwil huczał mu przeraliwie i ogłuszajco – chwilowy zawrt głowy. W dłoniach wci jeszcze trzymał latark. Nie wiedział, czy starczy mu odwagi, by zawiecic j – i spojrzec.

Nie słyzał ju ryku i chrapania potwora. W ogole go nie słyzał. Dobiegał go teraz jaki skrzeczcy hałas i ostre dwiki, ktre przywiodły mu na myl obraz

schwytych w klatce szczurów. Nacisnął przełącznik latarki i posłał ostry strumień białego światła wzdłuż nadrzecznej ścieżki.

Zwierzę nadal tam było. Czarny łuskowaty jaszczur blokujący dróżkę. Światło błysnęło w jego złych czerwonych oczkach, ale prześladowca nie zwracał już uwagi na Evansa, zapomniał o jego obecności. Dookoła niego poruszały się mniejsze stworzenia, śmigając tu i tam, doskakując do tego wielkiego, skrzecząc i wdrapując się na niego z piskiem.

Elwyn potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że te stworki to małe aligatory o długości około jednej stopy. Razem było ich pięć czy sześć sztuk. Nie mógł policzyć dokładnie, gdyż śmigały i wierciły się niespokojnie. Młode tego potwora, nie inaczej. Bestia była samicą, która nagle odnalazła swoje małe. Na jakiś czas zapomniała o wściekłym pościgu, zastąpionym teraz przez konieczność obwąchania i policzenia, a także powitania małych.

Strażnik ostrożnie zaczął się cofać, cały czas obserwując samicę kajmana, obawiając się do ostatka, że bydlę może ponowić atak i pościg. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Zwierzę zebrało małe dookoła siebie i zwróciło się w stronę rzeki. Potem – Elwyn to wszystko obserwował – ześlizgnęło się z brzegu do wody. Usłyszał głośny plusk, a potem małe wskoczyły za matką, jak żaby pluskające się w sadzawce podczas cichej nocy letniej.

Dostrzegł jeszcze tylko niewielki wir na błotnistej

wodzie, zabulgotało coś i zniknęły, jakby w ogóle ich nie było. Gdyby nie poszarpane ciała leżące poza zasięgiem latarki, tam wyżej w zaroślach przy ścieżce, Elwyn Evans mógłby sądzić, że wszystko to jedynie mu się przyśniło.

8

Zgodnie z tym, co twierdzili mieszkańcy osiedla Castlefields, Keith Prescott wart był „osiemdziesiąt pensów za funta”. Niektórzy zresztą uważali, że była to ocena zawyżona i że „pięćdziesiąt pensów za funta” bardziej odpowiadałoby prawdziwej wartości jego zdolności intelektualnych. Ze względu na niektóre z jego uczynków na pewno nie mógł być uważany za normalnego.

Keith Prescott miał lat osiemnaście, przyciężkową figurę, jasne włosy. Zwykle wkładał na siebie dzinsy i drelichową kurtkę. Biorąc pod uwagę dzielnicę miasta, z której się wywodził, nosił się względnie czysto – wyrósł bowiem w kamienicy z balkonami w ostatnim z pozostałych zakątków slumsów – nieustannie zaś grożono lub obiecywano, że dom się zburzy albo przebuduje. Keith Prescott wyglądał dość czysto, ale miał specyficzny zapach ciała, odór, którego nie potrafił się pozbyć.

Mieszkał u cioci Kate, jak twierdzono siostry jego ojca. Nikt nie wiedział, jak to się stało, że ojciec Keitha przepadł gdzieś osiemnaście lat temu, niewielu też pamiętało matkę chłopaka. Wychowała go ciocia Kate, bijąc wtedy, gdy na to zasłużył, a czasami i bez przyczyny. Najczęściej wyganiała bratanka na ulicę, by bawił się tam aż do zmierzchu. Na nic się nie zdało posłanie go do szkoły.

W Coleham był nieustannym źródłem kłopotów i problemów. Regularnie nie zdawał z klasy do klasy. Nie potrafił na niczym skupić uwagi i rozrabiał na placu zabaw w czasie przerw. To Keith stał się powodem ukarania miss Teague, nauczycielki o zasłużonej w szkole reputacji. Nawet ona straciła cierpliwość któregoś dnia. Kiedyś odmówił trzymania za zębami swojego sypiącego przekleństwami języka i wtedy w obecności całej klasy dała mu po twarzy. Rankiem następnego dnia do szkoły przyszła ciotka Kate i wyładowała swój paskudny temperament na mr Brownie, dyrektorze szkoły. A później napisała niezbyt uprzejmy list do władz oświatowych. Miss Teague została wezwana do ich siedziby. Tam zwrócono jej uwagę na niewłaściwość podobnego postępowania i ostrzeżono, by w przyszłości miała się na baczności. Dla Keitha Prescottta było to nieoczekiwane zwycięstwo.

Nie miał żadnych przyjaciół. Nie lubili go inni uczniowie, wielu spośród młodszych kolegów bało się go. Nazywano go „Śmierdzielem”, ponieważ zawsze można było poczuć zapach jego niemytego ciała. W pobliżu szkoły ktoś dopuszczał się aktów wandalizmu, a winowajcy nigdy nie odnaleziono. Wybryki te jednak skończyły się latem, gdy Keith porzucił szkołę.

Następnie zaczął sprawiać nieustanne kłopoty mieszkańcom okolic Castlefields. Ciotka Kate nie pozwalała bratankowi na byczenie się w łóżku przez większą część dnia. Wykopywała go z domu, zanim

codziennie około szóstej rano wychodziła do pracy. Zamykała drzwi tak, by nie mógł wejść z powrotem. Wobec tego musiał się pałętać po ulicach i szukać jakiegoś sposobu na zabicie czasu przez około dwanaście godzin dziennie.

Na krótko zaprzestał swoich wybryków, czym tylko ucieszył stałych mieszkańców. Dwa tygodnie budował motorower z silnikiem o pojemności 50 cm³. Ramę ukradł ze złomowiska handlarzowi starzyzną. Rozklekotany silnik kupił za piątkę pochodzącą z jego zasiłku (co oznaczało, że od tej pory nieustannie zalegał ciotce z opłatą za mieszkanie). Po dwu tygodniach wytężonej pracy udało mu się złożyć maszynę do kupy, choć można było się spierać, czy nadaje się do jazdy po drogach.

Wyjeżdżał przeważnie wieczorami, ograniczając swoje „wypady” do rejonów Queen Street i John Street. Maszyna zanieczyszczała atmosferę spalinami dwutaktu i hałasowała jak piła łańcuchowa na pełnym biegu. Cudownym zrządzeniem losu trwało to pełne dwa tygodnie i nikt nie złożył oficjalnej skargi. Być może powodem były zbiegłe aligatory i kajmany, które skupiły na sobie uwagę wszystkich. Ludzi ogarnęło przerażenie, a policja i tak miała pełne ręce roboty.

W tym czasie Keith Prescott pewnego wieczoru poderwał (a przynajmniej tak mu się zdawało) Sarę Boydell. Popełnił w ten sposób ogromny błąd, choć mając w pamięci swoje poprzednie zwycięstwo nad miss

Teague, nawet tego nie podejrzewał. Boydellowie mieszkali w lepszej części dzielnicy. Roy Boydell był radnym miejskim, a jego żona pracowała w zarządzie WRVS. W swojej szesnastoletniej córce pokładali wielkie nadzieje. Sara ukończyła właśnie szkołę i od września zaczynała studia w liceum sztuk pięknych. Rodzice z całą pewnością nie pozwoliliby jej wieczorami spacerować po ulicach i rozmawiać z „ordynarnymi” miejscowymi chłopcami.

Większość wieczorów Sara spędzała w domu swojej przyjaciółki Teresy, gdzie słuchały płyt albo plotkowały. Jednak w tamten wieczór Teresy nie było. Zamiast wrócić do domu, Sara poszła na spacer do dzielnicy graniczącej z rzeką. Właśnie tam spotkała Keitha Prescottta siedzącego beczynnym na motorze stojącym na poboczu.

– Zakręcimy, koteczku? – Jego uśmiech łączył w sobie żądze, jaką budziły w nim jej kobiece kształty i niechęć z powodu niewielkiego wzrostu dziewczyny. Jeszcze parę lat i będzie z niej piękna dziewczyna – niezła szprycha, jak to określał w duchu.

– Nie – odpowiedziała, ale w jej głosie nie było zdecydowania. Nigdy przedtem nie jeździła na motorze i propozycja wydawała jej się pociągająca. W ten późny wieczór potrzebowała czegoś, co rozproszyłoby jej nudę.

– Dajże spokój. Zawiozę cię gdzie tam nie mieszkasz, założę się, że to tam w górze, gdzie żyjom snoby.

Z trudem oparła się chęci strzelenia go w pysk.

– Tchórzy się, co? Wszystkie snobki som takie!

– Nie boję się wsiąść na pański motocykl – odpowiedziała.

– No to wskakuj. Na co czekasz?

Było to szaleństwo. Odrzuciła logikę i poczucie odpowiedzialności. Może kierowała nią nieświadoma tęsknota do zrobienia czegoś, co nie mieściło się w jej zwyczajach i uporządkowanym życiu, chęć zejścia o jakieś dwa szczeble w dół drabiny społecznej – i niech diabli porwą konsekwencje.

– Doskonale, ale chcę wracać do domu. Proszę mnie odwieźć na koniec Girton Road.

Ciało chłopaka śmierdziało – Sara mogła to wyczuć nawet poprzez duszący zapach chmury spalin. Zrobił rundę naokoło Queen Street i John Street tylko po to, aby się z nią pokazać, jak gdyby mówiąc – „widzicie, co poderwałem, gnojki? Przez resztę tygodnia będziecie mi zazdrościli i zastanawiali się, czy ją posuwam. Jeden-zero dla Prescottta”.

Obejmując go w pasie, przyłgnęła do niego mocno. Czowała, że kręci się jej w głowie i pragnie, by nie brał zakrętów z taką szybkością, że aż ich zarzucało.

– To wystarczy, proszę mnie tu zostawić – krzyknęła mu w ucho ujrawszy, że zbliżają się do końca Girton Road.

Ale chłopak zawrócił w miejscu, przejechał wzdłuż całą ulicę, na drugim jej końcu wykonał przerażająco niebezpieczny zwrot. Jeszcze raz przemknął ulicą, a potem podjechał do krawężnika z hałasem, od którego

motor omal się nie rozleciał.

– Dziękuję panu – zeskoczyła na drżących nieco nogach. „Niech go diabli” – pomyślała – „prosiła przecież, żeby podrzucił ją na *koniec* Girton Road. Oby dobry Bóg nie pozwolił mamie lub tatusiowi nas zobaczyć”.

– Na razie! – silnik z rykiem wyrzucił z siebie chmurę dymu. Chłopak zawrócił i krzyknął jeszcze coś, ale nie mogła tego usłyszeć.

Wszystko to widział jej ojciec. Był akurat przy furtce, gdy motor przelatywał przez Girton Road i nie chciał uwierzyć własnym oczom. Znał dobrze Keitha Prescottta – któż go zresztą nie znał. Twarz Boydella pociemniała z gniewu, gdy obserwował zbliżającą się dziewczynę. Poczucie winy sprawiło, że pobladła.

– Czyś ty oszalała? – krzyknął ojciec.

– Podrzucił mnie tylko do domu. Nie widzę w tym nic złego.

– Jeśli miałaś dość czasu na powrót do domu, powinnaś była zadzwonić i zabrałbym cię stamtąd. Czy wiesz, kim jest ten łobuz?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Za to ja mam... i wkrótce się z nim rozprawię.

Sara otworzyła drzwi sypialni i podsłuchiwała rozmowę, jaką ojciec przeprowadził z telefonu w hallu. Dzwonił na policję i skarżył się na motocykl Prescottta. Brak numerów rejestracyjnych, brak kasków (to prawda, nie dał jej kasku – była to niepokojąca myśl) i czy w ogóle motocykl był

ubezpieczony i wniesiono za niego opłatę? – „Tak, myślę panie posterunkowy, że byłoby nieźle, gdyby pan się przeszedł i zobaczył tego chłopaka.”

W rezultacie motor Keitha wylądował ponownie na złomowisku u handlarza starzyzną, wymieniony na zardzewiały rower. Policjanci nie otworzyli sprawy, prawdopodobnie dlatego, że zbyt zajęci byli szukaniem aligatorów. Poważne ostrzeżenie jednak rozjuszyło Prescottta. Wprawiło go w jeden z jego nieobliczalnych wybuchów gniewu. „Skwituję się z tym tłustym skurwysynem Boydellem” – obiecał sobie solennie. Wypieprzy jego córkę i puści ją w obieg. Albo coś w tym rodzaju.

Zaczął jeździć na rowerze wzdłuż Girton Road, wykrzykując obelgi w stronę domu Boydellów i szybko uciekając. Głośno i ordynarnie podawał w wątpliwość prowadzenie się rodziców Roya Boydella i dziewictwo jego córki.

Przejażdżki te stały się powodem kolejnej wizyty policji u chłopaka. Wtedy też przekazano mu ostatnie ostrzeżenie: „trzymaj się z dala od Girton Road albo przestaniemy zachowywać się po przyjacielsku”. Nawet Prescott potrafił zrozumieć, że jego ataki na radnego były szaleństwem. Ale obiecał sobie, że go załatwi i nie ma mowy, by się poddał. Nie daruje tym skurwielom. Rozważał możliwość zniszczenia czegoś, może nawet podpalenia. Ale nie, policja od razu wzięłaby go na celownik, to musi być coś dużo bardziej wymyślnego. I

wtedy właśnie usłyszał o śmierci Daniela Stone'a i o tym, jak matkę i dziecko poszarpał niedorosły jeszcze kajman. W jego spaczonym umyśle zaczął formować się mglisty początkowo plan. Kryły się w nim pewne możliwości. Chryste! I to jakie!

Następnego wieczoru ponownie przelazł przez płot złomowiska – po osiemnastej zawsze było tu pusto. Zaczął szukać, nie bardzo jeszcze wiedząc czego. Grzebał wśród wraków starych samochodów i starych ram od łóżek. W końcu jednak znalazł to, czego potrzebował.

Wyciągnął zdobycz z kupy złomu i kilkakrotnie łupnął nią ziemię, by oczyścić ją z błota. „Pieprzona robota!” – zaśmiał się i zachichotał sam do siebie, oglądając znalezisko.

Była to podłużna, prostokątna klatka zbudowana z solidnego cynkowanego drutu wzmocnionego spawem. Miała osiemnaście cali długości, dziesięć szerokości i osiem wysokości. Z jednej strony lejkowato zwężający się korytarzyk prowadził ku zapadni w podłodze. Urządzenie miało co prawda złamaną sprężynę, ale można ją było bez trudu naprawić. Była to staromodna łapka na szczury. Kawalek mięsa czy sera na dnie szczur zwabiony zostawał do tunelu. Zapadnia zrzucała stworzenie w dół do dolnej części i droga odwrotu była już odcięta.

Gdy Keith powrócił do domu, natychmiast zabrał się do naprawy sprężyny. Po zapadnięciu ciemności gotów był do zrealizowania swego planu. Bennetowie,

mieszkający dwa bloki dalej, hodowali młode króliki w rozpadającym się baraczkę. Idealnie nadawały się do jego celów. Wykonanie tego, co zamierzał, nie wydawało się takie trudne. Największym problemem było ominięcie żołnierzy i policjantów. Oba brzegi obstawili kordonem, wzdłuż wody rozciągnęli biało-czerwone barierki, a pomiędzy mostami ustawili posterunki wartownicze. Jeszcze za dnia para potężnych motorówek przyholowała tu pod prąd dwie dragi. Obserwujący to wszystko Keith, pomyślał, że ci ludzie znają się na rzeczy i na serio zabierają do roboty.

Przelazł przez płot na tyłach ogrodu i ruszył ku rzece. Skradał się pustym o tej porze brzegiem. Gdy znalazł się o dziesięć jardów od wody, ustawił swoją pułapkę, maskując ją sianem i trawą. Znajdujący się wewnątrz królik podskoczył, rzucił się na siatkę, a potem skulił w rogu klatki. „Może powinienem” pomyślał Kevin – „zostawić mu trochę żarcia i wody? Nie, po co, do cholery, tracić czas. Głupi mały skurwiel i tak wkrótce będzie martwy”.

Wrócił w taki sam sposób, w jaki przyszedł. Dotarł do domu, ponownie przełaząc przez płot. Ciotka Kate właśnie wkładała płaszcz. Bóg jeden wiedział, po cholere nosiła go w taką pogodę. „Wieczorny rytuał” – pomyślał – „niezmienny zimą czy latem. Powrót do domu, herbata, a potem wyjście do »Czerwonego Lwa«”. Tego wieczoru nie było jednak żadnej herbaty.

– Spóźniłam się trochę – stała przed lustrem i

jaskrawoczerwoną szminką malowała sobie usta. – Masz – rzuciła na komodę monetę pięćdziesięciopensową. – Skocz do Jacka i zafunduj sobie rybę i frytki.

– Ryba i frytki są po funcie dwadzieścia – warknął.

– No to kup sobie pasztet i frytki. Albo sam pasztet.

Coś tańszego.

– Pięknie dziękuję – warknął, kopiąc przy tym stół.

– Bądź wdzięczny i za to – wzięła swoją torebkę.

– I nie masz po co łązić do „Lwa” – i tak nie zapłacę za twoją wódę.

Gdy zatrzasnęły się za nią drzwi, poirytowany Keith pokazał nieobecnej ciotce język. Nieoczekiwanie poczuł się potężnie znudzony. Do rana było jeszcze tak daleko. Nie mógł doczekać się chwili, w której pojedzie i zajrzy do pułapki. A gdy złapie już jednego z tych małych drani...

Ostrożnie skradał się wśród krzaków. Wydawało mu się, że jest tu teraz więcej żołnierzy i policjantów niż zwykle. Słyszał jak motorówki pyrkotały, pływając tam i z powrotem wzdłuż rzeki. Ostatnie dziesięć jardów przeczołgał się na kolanach i łokciach. Naraz usłyszał skrzek – ostry, przenikliwy dźwięk, któremu towarzyszył łomot o ściany klatki, jak gdyby coś nieustannie waliło w jej kraty. Poczuł dreszcz podniecenia. Musiał jednak postępować ostrożnie – teraz na pewno nie miał do czynienia z królikiem.

Zafascynowany patrzył na schwytane przez siebie stworzenie. „Chryste” – pomyślał – „co za odrażający

mały skurwiel”. Zwierzę zobaczyło go, wyszczerzyło ostre małe zęby, kłapnęło szczękami, syknęło i uderzyło ogonem o siatkę klatki. Kajman był wściekły i przerażony. Nie zjadł nawet królika, który martwy – prawdopodobnie ze strachu – leżał w rogu pułapki.

– Będziesz miał kupę zabawy. – Uradowany Keith podniósł łapkę na szczury, trzymając ją za uchwyty. Uwięziony kajman szalał z wściekłości, ale nie mógł dosięgnąć zębami palców swojego prześladowcy. – Warto było się potrudzić.

Dziesięć minut później Prescott jechał już na swoim rowerze. Demonstrował czekającym na przystanku autobusowym ludziom, że z rękoma założonymi za głowę potrafi przemknąć przez całą Queen Street. Rozkoszował się myślą o kajmanie w pułapce, schowanej w walącej się przybudówce na węgiel i z góry już się cieszył na następną nocną wyprawę.

Sara Boydell dość wcześnie udała się do swojego pokoju. „Życie robiło się coraz nudniejsze” – pomyślała. Teresa wyjechała z rodzicami do Sussex i miała wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Rodzice nieustannie wypominali Sarze tamtego chłopaka na motorze. Nazywali go „Śmierdzielem”. No cóż, nie mijali się zbyt z prawdą. Przypomniała sobie smród, który czuła w trakcie owej krótkiej, mrożącej krew w żyłach przejażdżki. Ale przecież wcale nie zamierzała się z nim zaprzyjaźnić. Na miły Bóg! Nie chciała go w ogóle więcej

widzieć. Ktoś postronny wysłuchawszy jej matki, mógłby jednak pomyśleć, że stało się nie wiadomo co! Wszystko to było bzdurą, bo Sara nadal pozostawała dziewicą. I wcale nie dlatego, że była taka cnotliwa. Po prostu żaden chłopak nie zainteresował jej tak bardzo, aby poszła z nim do łóżka. Gdy znajdzie się taki, wtedy nic jej nie powstrzyma – i to byłoby na tyle.

Teraz zaś była rozgniewana i przygnębiona. Rodzice poszli na przyjęcie do Bowaterów i według wszelkich oznak na niebie i ziemi nie wrócą wcześniej niż nad ranem. Hugh Bowater był szefem działu planowania przy radzie miejskiej. Wiedziała, że razem z jej ojcem załatwiają wiele interesów.

Wyszłaby z domu, gdyby miała dokąd pójść, ale jeśli idzie rozrywki, miasteczko miało do zaoferowania nie więcej niż kostnica. Musi poczekać do września, gdy się zacznie szkoła. Wpadła w tak ponury nastrój, że wyłączyła nawet magnetofon.

Wzięła jakąś powieść i usiadła na krześle. Niestety, nie potrafiła się skupić. Drukowane słowa zmieniły się w plątaninę nic nie znaczących symboli. Treść umykała przed nią jak błędny ogień na bagnach. Popadła w apatię. Była też wściekła na rodziców za to, że oni wściekali się na nią. „Problemem w tym cholernym domu” – pomyślała – „stała się niezdrowa atmosfera!” Nie mogliście zrobić choć raz porządnej awantury rozładować tego napięcia?

Mogłaby właściwie pójść do łóżka. Jednak nie sądziła, że uda jej się szybko zasnąć, ale cóż innego było

do roboty? Postanowiła, że nie będzie zawracała sobie głowy kąpielą. Może wstać rano i wykąpać się, kiedy starzy będą odsypiali kaca.

– Chodź, Tygrysku – Sara podniosła burobiałego kocura, który zwinął się w kłębek na fotelu, przekonany najwyraźniej o tym, że jest niewidzialny i że nikt go nie zauważy. – Zmiataj na dół. – Otworzyła drzwi i wystawiła zwierzę na korytarz. – Jeśli zechcesz wyjść, musisz poczekać na powrót mamy i tatusia. .No, dalej, nie chce mi się schodzić na dół i nie chcę, żebyś mi miauczał pod drzwiami przez pół nocy. Sio!

Kocur niechętnie ruszył w stronę schodów. Zanim zszedł na dół, obejrzał się jeszcze powoli, jak gdyby pragnąc powiedzieć, że to nie było fair. Chciał jedynie spać razem z Sarą.

Była zbyt spięta, aby zasnąć od razu. Boże! Nienawidziła wakacji spędzanych w domu. W szkole przynajmniej traktowano cię jak osobę *prawie* dorosłą. Tam miało się jakieś przywileje, tu nie było żadnych. Pozostawała nadal małą dziewczynką, której mówiono, z kim jej wolno, a z kim nie wolno się przyjaźnić. „Zresztą” – pomyślała – „ja wcale *nie chcę* przyjaźnić się z tym śmierdzącym chłopakiem”.

Zmęczona i zdenerwowana rozmyślała leniwie o różnych rzeczach. Przewróciła się z boku na bok, próbowała też leżeć na brzuchu. Zdjęła pachnącą pizamę i ułożyła się jeszcze inaczej, usiłując zasnąć od nowa. Wreszcie zapadła w drzemkę.

Drapanie do drzwi sypialni momentalnie ją rozbudziło.

– Tygrysku, idź na dół!

Kot zatrzymał się u drzwi i zaczął się o nie ocierać.

– Zamknij pysk i zmiataj na dół, ty głupi tłusty kocurze!

Zwierzę nie usłuchało i jak gdyby nigdy nic, ponowiło swoje wysiłki. Sara westchnęła.

Przede wszystkim sama powinna była zejść i wystawić kota na zewnątrz. Teraz musiała wstać i to zrobić, a potem ponownie spróbuje zasnąć.

– Psiakrew! – zirytowana wstała gwałtownie i zapaliła światło. – Przypuszczam też, że będziesz miał ochotę na mleko, a ja będę musiała stać i czekać, aż się napijesz.

Otworzyła drzwi. Wtem z mroku korytarza coś rzuciło się ku niej i zatopiło w jej stopie podwójny szereg ostrych zębów. Krzyknęła przeraźliwie, a gdy zatoczyła się na ścianę, zobaczyła napastnika: długie jaszczurkowate ciało, ciemna łuskowata skóra i mały ogon walący wściekle na boki, gdy zwierzę coraz głębiej wgryzało się w jej stopę. Ujrzała swoją krew płynącą strumieniem i plamiącą kremowy, axminsterski dywan.

Czuła, że był śliski i zimny. Chłód napastnika kontrastował z jej ciepłą tryskającą krwią. Wyczuwała siłę i okrucieństwo tego stwora, co sprawiło, że zaczęła histerycznie krzyczeć. Zwierzę puściło ją na chwilę, ale prawie natychmiast wpiło się w drugą stopę Sary, w potworny sposób rozdzierając delikatną skórę. Wszystko

dookoła niej pociemniało. Zdawała sobie sprawę z tego, że pokój wiruje jej przed oczyma i że za chwilę zemdleje. A wtedy to zwierzę zacznie znęcać się nad jej nieprzytomnym, bezbronnym ciałem, wgryzie się w inne delikatniejsze miejsca, w piersi... i gdzie indziej. Zostanie pożarta żywcem!

Rozpaczliwie usiłowała zachować świadomość. Długimi palcami trzymała się ściany i wczepiała się w nią z całej siły. *Nie wolno mi zemdleć!* Co takiego powiedziała jej instruktorka wychowania fizycznego w hali gimnastycznej? Usiądź i opuść głowę między kolana. *Nie mogę – ono rozszarpie mi gardło! O mój Boże!*

I nagle w pokoju rozległo się wściekłe skrzeczenie i parskanie. U jej stóp zawirowały zwarte w walce jakieś ciała... a małe, okrutne i morderczo nastawione stworzenie nie wgryzało się już w jej stopy. Do akcji wkroczył kocur Tygrysek. Ale w tej chwili nie był to leniwy koci marzyciel, ale dziki i nieustraszony łowca małych ssaków, bezwzględny drapieżnik broniący swojej pani.

Uchwycił młodego kajmana za tył głowy i usiłował przyszpilić go do podłogi. Jednak cały czas obrywał od gada ogonem, siekącym powietrze niczym ciężki bat. Była to próba siły. Kocur nie miał szans. A gdy zwierzęta wdały się w otwartą walkę, kły i pazury domowego kota nie mogły sprostać zębom gada.

Przez chwilę Sara obserwowała to wszystko z rosnącym przerażeniem. Zaczęła szukać jakiejś broni, jednak nie znalazła niczego odpowiedniego. Walczące

zwierzęta szamotały się w przejściu i dziewczyna bała się wybiec na schody. Pełna przerażenia rozejrzała się dookoła i jej wzrok padł na łóżko. Staromodne łoże, wysokie na osiemnaście cali. Wskoczyła na nie i usiadła pośrodku, a krwawiące stopy podciągnęła pod siebie.

Tygrysek nie mógł utrzymać już bestii ani chwili dłużej. Rozluźnił uścisk i kajman wyślizgnął się spod niego. Kocur miał teraz do czynienia z rozjuszonym przeciwnikiem, który instynktownie bił się na śmierć i życie. Kajman zakręcił w miejscu i ponownie rzucił się do walki, nieczuły – dzięki grubej skórze – na szarpiące go pazury kota.

Tygrysek szamotał się teraz bezradnie. Gad zacisnął mu szczęki na gardle. Zwierzęta w zwarciu uniosły się na tylne łapy. Kot charczał, a jego ślina nabierała koloru czerwieni, a potem purpury. Z gardła kocura wystrzelił strumień krwi, i wyrysował na dywanie wzór śmierci. Zwierzę wyraźnie słabło i traciło siły.

Szlochy Sary przeszły w ciche łkanie, gdy zobaczyła *coup de grâce*, podczas którego Tygrysek leżał na grzbiecie, bezradnie i niemrawo machając łapkami. Kajman przygwoździł go do ziemi, uderzył w dół i rozszarpał mu gardło, rozdzierając futro i mięśnie. Z tętnic kota najpierw trysnęła fontanna o zabarwieniu purpury i wina, ale wkrótce małe serduszko przestało ją zasilać i tylko niewielki strumyk krwi popłynął po dywanie.

Dziewczyna skuliła się na środku łóżka, krzycząc na gada, żeby sobie poszedł. Zwierzę zmierzyło ją

złośliwymi oczkami i przerażona Sara zobaczyła, że kajman przysiada na podłodze, a jego tylne łapy prężą się do skoku. Kiedy skoczył dziewczyna zamknęła oczy i przygotowała się na kolejny szarpiący ból, gdy te okropne zęby zewrą się na jej ciele.

Usłyszała głuchy łomot uderzenia o dywan, a potem wściekły skrzek. Otworzyła oczy w odpowiednim momencie, by zobaczyć ponowny skok kajmana. Był to żalospny wyczyn, bo zwierzę nie potrafiło podskoczyć wyżej niż na dwa, trzy cale ponad podłogę. Upadło na ziemię, przetoczyło się i zaskrzeczało z bezsilnej furii.

Próbowało jeszcze wspiąć się po jednej z nóg łóżka, ale ześlizgnęło się i zważyło na grzbiet. Wściekłe – przyczaiło się i bacznie ją obserwowało. Sara jednak zrozumiała, że dopóki pozostanie w łóżku, zwierzęciu nie uda się jej dosięgnąć.

Przypomniała sobie teraz o swoich ranach, pościel była przesiąknięta krwią płynącą z jej mocno pokaleczonych stóp. Zaczęła się obawiać, że jeśli szybko nie otrzyma pomocy, może wykrwawić się na śmierć.

Drżącymi dłońmi podarła prześcieradło na pasy i najlepiej jak umiała, obandażowała poszarpane rany. Gdy kilkakrotnie mocno owinęła zaimprovizowany bandaż wokół ran, krwawienie prawie ustało.

Ponownie spojrzała na podłogę, rozumiejąc, że dopóki ten intruz rodem z nocnego koszmaru pozostaje w sypialni, nie wolno jej ryzykować i spuszczać go na dłużej z oczu.

O mój Boże! Nie potrafiła powstrzymać się od wymiotów, którymi splamiła przeciwległy kraniec łóżka. Mały kajman dobrał się do martwego kocura i zaczął metodycznie pożerać swojego niedawnego przeciwnika.

Od tułowia kota oddzierał mięso i futro, które wolno żuł i przełykał. Drobne kości trzaskały, zgniataną na proszek pomiędzy przypominającymi piłę zębami. Gad mlaszcząc, pożerał łapczywie kocie wnętrzności, aż z Tygryśka pozostała jedynie szkarłatna plama na dywanie.

Teraz kajman ponownie zwrócił swoją uwagę ku dziewczynie. Choć zaspokoił głód, najwidoczniej nadal miał ochotę na ludzkie mięso, którego przedtem pozbawił go kot. Wydawał się jeszcze bardziej złowrogi i okrutny – najwyraźniej przygotowywał się na długie czekanie, na wojnę nerwów. Zaczaił się pomiędzy Sarą i drzwiami. *Rozumiał.*

Dziewczyna słabła psychicznie i fizycznie. „Gdyby to wszystko działo się w sypialni rodziców” – pomyślała – „to miałyby pod ręką telefon na stoliku przy łóżku i mogłyby wezwać pomoc”. Ale niestety nie była w stanie porozumieć się ze światem zewnętrznym. Pod ręką nie miała nawet czegoś, czym mogłyby rzucić w okno. W żaden sposób nie mogła zwrócić na siebie uwagi kogoś z zewnątrz.

Ani ostrzec rodziców, którzy właśnie wracali.

9

– Absolutnie nic. W ogóle nic. Ani śladu. – Inspektor Carver patrzył ponad biurkiem na Philipa Granta i Alexa Kerra. W jego głosie brzmiała desperacja.

„I tak oto wróciliśmy do pokoju przesłuchań i musimy zacząć wszystko od początku” – pomyślał. Od punktu wyjścia. Minęły cztery dni, zginęło sześciu ludzi, a aligatory i kajmany nadal pozostawały na wolności. Teraz dopiero podniesie się wrzask. Szef policji będzie szukał kozła ofiarnego. – Cholera jasna! – już wyobrażał sobie słowa tamtego: „Niewielki odcinek angielskiej rzeki i nie potrafisz znaleźć zbiegłych gadów, z których każdy ma po piętnaście stóp! Cholernie to zabawne!”

– Przeszukaliśmy dragą każdy cal dna – mówił dalej Carver. – Gdyby tam były, wyłowilibyśmy je. Zdecydowałbym się nawet na posłanie tam w dół nurka, gdyby nie było to po prostu stratą czasu. Panowie, powiedzcie mi, dokąd te skurwiele mogły zwiać?! Otwarty jestem na wszelkie sugestie. Strzelajcie, panowie. – „Przecież to wy jesteście za to odpowiedzialni, wy sprowadziliście tu to draństwo” – pomyślał.

Alex Kerr spojrzał z ukosa na weterynarza. „Przekazuję ci pałeczkę” – sygnał był dość wyraźny. „Dalej, Philipie, twoja kolej.”

– Myślę, że zatrzasnęliśmy drzwi stajni już po ucieczce koni – i to dosłownie – powiedział Philip. – Jak

do tej pory, w granicach miasta i w jego pobliżu dostrzeżono jedynie aligatory. Przyczyną jest fakt, że lubią one głębszą wodę i właśnie taką mają tutaj. Jasne, niektóre pozostają na wolności, ale kilka z nich już odnaleźliśmy. Nie oddaliły się zbytnio, nawet jeśli niektóre popłynęły w górę rzeki, zanim jeszcze założono bariery. Ci kłusownicy trujący łososie załatwili dwie sztuki, potem musieli natknąć się na trzeciego, leżącego gdzieś na brzegu i mówiąc szczerze, wcale skurwysynom nie współczuję. Aligatory w odróżnieniu od kajmanów w normalnych okolicznościach nie atakują ludzi, teraz jednak znajdują się w obcym otoczeniu i są przestraszone. Strach w każdym zwierzęciu budzi najgorsze instynkty. Przede wszystkim obawiam się kajmanów. Widzieliśmy już do czego zdolne są te małe. – Skrzywił się ponuro. – Wyobraźcie więc sobie, panowie, na co stać ich mamusię i tatusia, jeśli nas dopadną! Najpierw musimy zająć się kajmanami!

– Ale one właśnie przepadły bez śladu. – Policjant rozłożył ręce w geście bezradnej rozpacz. – Niech je porwie licho! Przecież nie są małe!

– Ale wiedzą, jak się ukrywać. – Philip wstał, podszedł do mapy ściennej i wskazał odcinek rzeki pomiędzy dwoma mostami. – Wykazaliśmy naprawdę przesadny optymizm, oczekując, że złapiemy je w obrębie półmilowego akwenu. Domyślam się, że gdy te stworzenia odnalazły rzekę, chciały uciec jak najdalej od miejsca, w którym je uwięziono. Czy pan nie zrobiłby

tego samego, inspektorze? Czy nie tak właśnie postępują zbiegli więźniowie?

– Oczywiście. Ale mówimy o kajmanach. Niektóre z młodych tutaj wróciły. Czyżby matka je porzuciła? Strażnik wodny widział matkę z małymi *poza* naszymi barierami. Przelazła przez siatki – albo przed ich zainstalowaniem, albo po tym.

– Kajmany potrafią podróżować lądem, by przenosić się z jednej rzeki do drugiej – wyjaśnił weterynarz. – W odróżnieniu od aligatorów, które lubią przebywać na głębokiej wodzie, kajmany zadowolą się rowami i podmokłymi łąkami, na których woda nie jest nawet na tyle głęboka, by zakryć je całkowicie.

– Czy mamy przez to rozumieć, że one mogły poleźć wszędzie?

– Właśnie tak. Poszukiwania między mostami Walijskim i Angielskim to za mało. Musimy zbadać każdy szlak wodny odchodzący od rzeki i zaalarmować całe hrabstwo, jak również sąsiednie hrabstwa.

– Jezu Chryste! Ja... – na biurku Carvera zabrzączał telefon. Inspektor dopadł go w jednej chwili. – Tak. *Co?!* Dobra, zaraz tam będziemy. Natychmiast ogłoście alarm!

Policjant odsunął krzesło. Był zmęczony, napięcie nerwowe dawało znać o sobie. – Pojawił się kolejny kajman. Mały. W domu na Girton Road, w dzielnicy Castlefields. Pokaleczył tam kogoś. Lepiej chodźcie obaj ze mną. Być może kiedyś przywykniemy do widoku krwi i poharatanych ciał. Jeśli szybko nie złapiemy tych

skurwysynów, nie będziemy mieli innego wyjścia!

Gdy samica go odpędziła, rozgoryczony kajman rozciągnął swe cielsko na dnie rzeki. Wyczuwał, że inne gady odeszły. Samica i młode w jedną stronę, aligatory z Missisipi w drugą. On pozostał tutaj, sam w obcym kraju.

Podpłynął ku powierzchni. Leżał pośród gęstych trzcin z głową ledwie widoczną i czekał na świt. Patrzył tylko i słuchał.

Dobiegały go nieznane dźwięki: ryk jakichś stworzeń znajdujących się gdzieś poza zasięgiem jego wzroku, cienkie wycie przerywane grmiącym trąbieniem przypominającym mu okrzyki wydawane przez ptactwo wodne w okresie godowym... Zapragnął, aby wokół panowały ciemności, a nie ta nienaturalna poświata i osobliwy, padający z nieba blask, tak jakby słońce nigdy tu nie zachodziło. Był przestraszony i zły. W pobliżu przepłynęło kilka dzikich gęsi, ale nie ruszył ich. Nie odczuwał głodu.

Powoli nadszedł świt. Niebo poszarzało, niesamowite nocne oświetlenie trochę przygasło. Dopiero teraz kajman mógł zobaczyć ten obcy i niezrozumiały świat, który go otaczał. Z potężnych kominów dym walił w niebo. Obok nich na płaskim kawałku gruntu nieustannie pojawiały się dziwaczne potwory, z których wydobywali się ludzie. Kajman znał dotychczas jedynie cztery ściany otaczające jego betonowe mieszkanie. Wszystko to więc wydawało mu się dziwne i przerażające. Odbierał otoczenie jako

wrogi świat, w którym został okrążony przez nieprzyjaciół i śmierć, co zmusza go do rozpaczliwej walki o życie.

Czuł, że jest mu cieplej niż w ogrzewanym basenie w zoo. Pięćdziesiąt jardów dalej w górę rzeki dostrzegł rurę wystającą z nabrzeża. Była umieszczona może o stopę nad powierzchnią wody. Z jej ujścia wylewał się szalejący potok ciepłej wody, który pieniał powierzchnię rzeki.

Kajman, płynąc pod prąd, dotarł do ściany, z której obficie chlustała woda. Nachylony pod kątem betonowy mur wznosił się ku równie sztucznej ceglastej ścianie. Gdyby nie temperatura, stworzenie odpłynęłoby stąd, porzucając ten stworzony przez człowieka świat. Jednak zostało tutaj i wygrzewało się, trochę drzemiąc. Gad obudził się, gdy słońce minęło już zenit. Aklimatyzując się w nowym otoczeniu, był bardziej czujny i bardziej niebezpieczny niż przedtem. Zaczynał budzić się w nim zwierzęcy instynkt utracony w niewoli.

Woda ryczała nieustannie, pieniając się i tworząc prąd, który dążył dalej. Kajman patrzył na nią i grzał się w jej ciepłe, czując się tutaj w pewnym sensie zadomowiony. Przedtem leżał i oczekiwał nadejścia dnia, teraz czekał na zapadnięcie zmierzchu. W ciemnościach nie będzie widoczny. Domyślał się, że musi dotrzeć do tunelu nad powierzchnią wody. Było tam ciepło i mógłby się schować w rurze.

Zapadł wreszcie zmrok. Kajman schwytał nie dość ostrożną kaczkę. Obserwator stojący na brzegu pomyślałby pewnie, że ptak dał nura, zniknął pod

powierzchnią i nie wypłynął. Gad pożarł go łapczywie. Teraz odczuwał już głód i wiedział, że musi zapolować, by zdobyć pożywienie. Być może znajdzie to, gdy dostanie się do tunelu.

Potężny kajman ruszył dopiero po zapadnięciu całkowitych ciemności. Przesuwał się niezwykle zwinnie jak na swoje rozmiary. Przednimi łapami złapał dno betonowej rury, potężnym ruchem ogona wybił się do góry, a potem nie bez trudności wcisnął się w głąb okrągłego tunelu.

Wewnątrz miał dość miejsca, mniej więcej stopę luzu po obu stronach ciała. Unosząc łeb, mógł dotknąć końcem pyska okrągłego pułapu. Prąd był bystry i z trudem sobie z nim radził. Ponieważ brakło miejsca do pływania, musiał iść. Szedł, oddalając się od tych dziwnych światła i jeszcze dziwniejszego kraju.

Posuwał się powoli. Przebył pierwszych dwadzieścia jardów nie dostrzegł niczego. Potem zaczęło robić się coraz jaśniej. Wodę przenikało teraz drażniące pomarańczowe światło. Kajman zatrzymał się pełen obaw. Gdyby musiał teraz uciekać, nie miał dość miejsca, by zawrócić. Odczuwając coś w rodzaju gadziej klaustrofobii, zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien cofnąć się tyłem i wrócić tam, skąd przyszedł. Jednak obawa i desperacja pchnęły go dalej, choć szedł już wolniej.

W końcu dotarł do basenu, który trochę przypominał mu miejsce, w którym przedtem przebywał. Była to

betonowa niecka w kształcie kwadratu o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych. Musiał się zwinąć w kłębek. Głębokość w tym miejscu nie sięgała nawet czterech stóp.

Mrużąc oczy w oślepiającym go teraz świetle, kajman ujrzał, że znajduje się w niewielkiej zamkniętej przestrzeni i dostrzegł też czerwone drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Beton. Wszędzie dookoła był beton. Nagi i niegościnnie. Spłukiwany wodą wypływającą z licznych rur. Nie dostrzegł niczego – ani żywności, ani kryjówki. Znalazł się w pułapce stworzonej przez człowieka. Jediną możliwością wydostania się stąd była droga do rzeki.

Zwierzę odczuwało wściekłość i strach. Ponownie zostało uwięzione. Niewielką pociechą był jedynie huk wody i miłe ożywcze ciepło.

Nagle drzwi się otworzyły. Widząc to, kajman natychmiast się zanurzył, wystawiając na powierzchnię tylko czujne oczy.

Do pomieszczenia weszło dwóch ludzi i pozostawiło za sobą otwarte drzwi. Jeden był wysoki, drugi dużo niższy, obaj ubrani w drelichowe kombinezony robocze z przyczepionymi do kieszeni na piersiach czerwonymi tabliczkami. Na nogach mieli wysokie, sięgające ud nieprzemakalne buty. Kroczyli dość niezgrabnie, paląc i rozmawiając.

Podeszli do zamkniętej stalowej skrzynki, otworzyli ją i zaczęli oglądać pokręta i skale.

– Cholernie to zabawne – ochryłym głosem przemówił wyższy, sprawdzając tablice, z głośnym trzaskiem przesuwając kilka manetek... – Noc w noc przez ostatnie trzy tygodnie. Jeśli potrwa to dłużej, moja babka puści mnie kantem.

– Moja też zwija żagle – zaśmiał się drugi. – Wakacje, choroby i te pieprzone aligatory w rzece. Ale pomyśl, Bert, o forsie, którą zgarniemy.

– Forsa to nie wszystko. Gdybyśmy mieli możliwości awansu i odpowiednią pensję, moglibyśmy...

– Hej, a to co?

Obaj odwrócili się błyskawicznie. Ujrzeni czarnego kajmana wynurzającego się z basenu. Lśniącego potwora, bestię, która prychnęła, a potem ryknęła ogłuszająco. Jej ryk w pustej zamkniętej przestrzeni sprawił, że zadrżały ściany i podłoga.

Pracownicy nocnej zmiany stali zeszywniali z przerażenia. Gdyby natychmiast rzucili się do ucieczki, być może udałoby się im dotrzeć do drzwi. Strach i groza przykuły ich jednak do podłogi. Gad miał dość czasu, aby wydostać się z wody i zaatakować.

Kajman nie widział zresztą w ludziach wrogów, lecz *pożywienie* i nic innego go nie interesowało. Ruszył ku nim zataczając się niezgrabnie, człapiąc błoniastymi łapami po wilgotnej powierzchni. Z jego szeroko otwartej paszczy wydobył się kolejny rozdzierający uszy ryk.

Dopiero to wyrwało dwóch mężczyzn ze stanu odrętwienia. Krzycząc i jednocześnie obracając się,

wpadli jeden na drugiego. Sypiąc przekleństwami, wyższy poślizgnął się i upadł. Z wrzaskiem zaczął wzywać pomocy, ale kajman już go dopadł.

Przerażające szczęki otworzyły się i kłapnęły, kości ofiary trzasnęły, a strumienie krwi trysnęły na wszystkie strony. Dał się słyszeć głuchy łomot, z jakim oderwana głowa nieszczęśnika uderzyła o betonową posadzkę.

Potwór stratował swoją martwą już zdobycz. Pod naciskiem łap pękł brzuch ofiary i wnętrzności wysunęły się na zewnątrz jak gniazdo wijących się węży. Nie zwracając uwagi na krwawe grzęzawisko pod łapami, bestia rzuciła się na drugiego człowieka – żyjącą jeszcze zdobycz, którą należało schwytać.

Mniejszy z pracowników był już prawie przy drzwiach prowadzących na zewnątrz, kiedy poślizgnął się na mokrej podłodze i poleciał głową do przodu. Wrzask rozpacz, jaki przy tym wydał, nie trwał długo, bo uderzył głową w posadzkę przez chwilę leżał oszołomiony. Słyszając jednak za sobą ryk wściekłości i triumfu, zaczął rozpaczliwie dźwigać się na nogi. ..Dobry Boże, udało mi się” – pomyślał.

Na ułamek sekundy coś go zatrzymało. Nagłe szarpnięcie, potem przeszywający ból, który wydarł z jego ust kolejny krzyk rozpacz. Zdał sobie sprawę z tego, że jest już wolny. Czuł jednak, że jakoś nie może odzyskać równowagi. Usiłował stanąć prosto, ale nie mógł, więc na czworakach ruszył do przodu.

Drzwi – udało mu się! Przed nim wznosiły się

kamienne stopnie, a przy ścianie widać było poręcz. Złapał za nią i podciągnął się do pozycji stojącej. Dopiero wtedy zrozumiał, co się stało...

Spoglądając na nogi, omal nie zemdłał. Zobaczył krew, obficie spływającą w dół z poszarpanego kikuta. Ale trzymał się, choć wzrok zaczynał go już zawodzić. Wiedział jednak, że jeśli straci przytomność, będzie po nim.

Pełen przerażenia obejrzał się za siebie. Stojąc w na wpół otwartych drzwiach, zobaczył, że bestia, nieświadoma jego ucieczki, pożerała ten krwawy ochłap, który jeszcze przed chwilą był jego nogą. Hałaśliwie siorbiąc, żuła i przetykała, potężnymi szczękami bez wysiłku miażdżąc solidne w końcu kości.

Zaczął podciągać się w górę, myśląc, że może uda mu się jeszcze wymknąć... Gdy był już prawie na szczycie schodów, obejrzał się po raz ostatni. Drzwi nieco ograniczały mu widok, ale mógł dostrzec pokrytego łuskami potwora wracającego do zmiażdżonego bezgłowego ciała pierwszej swojej ofiary, które uniósł jak szmacianą laleczkę. Potrząsając zwłokami, gad rozbryzgiwał dookoła krew, potem rozdarł tors na kawały i zabrał się do hałaśliwego pożerania.

Człowiek upadł do przodu, palcami wczepiając się w stopnie. Usiłował krzyczeć, ale zdołał wydobyć z siebie jedynie zduszony kaszel. Słyszał za sobą kapanie własnej krwi. Słabł szybko, podświadomie licząc pozostałe mu jeszcze do przebycia schody. *Osiem, siedem, sześć.*

Wszystko wokół zaczęło zabarwiać się czernią. Poślizgnął się, świat zawirował w obłądnym tańcu, ale jakimś cudem udało mu się nie stracić przytomności. „Już prawie koniec” – powiedział sam sobie.

Z dołu słyszał obrzydliwy dźwięk wydawany przez zgrzytające w paszczy kajmana kości. Pękały z trzaskiem. Ze wstrętu wymiotował. Dalej gramolił się do góry.

Ostatni krok. Udało mu się jakoś wdrapać do korytarza na parterze i zwałił się na ziemię. Chciał krzyknąć: „Jeden z tych cholernych aligatorów jest w komorze wypustowej;” Ale zdołał wydobyć z siebie jedynie ochryply szept. Ogarniały go ciemności.

Gdy z uczuciem bezsilnego unoszenia się na fali mroku miał zapaść w głęboką czarną przepaść, usłyszał odgłos biegnących stóp i krzyki. Nie miał nawet siły, by ich ostrzec. Stracił przytomność.

10

Boydellowie wyszli z przyjęcia u Bowaterów o 2.30. Od godziny już mówili wszystkim dobranoc, ale nie mogli jakoś dojść do drzwi. Wlepiono im kolejnego strzemiennego. Wreszcie zostali tylko oni i Bowaterowie.

– Dziękujemy za uroczy wieczór – Joyce Boydell zachwiała się lekko i zachichotała. Nie potrafiła uścisnąć dłoni gospodarza, spróbowała raz jeszcze i zrezygnowała.
– Ależ naprawdę musimy już iść, droga Phyllis. Wiesz, zostawiliśmy Sarę samą.

– I na pewno ma frajdę z każdej minuty! – Jeremy Bowater był wysoki i kościsty. W ciągu ostatniej godziny wlał w siebie cztery dziny z tonikiem. – Zaprosiła pewnie swojego chłopaka, cóż innego mogłaby zrobić? Przypominają mi się dawne czasy, gdy starzy wychodzili i wpadała do mnie Phyllis. Pamiętasz to, najdroższa?

– Doprawdy, Jeremy!

– Sara nie ma jeszcze swojego chłopaka – ucięła Joyce. – Była zdecydowana wyjaśnić sprawę raz na zawsze. – Zbyt wiele czasu zajmuje jej nauka, zanim nie trafi na jesieni do liceum sztuk plastycznych. Nie ma czasu na głupstwa.

– Myślałem, że z dziewięcioma O przyjmą ją bez egzaminu. O ile znowu nie cyganisz, Joyce – Bowater głośno czknął.

– Jeremy, jesteś pijany – Phyllis pociągnęła go za

ramię.

– Nie, wcale nie jestem. Joyce twierdzi, że jej córka dostała dziewięć O. Może jeszcze sądzi, że Sara jest dziewicą, co?

– Jeremy!

– Spokojnie, moja droga. Wiesz przecież chyba, że szesnastoletnie dziewice to gatunek wymarły. A wy co o tym sądzicie? Roy? Joyce?

– Sara jest dziewicą – ucięła Joyce Boydell.

– Ale, do cholery, nie potrafisz tego udowodnić, co? Cha! cha! Zapytaj Phyllis, czy w wieku szesnastu lat była dziewicą. Jeśli powie ci, że tak, to znaczy, że łże jak cholera.

– On jest pijany – Phyllis spurpurowiała ze wstydu. – Dzięki Bogu, znacie go. Zaraz wpakuję go do łóżka.

– Obiecanki cacanki. – Żona odciągała Bowatera krok za krokiem. – Pamiętaj, Roy, zapytaj swoją uroczą córeczkę, czy jest wciąż dziewicą. Jeżeli będzie twierdzić, że tak, to spierz jej dupcię za to, że paskudnie łże. Zresztą nigdy nic nie wiadomo. Może jeśli zakradniesz się cichutko, to złapiesz ich w trakcie roboty. Założę się o ostatnie gacie, że dziś twoja córka ma faceta. Ten gość to szczęściarz, chciałbym...

Tajemnica życzeń Jeremy'ego Bowatera nie została ujawniona, bo Joyce kopniakiem zatrzęsnęła za sobą drzwi.

– Roy, czy jesteś w dobrej formie? Możesz odwiedzić nas do domu? – zapytała męża.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałyby być inaczej?
– Bo dziś wieczorem wypieś może o jednego za dużo.

– Ty wypieś więcej. A przy okazji, czy ty, mając lat szesnaście byłaś dziewczicą? Poznałem cię, gdy miałaś dziewiętnaście.

– Pozostałam dziewczicą aż do...

– Nie mów, że „aż do nocy poślubnej”. Przypomnę ci, że w tym samym tygodniu, w którym ogłosiliśmy nasze zaręczyny, pieprzyliśmy się w czasie wycieczki na Haughmond Hill. W moim starym vanguardzie na tylnym siedzeniu. A może już nie pamiętasz?

– Mężczyźni! – zajęła miejsce przy kierownicy princess zatrzasnęła drzwi. – Roy, siadaj na fotelu pasażera i zamknij się. Nie będziemy dyskutowali ani o dziewictwie, ani o tym kto jest bardziej pijany. Jedziemy prosto do domu. Do łóżka. I spać. I módl się, żebyśmy aż do Girton Road nie trafili na żaden wóz patrolowy.

Siedział więc, milcząc i patrzył na drogę przed samochodem. Wiedział, że Joyce miała rację przynajmniej w jednej sprawie. Oboje byli nieźle zalani. Zresztą w głębi duszy guzik go obchodziło, jak się ma rzecz z dziewictwem Sary. No, chyba żeby posuwał ją ten gówniarz Prescott. Zabiłby gnoja, gdyby to była prawda.

– Wiesz, sądzę, że ten młody Prescott naprawdę tylko podwiózł Sarę do domu – wyraził na głos swoje przypuszczenia. – Ani przez chwilę nie myślałem poważnie, że coś jest między nimi. Być może trochę

przesadziliśmy.

– Lepiej trochę przesadzić, niż martwić się później – Joyce skoncentrowała się na prowadzeniu wozu. Wskazówka szybkościomierza oscylowała w pobliżu dwudziestu pięciu mil.

– Jedź trochę szybciej. Samochody, które jadą za wolno, są zatrzymywane równie często jak te, które jadą za szybko.

– Jadę z odpowiednią szybkością. No jesteśmy już na Girton Road.

Zwolniła, wprowadzając ostrożnie samochód na podjazd opony zachręściły na żwirze. – Spójrz, w oknach sypialni Sary widać jeszcze światło.

– No to co? Może ma u siebie chłopaka – był to raczej żart w stylu Jeremy’ego Bowatera.

– Och, Roy, zamknij się. To zaczyna być nudne. – Zatrzymała samochód. „Wjazd mógłby być o stopę szerszy” pomyślała. Roy powinien był to przewidzieć, kiedy na zrobienie planów garażu namówił Jeremy’ego. Cóż za dobrana dwójka! Patrzyła, jak mąż wysiadł. Niewiele brakowało, a przewróciłby się.

– Roy, mam nadzieję, że z Sarą wszystko w porządku.

– Jak cholera!

– Powinna zasnąć już dużo wcześniej. Potrzeba jej sporo wypoczynku. We wrześniu jedzie do szkoły.

– To dopiero za miesiąc. Psiakość, gdzie jest mój klucz. – Przez chwilę grzebał w kieszeniach. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Nie mógł jednak trafić w otwór

zamka. Zaklął pod nosem. W końcu z cichym zgrzytem drzwi stanęły otworem.

Światło w hallu było zgaszone. Roy włączył je. Obok niego stanęła Joyce, którą zawładnął niewytłumaczalny niepokój. Na górze panowała cisza. No tak, Sara w nocy zazwyczaj nie hałasowała. Nieoczekiwanie Joyce poczuła się zakłopotana: *Co będzie*, jeśli tam naprawdę jest chłopak... Nie, córka nie zrobiłaby tego.

– Sara – był to raczej szept niż wołanie. Cisza.

– Chodźmy lepiej do łóżka – powiedział jej mąż. Rano mam ważne spotkanie o dziewiątej trzydzieści.

Joyce cofnęła się i widząc, z jaką trudnością przychodzi mężowi utrzymanie równowagi, pozwoliła mu ruszyć na górę pierwszemu. „Te przyjęcia stają się zbyt męczące” – pomyślała. Drzwi do sypialni Sary były na wpół otwarte i smuga światła wylewała się z nich na korytarz. „Ależ nie, dlaczego dziewczyna miałaby u siebie przyjmować chłopaka?” – ponownie pomyślała Joyce. Być może była chora?

– Sara, wróciliśmy. Czy... dobrze się czujesz?

Nie było żadnej odpowiedzi. Usłyszała tylko dobiegający ze środka pokoju jakiś dźwięk. Jakby ktoś lub coś się przekradało.

– Roy, lepiej jednak sprawdzę.

– Dobra – mąż udawał się właśnie do łazienki. – Zobaczymy się w łóżku.

– „I niech ci nie wpadnie do głowy o tej porze żaden głupi pomysł” – przemknęło jej przez myśl. Pchnęła drzwi

do pokoju córki. Zamarła z przerażenia. *Krew!* Pokój wyglądał jak jatka. Na dywanie leżało coś zmierzwionego i... Sara! Och mój Boże! Roy!

Śmiertelnie blada i nieruchoma dziewczyna leżała na zakrwawionym łóżku. Miała zamknięte oczy, a stopy owinięte w prowizorycznie porobione bandaże. *Gdy tylko Joyce Boydell zaczęła krzyczeć, rzucił się na nią zielonoczarny jaszczurkowaty stwór. Skrzeczał z furią i kłapał szczękami, które natychmiast wpił w jej piętę.* Wrzasnęła przeraźliwie, zachwiała się i upadła. Stworzenie przyskoczyło do niej i zatopiło zęby w jej udzie, bez wysiłku przebijając nimi wieczorową suknię i szarpiąc znajdujące się pod nią ciało.

Kobieta, usiłując się wyrwać, uderzyła zwierzę dłonią. Natychmiast krzyknęła jeszcze głośniejsze, gdy stalowe szczęki napastnika zatrzasnęły się na jej palcu. Chwilę później zwierzę wbiło zęby w jej pierś.

W tym momencie nadbiegł Roy Boydell, który w ciemnej sypialni na chwilę stracił orientację i przewrócił się na swoją żonę. Mały kajman natychmiast skoczył i wgryzł się w szyję mężczyzny, rozrywając ciało na krwawe strzępy. Szamocząc się i krzycząc z bólu, Roy uderzył napastnika. Strącił go na podłogę. Młody gad natychmiast przyskoczył do niego ponownie. Był absolutnie nieustraszony i opanowany żądzą wgrzyzania się w ludzkie mięso.

Tymczasem Joyce dotarła do łóżka i wspięła się jakoś na nie. Przysunęła się do swojej łkającej i roztrzęsionej

córki.

– Saro, Saro. otwórz oczy!

Dziewczyna drgnęła raz jeszcze. Och, dzięki Bogu, że żyje!

– Roy... dzwoń po pogotowie. I po policję. – Z szeroko otwartymi oczyma patrzyła na męża, który usiłował pokonać małego napastnika uparcie go atakującego. Zwierzę jakby wyczuło intencje człowieka i stało pomiędzy nim a drzwiami. Skrzecząc, z furją gotowało się do następnego skoku.

Roy gwałtownie rzucił się do tyłu i upadł na łóżko. Zęby kajmana chybiły o cal. Zwierzę przycupnęło na zakrwawionym dywanie, wiedząc, że nigdzie uciekną. Czas pracował na jego korzyść.

– Zamknij się! – Roy otwartą dłonią uderzył żonę po twarzy i przerwał jej krzyki. Teraz tylko gwałtownie łkała. – To nic nie da!

Nagle Sara wzdrygnęła się raptownie, gdy powróciło jej wspomnienie nocnego koszmaru.

– Już w porządku – Joyce bohatersko usiłowała opanować się, by uspokoić siebie i córkę. – Ono już cię nie skrzywdzi, nie może nas teraz dosięgnąć.

Roy przekonał się, że w zasadzie była to prawda. Trzeźwiał w błyskawicznym tempie. Żona krwawiła z ran na nogach i tułowiu. Jej droga suknia szybko nasiąkała krwią, a ona sama znajdowała się na granicy hysterii. Niewątpliwie znaleźli się w potrzasku. Bez jakiegś broni nie można było rozprawić się z tym gadem.

– Roy, co zrobimy?

– Coś wymyślę. Może to bydlę wkrótce znudzi się czekaniem i zlezie na dół. Skoczę wtedy do sypialni i zadzwonię po pomoc. – Wiedział jednak, że kajman nie odejdzie. Wystarczyło spojrzeć na zwierzę, na sposób w jaki czaiło się i skrzeczało. Przytknął do szyi chusteczkę. Na szczęście miał tylko powierzchowną ranę na szczęce.

Wyczerpany i zmęczony usiłował znaleźć jakieś rozwiązanie.

Musieli chyba zasnąć z wyczerpania, gdyż nagle zrobiło się jasno. W pokoju załśniło słońce, ale kajman nadal czaił się obok małej komódki, obserwując ich złośliwymi, lśniącymi czerwono oczkami. Zwierzę nie spało. I nie zaśnie – wiedzieli tym.

– Niech szlag trafi to draństwo! – Boydell zdjął but i rzucił nim w gada. Chybił. But uderzył o ścianę, odbił się od niej spadł obok. Kajman nawet nie drgnął. Roy wściekle szamotał się z drugim butem, kiedy nagle zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Sposób, aby skomunikować się z kimś na zewnątrz.

– Okno! – wyszeptał z trudem. – Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? *Muszę rozbić okno!*

Zamachnął się i zbierając wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały, rzucił drugim butem. Ten jednak z głośnym trzaskiem odbił się od okna i upadł na podłogę. Wszyscy troje jęknęli z rozpaczą. Zobaczyli pęknięcie całej długości szklanej tafli. Jednak szyba nie pękła!

– O Boże! – Joyce jęknęła głośno, niemal krzycząc z rozczarowania i rozpacz. – Nie rozbiło się! Nic z tego nie wyszło i teraz już nigdy...

– Dawaj twoje buty! – Ściągnął już jeden. Jęknęła z bólu, gdyż szarpnięciem otworzył częściowo zasklepioną ranę.

– Jezu! Roy, to boli!

– Nieważne! – Celował starannie. Gdyby chybił, pozostałaby im tylko jedna szansa. Później...

Miał rację. Delikatny pantofelek żony był lżejszy od jego własnych butów, ale szklana płyta już popękała. Trafił w sam środek okna. Szyba rozprysnęła się jak pod wpływem wybuchu. Dolna część zwała się do pokoju i rozleciała na kawałki, górna wypadła na zewnątrz. Usłyszeli, jak kawałki szkła zabrzęczały na leżącym poniżej patio.

– A teraz wszyscy razem... – Roy zachował się jak dyrygent przygotowujący orkiestrę na galowy występ przed królem Raz... dwa... trzy... *Ratunku!!!*

Przytulili się do siebie, nasłuchując. Usłyszeli warkot przejeżdżającego samochodu i w pewnej odległości jakieś głosy. „Typowi cholerni przechodnie” – zaklął Roy w duchu. – „Udajecie, że nie słyszycie! To przecież nie wasza sprawa. Jeśli ktoś ma kłopoty, na pewno znajdą się inni, by mu pomóc. Ty, przejdź obok, a najlepiej nie patrz w tę stronę. Być może cię nabierają, nie rób z siebie idioty”.

– Nic z tego nie będzie – chlipnęła Joyce. – Nikt nie

przyjdzie. Minie parę dni, zanim ktoś pomyśli, by do nas zajrzeć. Telefon zadzwoni, a potem umilknie. Gazety będą leżały w hallu, a na progu skwaśnieje mleko. Ale kto, do cholery, *pomyśli*, że mogło zdarzyć się jakieś nieszczęście?

Nie umieli na to odpowiedzieć. Kajman wydawał się drwić z nich. Był pewien – tak przynajmniej wydawało się Joyce – że w końcu ich dostanie.

– Strasznie chce mi się do łazienki – powiedziała.

– No cóż, nic z tego, musisz siusiać do łóżka – warknął Roy. – Hej, słuchajcie. Tam na zewnątrz ktoś jest. *Ratunku!!!*

– Czy wszystko w porządku? – spokojny głos dobiegał z podjazdu przed domem. Roy poznał sąsiadkę, mrs Wayne, mieszkającą trzy bloki dalej.

– Nie! Nie wszystko jest w porządku – odkrzyknął. – Teraz proszę słuchać uważnie. Będzie pani musiała zadzwonić na policję. Mamy tu w domu aligatora.

Na parę sekund zapadła martwa cisza.

– Pani Wayne, czy pani słyszy?

– Przepraszam?

„O w mordę! Jezu Chryste wszechmogący!” – zaklął w duchu Roy.

– W naszym domu jest aligator. W sypialni. Mały, ale bardzo niebezpieczny. Wszyscy jesteśmy pogryzieni. Potrzebujemy opieki lekarskiej. Ale przedtem musi przyjechać policja. To stworzenie trzeba zastrzelić.

– Mówi pan, że to aligator?

– Tak, właśnie tak. Jak ten, który zagryzł tamtego chłopca, Daniela Stone’a.

– *Och!*

– Niech pani idzie zadzwonić na policję i wszystko wyjaśni. Zwierzę trzyma nas w sypialni. Nie możemy zejść z łóżka. Rozumie pani?

– Panie Boydell, pójdę i zadzwonię po policję.

Usłyszeli oddalanie się człapiących kroków. Wyobrazili sobie sąsiadkę, jak z papilotami na głowie idzie w swoich bamboszach po podjeździe.

– Jestem pewien, że wkrótce przyjadą – Roy Boydell ponownie spojrzął na małego prześladowcę. Oczy kajmana błysnęły przewrotną wściekłością. Zdawało się, że słyszał i rozumiał, o czym rozmawiali z mrs Wayne, lecz nie zamierzał ustąpić ani o cal. Niezależnie od szans powodzenia był zdecydowany walczyć na śmierć i życie.

Wkrótce potem na Girton Road przybyły dwa wozy policyjne. W drugim siedzieli inspektor Carver, Alex Kerr i Philip Grant, a z pierwszego wysiedli czterej funkcjonariusze odziani w ciężkie kombinezony, typowe dla sił służących do rozpędzania manifestacji. Dwaj z nich mieli pistolety maszynowe, dwaj pozostali byli uzbrojeni w ciężkie szturmowe pałki.

– Tu policja! – krzyknął Carver w stronę rozbitego okna.

– Czy macie w domu jednego z tych kajmanów?

– Jest tu, na górze, w sypialni – doleciał z góry głos

Roya Boydella. – Siedzi i pilnuje nas. Niebezpieczny. Zabójca!

– Zostawcie go nam, zaraz tam będziemy!

Jeden z policjantów kopnięciem wywalił drzwi wejściowe, które z rozmachem otworzyły się do środka. Dwaj z dubeltówkami stanęli z boku, pozostali weszli dalej. Philip oblizał wargi, czując obrzydzenie do siebie samego za to, że bierze udział w tej akcji.

Kajman pojawił się, gdy tylko dwaj odziani w pancerne koszulki ludzie dotarli do schodów. Błyskawicznie poruszająca się, rozjuszona, zła ogromna jaszczurka znalazła się na półpiętrze. Patrzyła na nich płonącym wzrokiem, jak gdyby *wiedziała*. Łowca nagle stał się zwierzyną, na którą polowano.

Zwierzę błyskawicznie pomknęło w dół, nieuchwytnym dla oka ruchem. Pałki świsnęły w powietrzu, ale zamiast wałać w kajmana, nieszkodliwie łupnęły w dywan. Przypominało to zabawę w „Zabij szczura”, na szkolnym kiermaszu z pięciofuntową nagrodą. Różnica polegała na tym, że tu nie było nagrody – i zabawa stała się śmiertelnie niebezpieczna.

Smuga czerni i zieleni, pałki znowu świsnęły i znowu nieszkodliwie rąbnęły w dywan. Kajman był już w hallu i sunął do drzwi.

– Uważajcie! Leci na was!

Okrzyk jeszcze nie przebrzmiał, kiedy na podjeździe huknęły cztery podwójne strzały – bliźniacze serie wystrzelone przez snajperów. Błyskawicznie naciskali

spusty, celując instynktownie. Wiedzieli, że w tej chwili zdają najtrudniejszy z egzaminów zawodowych. Na wszystkie strony poleciał żwir, a potem uniósł się kurz. Trudno było w pierwszej chwili odgadnąć, czy zwierzę zostało trafione.

Potem zobaczyli kajmana pędzącego ku furtce. Wyglądało, że spudłowali. Nieoczekiwanie wszakże zwierzę przekoziółkowało dwukrotnie przez łeb, a potem legło na grzbiecie, wściekle wierzgając małymi błoniastymi łapkami. Skrzecząc i kłapiąc zębami, usiłowało stanąć się z powrotem na nogi.

– Mamy skurwiela!

Powietrze gęste było od kurzu i dymu z broni palnej. Z tej mgły, jak najeźdźcy z kosmosu, wyłonili się dwaj wywijający pałkami ludzie z oddziału do tłumienia zamieszek. Pragnęli zemścić się na owym nie większym od królika stworzeniu, które na schodach tak wystrychnęło ich na dudków.

Z uniesionymi pałkami skoczyli do przodu. Mlasnęło skrzeczenie ucichło. Potem rozgnieciono na nierozpoznawalną miazgę ciało gada i ciężkimi butami przez chwilę jeszcze wdeptywano je w ziemię. Dopiero wtedy przerwali i unieśli przyłbice kasków, jak gdyby mówiąc: załatwiliśmy małego drania!

Philip Grant odwrócił się. Przez chwilę myślał, że nie zdoła powstrzymać wymiotów. W postępowaniu policjantów dostrzegł typowo ludzkie okrucieństwo, rozpaloną na mgnienie oka prymitywną żądzę zabijania.

„W porządku” – pomyślał „zwierzę było zabójcą, ale to w końcu *wyście* go zabili. Teraz leży martwe i mam nadzieję, że jesteście cholernie zadowoleni”.

Z karetki pogotowia właśnie wysiadali sanitariusze. Gdy nadchodzili podjazdem z noszami, odwrócili głowy, przechodząc obok miejsca jatki. Nawet im, w końcu przyzwyczajonym do widoku krwi i zmiażdżonych ciał, zrobiło się niedobrze.

– Musimy dostać pozostałe – Carver, mówiąc te słowa, nie zwracał się do nikogo w szczególności. Ot tak, powiedział, byle coś powiedzieć. „Może jeszcze chciał rozgrzeszyć i usprawiedliwić swoich ludzi za te kilka chwil mściwej furii” – pomyślał Philip.

Patrzył obojętnie, jak do karetki przenoszono kobietę i dziewczynę. Mężczyzna sam wsiadł za nimi i kierowca zaczął wykręcać na podjeździe. Weterynarz wiedział, że ci tutaj mieli szczęście, w przeciwieństwie do biednego chłopaka sprzed dwu dni.

W samochodzie policyjnym zatrzeszczało radio. Carver podbiegł, słuchał przez chwilę, a potem podniecony wrzasnął do swoich podwładnych. – *Słuchajcie! W elektrowni jest następny – wlaź tam przez rurę wypustową. Zabił jednego z robotników i okaleczył drugiego. To jeden z tych dużych! Jedziemy!*

Philip i idący za nim Alex Kerr wsiedli do samochodu policyjnego. Być może zaproszenie dotyczyło również cywilów. Nie miał ochoty jechać, nie chciał być świadkiem następnego zabójstwa spowodowanego żądzą

zemsty. Jednak pojechał. Jego nerwy napięły się, gdy wóz policyjny zaczął z wyciem syreny torować sobie drogę wśród porannego ruchu ulicznego.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla niego samego powodu czuł, że jego obowiązkiem wobec własnego sumienia jest obejrzeć wszystko aż do końca. Bez względu na to, jaki by on nie był. Eutanazja to najtrudniejsza część pracy weterynarza. Kiedy usypiasz zwierzę, zawsze towarzyszy ci uczucie, że wybrałeś łatwiejsze rozwiązanie. Że można było zrobić coś jeszcze, a nie umiałeś tego dostrzec. Dokonujesz eutanazji, bo nie potrafisz znaleźć alternatywy.

Tak jak teraz.

11

Keith Prescott wyszedł z domu, zanim ciotka Kate ruszyła do pracy. Kusiło go, aby podejść do Girton Road i zobaczyć, czy koło domu Boydellów jest jakieś zamieszanie. Ale nie. Pomyślał, że to mogłoby ściągnąć kłopoty na jego głowę. Przewidywanie możliwości i oczekiwanie było najgorsze, przez całą noc prawie nie mógł zasnąć.

Potem błysnął mu nowy pomysł i chłopak aż zadrzał z podniecenia. To, co zrobił raz, może przecież powtórzyć. Powinien złapać jeszcze jednego z tych małych aligatorów.

Przystanął przy wejściu do knajpki, zastanawiając się nad tym pomysłem. Dlaczego nie? To wyglądało zbyt prosto, aby mogło udać się ponownie. Musiał tylko znowu wsadzić przynętę do tej starej łapki. I poczekać. Ale nie potrafiłby spokojnie doczekać zmroku, by ustawić wszystko, a potem spędzić kolejną bezsenną noc, by pójść i sprawdzić, czy coś się złapało. Ale nie było takiej potrzeby – za dnia można złapać aligatora równie dobrze jak w nocy. Należało jedynie uważać na żołnierzy i policjantów. Jeżeli zaś będzie ostrożny, ryzyko okaże się minimalne. Zarośla aż do samego brzegu rzeki były gęste wysokie – zapewnią mu doskonałe ukrycie. Zresztą ci skurwiele zanadto zajmowali się pilnowaniem rzeki, aby zwrócić uwagę na brzegi.

A więc zrobi to. Dzisiaj. Wracając ulicą, drżał z podniecenia. Pułapka nadal pozostawała ukryta w przybudówce na węgiel. Potrzebował tylko przynęty. To stanowiło pewien problem. Wykorzystał już tego królika od sąsiadów. Potrzebował jakiegoś mięsa, najlepiej żywego. Potem przypomniał sobie papużkę ciotki Kate, błękitnopiórego małego bękarta, który nie robił nic, tylko skrzeczał cały dzień. Kiedy ktoś przychodził do ich mieszkania, to trzeba było zakrywać klatkę ręcznikiem albo zamykać dziób małemu gnojkwowi. Papuga się nada.

Zatrzymał się na chwilę, obserwując ciotkę. Szła w przeciwną stronę, znikając w górze ulicy. „Głupia stara krowa” pomyślał. Gdyby gdzieś znalazł miejsce, w którym mógłby żyć taniej, wyniósłby się natychmiast. Teraz jednak okoliczności nie były specjalnie sprzyjające. W ostatnim tygodniu przeczytał w gazecie o pewnej rodzinie utrzymującej się z zasiłku, którą wywalono na bruk z ich mieszkania kwaterunkowego. Obecnie ci ludzie żyją sobie w pięciogwiazdkowym hotelu na koszt opieki społecznej. Wynajmują nawet taksówkę, by odebrać zasiłek w urzędzie. Bezczelne skurwysyny, ale trzeba przyznać, że coś w tym było. Gdyby tak ciotka Kate *jego* wywaliła na ulicę... na pewno warto byłoby o tym pomyśleć. *Dałoby się* coś zrobić.

Drzwi wejściowe nie sprawiły żadnego kłopotu, użył kawałka sprężystego plastyku i otworzył je szybciej, niż gdyby miał klucz. Pomyślał przy tym, że któregoś dnia ciotka wpadnie na to, że on korzysta z mieszkania, gdy

sama jest w pracy. Gdyby się o tym dowiedziała, wiedział, kto byłby donosicielem – Parkerowie z naprzeciwka, a właściwie wścibska pani Parker. Postraszy ją, że jeśli powie o nim ciotce – na początek bielizna z jej sznura popłynie sobie w dół rzeki.

– Zamknij dziób, mały skurwielu! – wrzasnął na papużkę. Zawsze zaczynała koncert, gdy tylko usłyszała, że wchodzi.

Zabierając łapkę z przybudówki, zostawił otwarte tylne drzwi. „Jezu” – pomyślał – „ten pieprzony zdechły królik wciąż jeszcze był w środku. Cóż zrobić, zostawi go tam. Aligator będzie mógł wybrać – zdechły królik albo żywa papuci. Zaśmiał się chrapliwie, a papużka zacząła coś, fruując w swojej niewielkiej klatce.

– No dobrze, chodź tutaj! – otworzył małe drzwiczki. Wewnątrz było dość miejsca na rękę, ale musiał kilka razy ponawiać próby, zanim wreszcie złapał trzepocącego się, skrzeczącego z przerażenia ptaka. – A, mam cię! – Teraz, ptasiu, dostaniesz za swoje, a my w domu może będziemy mieli trochę spokoju.

W oczach ptaka czaił się strach. Chłopak czuł, jak małe stworzenie drży w jego dłoni. „Na litość boską, nie zdychaj jeszcze teraz” – błagał Keith w milczeniu. Wiedział, że ciotka Kate zauważy brak ulubieńca natychmiast po wejściu do domu. Zawsze, gdy wracała z pracy, najpierw wsypywała nasiona do karmnika w klatce, choć połowa i tak lądowała na dywanie. Pieprzoną herbatkę robiła potem, przede wszystkim trzeba było

nakarmić papużkę.

Wymyślić coś, co jej potem opowie. Stał przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. – Mam! „Kiedy wróciłem do domu, papużka leżała na dnie klatki i wyglądała naprawdę źle. Zabrałem ją do weterynarza. Zrobił jej zastrzyk, ale zdechła. Powiedział, że pochowa ją za mnie, ciociu. Przy okazji – winna mi jesteś funciaka, którego musiałem bulnąć weterynarzowi.” improwizował. Ale wtedy ona może zapytać: „Keith, a co ty robiłeś w mieszkaniu, jak dostałeś się do środka?” Pieprzyć to, wymyśli coś podczas dnia, o, na przykład wybije szybę i zwali winę na łobuzów z ulicy, którzy świsnęli i papużkę. Albo coś w tym rodzaju. Najpierw jednak trzeba pójść i ustawić pułapkę.

Przez zapadnię w klatce wrzucił papużkę do środka. Natychmiast zaczęła szaleć i rzucać się na druty, gubiąc wszędzie piórka. Potem opadła na dno i leżała nieruchomo. Keith uniósł jej łapkę wysoko do góry. – Nie zdychaj jeszcze, pieska twoja niebieska! – Wsadził palec przez druty, zmuszając ptaka do ponownej szamotaniny. – Będiesz miała na to mnóstwo czasu później, gdy przyjdzie żarłoczny aligator i cię schrupie. Kapujesz?

Papużka najwyraźniej zrozumiała. W jej szeroko otwartych oczach czaił się strach. Trzymając w jednej ręce klatkę, a w drugiej brudny ręcznik, potrzebny mu na wypadek, gdyby ptak zaczął hałasować, Kevin przekradł się do ogrodu i przełazi przez rozwalony płot. W dole na ścieżce nadrzecznej słyszał rozmawiających wartowników, mocno znudzonych panującą monotonią.

Cicho skradał się do miejsca, w którym poprzedniego dnia złapał kajmana. „Było równie dobre” – rozmyślał – „jak każde inne. Ale może gady, podobnie jak króliki, mają swoje ścieżki, do których nawykły?” Opuścił pułapkę. Nagle zadrżał i od pięt aż po tłuste skołtunione włosy pokrył się gęsią skórą. Poczuł, że w pobliżu był jeszcze ktoś, obserwujący jego poczynania.

– Odwrócił się i wytrzeszczył oczy. Zobaczył mężczyznę ze szramą na twarzy, w poszarpanych dżinsach, który patrzył na niego, wychylając się spośród nieco wyższych zarośli. Te oczy Chryste, przepalały cię na wylot. Wargi miał wykrzywione grymasem pogardy i odrazy. Keith zrozumiał, że mężczyzna był nie tylko twardzielem, ale człowiekiem złym! Czuł bijącą od niego nienawiść i aż cofnął się o krok. Chciał coś wybełkotać, by wytłumaczyć swoją obecność nad rzeką o tej porze dnia.

Przełknął ślinę. Ten facet musi być w pewnym sensie osobą urzędową, w przeciwnym razie nie znajdowałby się tutaj, w rejonie zamkniętym dla osób postronnych. Może to jeden z tych gości z SAS posiadających licencję na zabijanie, o których tyle słyszał. O, kurwa!

– Co tam masz, chłoptysiu? – Maurice Young mówił sepleniącym szeptem, a jego oczy zwężyły się, gdy zobaczył klatkę.

– Nic!

– Przecież widzę, że coś tam masz! Ściągaj ten ręcznik i zobaczymy!

Keith usłuchał. Ręce mu drżały. Najpierw zaczerwienił się, później zbladł. Oblizując wyschnięte wargi, stał nieruchomo. Czuł, że musi się wypróżnić.

– Jezu Chryste wszechmogący! – Maurice podszedł o krok bliżej. Jego rysy wykrzywiała teraz kipiąca w nim wściekłość.

– Zdechły królik i papużka, której też niewiele brakuje. Co ci chodzi po głowie, synku? Próbujesz coś złapać w pułapkę?

– Szczura. – Było to logiczne, ale nie zabrzmiało zbyt przekonująco.

– Powinieneś za to zawisnąć na jajach! – Ręka Maurice'a wystrzeliła do przodu. Chwycił Keitha za klapy drelichowej kurtki i przyciągnął go do siebie. Ich twarze nieomal się zetknęły. – A teraz powiedz prawdę!

Keith z trudem wydobywał z siebie słowa... – Ja... ja próbowałem złapać... jednego z tych małych aligatorów. To... no, wszyscy chcą to zrobić... A pan nie?

Jesteś dziesięć razy gorszy od żołnierzy, tych kawałków gówna w kolorze khaki. Czekają tam z karabinami, aby rozwalić pierwszego z aligatorów, jaki odważy się wysunąć nos z wody! – Maurice wzmocnił uścisk. Ściągnięty dłonią kołnierz zaczął chłopaka dusić. Keith otworzył usta, walcząc o powietrze. – Ty nędzny gnoju. Ty! A teraz – uścisk zelżał nieco – zostań tutaj, a jeśli spróbujesz prysnąć, oderżnę ci jaja! – Poklepał nóż, który miał zatknięty za pasem.

Podniósł klatkę i odczepił haczyk zwalniający

drzwiczki. Tym razem papużka nie opierała się, gdy wyjmowano ją z klatki i delikatnie układano na ziemi. Oddychała szybko – ale nie trwało to długo. Maurice potrząsnął puchatym trupkiem, potem rzucił go w krzaki i odwrócił się do Keitha.

– Dlaczego chcesz złapać aligatora... co?

– Ja... one są niebezpieczne i myślałem...

– Dlaczego? Powiedz mi prawdę, bo tu na miejscu oderżnę ci jaja! – Słowom tym towarzyszyło złowrogie chrząknięcie. Nóż wyskoczył z pochwy z szybkością świadcząca o niemałej wprawie. Jego koniec znalazł się teraz o cal od mięsistej szyi Keitha. Chłopak cofnął się i oparł o pień młodej, białej brzoźki.

– Ja... ja... chciałem go wsadzić do sypialni ciotki Kate. – Nieoczekiwanie dla samego siebie zrozumiał, że to właśnie by zrobił, gdyby schwytał drugiego małego kajmana.

– No cóż, to jest jakiś pomysł – Maurice uśmiechnął się, choć nie wyglądał na przesadnie rozbawionego. – Właściwie świetny pomysł. Rzeczywiście – wsadzenie komuś aligatora do sypialni to pomysł wprost znakomity. Ale wcale nie jesteś od nich lepszy – machnął ręką w kierunku rzeki. – Trzymałeś żywe stworzenia w klatce, papużkę... królika...

– Królik nie był mój! – krzyknął Keith.

– A co za różnica? Trzymacie zwierzęta w klatkach, a kiedy uciekną, ścigacie je i zabijacie! Ale miejmy nadzieję, że przy tej okazji ludzie czegoś się nauczą!

Nastąpiła chwila ciszy. Keith cały się spocił. Odetchnął z ulgą, gdy nacisk ostrza noża na jego szyję ustąpił. Ale przekonał się, że jego prześladowca wcale nie opuścił noża. Ostrze ani drgnęło.

– Wyskakuj z łąchów – syknął Maurice.

– Co!!! Nie mogę...

– Ściągaj je albo stracisz jaja, tak jak mówiłem! – Maurice cofnął się o krok, potrząsając ze zniecierpliwieniem nożem. – I żadnych wrzasków! Krzyknij tylko, a będziesz trupem, zanim znajdą cię żołnierze.

Keith posłuchał polecenia. Drżącymi palcami zaczął odpinać guziki, odrywając kilka przy okazji. Wkrótce na ziemi przed nim leżały spodnie, koszula i kurtka. Został tylko w gatkach i skarpetkach.

– Powiedziałem – *wszystko!*

– Hej, nie możesz... – nóż poruszył się i lekko liznął tylko jego pierś, ale chłopak już zrzucił resztę ubrania. Był teraz całkowicie nagi, miał na sobie jedynie skarpetki – ale ten pieprzony skurwysyn wydawał się tego nie dostrzegać. Keith złożył ręce, zakrywając podbrzusze, nawet w chwili najwyższego przerażenia nie umiał oprzeć się wpojonym mu od dziecka nakazom.

Maurice podszedł i podniósł porzuconą koszulę. Jednym szybkim ruchem rozdarł ją na pół, złożył razem i rozdarł jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu miał w dłoniach luźne długie pasma. Uśmiechał się przy tym jak szaleniec.

– O, tutaj... siadaj przy tym drzewie i załóż ręce z

tyłu.

Keith zrobił, co mu kazano. Jeden okrzyk sprowadziłby tu patrolujących brzeg żołnierzy, nie wątpił jednak, że ten wariat spełniłby swoją groźbę i żołnierze znaleźliby tylko trupa. Nieznajomy boleśnie i mocno związał mu z tyłu nadgarstki cienkimi pasmami płótna. Potem nogi w kostkach. Chłopak przerażony patrzył, jak szaleniec składa razem dwa pasma materiału i przywiązuje go do drzewa. Chryste! – już czuł, że krążenie w dłoniach zamiera.

– A to, by mieć pewność, że nie będziesz wrzeszczał o pomoc. – Maurice zmusił jeńca do szerokiego otworzenia ust wsadził mu w nie kłębek materiału z podartej koszuli. Potem szerszym kawałkiem związał Keithowi usta, a na karku zrobił węzeł zabezpieczający knebel przed wypluciem. – To cię uciszy, gnojku!

Cofnął się i z zadowoleniem przyjrzał swojemu dziełu, potem skinął głową. – Nie wyplączesz się z tego szybko, ty wszawy bękarcie! Miejmy nadzieję, że odnajdzie cię jeden z tych aligatorków – dodał, spoglądając na podbrzusze chłopaka. Wtedy dowiesz się, co czuje żywa przynęta. Zastanawiam się, którą część ciała wyżrą ci najpierw? Pomyśl o tym umili ci to oczekiwanie.

Maurice patrzył teraz na resztki martwego królika, na wpół ukryte wśród krzaków, i na małego ptaszka. Papuzka leżała z zamkniętymi oczkami i na ten widok twarz Maurice'a stwardniała. Oczy zwężyły mu się i załśniły

dziko, a blizna na twarzy nabiegła głęboką czerwienią. W brzuch Keitha trafił potężny kopniak i noga Maurice'a głęboko weszła w zwały tłuszczu. Związany chłopak aż zwinął się z bólu. Wszystko dookoła rozplynęło się w czerwonej i czarnej mgle. Usłyszał tylko, jak łapka na szczury, także kopnięta, z brzękiem wpada gdzieś pomiędzy krzaki.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, szalony nieznajomy już sobie poszedł. Keith szarpnął więzy. Zrozumiał jednak, że żadną miarą nie uwolni się w ten sposób. Dłonie i stopy już mu zdrętwiały, a od kopniaka kręciło mu się w głowie i mdliło go. Próbował krzyczeć i wzywać pomocy, ale duszące go szmaty nie przepuszczały żadnego dźwięku.

Gdy tak leżał, prażąc się w upale i czekając na zapadnięcie zmroku, przypomniał sobie jaszczurkowate dzikie stworzenie, które złapał w tym samym miejscu. Mały kajman skrzeczał w furii i rzucał się na druty siatki. Na myśl o nim ogarnęła go fala bezsilnego przerażenia.

Zrozumiał bowiem, że teraz nie chroni go ocynkowana siatka.

Philip Grant odniósł wrażenie, że wszyscy oczekują, aby on i Kerr podążyli w ślad za Carverem do wnętrza potężnej elektrowni, przypominającej lochy jakiejś twierdzy. Odgłosy kroków i słów odbijały się echem od ścian betonowego korytarza. Wszędzie widać było żołnierzy i policjantów.

– Czy stało się coś jeszcze? – inspektor zatrzymał się na dużej platformie. Zaczynały się tu schody wiodące do samych wnętrzości ogromnej maszynerii. Philip ujrzał krew na tych schodach i w jednej chwili zrobiło mu się niedobrze.

– Nie, sir – odpowiedział sierżant w mundurze polowym. – Ale zwierzę nadal siedzi w tunelu. Z obu jego wylotów czają się strzelcy wyborowi. Bydlę nie może uciec. Nie może też siedzieć w tej rurze odpływowej do końca świata, prawda?

Zaczęli schodzić w dół, ostrożnie omijając krwawe ślady. Philip zastanawiał się, co też kryje się za czerwonymi drzwiami. „Chryste” – pomyślał – „nie chcę mieszać się w to zabójstwo, jakkolwiek sprawy się potoczą. To nie jest rola dla weterynarza”. Szedł jednak dalej. On pierwszy, a Alex Kerr tuż za nim.

Otoczenie przypominało mu ogromny hangar samolotowy. Nad nimi wznosił się wypukły dach, a na ścianach – z wyjątkiem wyłączonej tablicy przyrządów – nic nie było. Było tu wilgotno, a komuś z zewnątrz miejsce to wydawało się nieco niesamowite. Odgłosy kroków odbijały się od ścian. W symetrycznej sadzawce wypustu woda kotłowała się i pieniała. Panowało nieznośne gorąco. Betonową podłogę, śliską i wilgotną, pokrywały smugi krwi, rozplywające się od miejsca, w którym kilka jeszcze minut temu leżały poszarpane resztki ciała pracownika nocnej zmiany.

Żołnierze uformowali półokrąg dookoła sadzawki.

Trzymali w pogotowiu ciężkie karabiny. Philip wyczuwał, że byli spięci. Czuli się jak myśliwi, którzy zapędzili w zarośla rannego bawołu i igrając ze śmiercią, czekali, aż zwierz wychynie z kryjówki.

Carver stanął nieco z tyłu. Sytuacja całkowicie znajdowała się pod jego kontrolą. Tak przynajmniej uważał. Jego ludzie, działając szybko, zdecydowanie i celowo, przybyli na miejsce jeszcze przed karetką pogotowia, która miała błyskawicznie przewieźć rannego do szpitala. Jeden martwy, drugi o włos od śmierci – ofiar przybywało.

W basenie trudno było cokolwiek zobaczyć. Wyglądał jak kocioł z białą wrzącą wodą odpływającą, po wykonaniu swojej pracy, do rzeki. Jeden z policjantów mówił coś nieustannie do radionadajnika. Utrzymywał nieprzerwaną łączność z tymi, którzy zamykali pierścień obławy na zewnątrz. Tym razem kajman, na którego zasadziły się dwie grupy myśliwych zdecydowanych zabić go za wszelką cenę, nie miał szans ucieczki.

Nieoczekiwanie ruch wody zaczął ustawać. Jej przerażający ryk ucichł i przechodził w niesamowity dźwięk przypominający tło muzyczne do pełnego niespodzianek filmu grozy. Napięcie doszło do zenitu. Silniki zostały wyłączone – za kilka minut basen się opróżni i odsłoni pusty tunel. Wtedy już mordercza bestia nie będzie miała gdzie się skryć. Zostanie schwyтана w pułapkę, bo oba końce tunelu zamykali uzbrojeni ludzie.

Woda zabulgotała i jej poziom zaczął opadać.

Wszyscy patrzyli, wyęzając wzrok i łudząc się, że coś widzą, aż do chwili, w której...

– *Tam jest!*

Równocześnie z okrzykiem po raz pierwszy zobaczono kajmana. Potężna bestia pokryta łuskami leżała nieruchomo przy ścianie basenu. Zwierzę odwróciło się, rozwarło szczęki i grzmiącym rykiem rzuciło ludziom wyzwanie. Nastąpił odwrót do tunelu.

W zamkniętej przestrzeni ogłuszająco huknęły wystrzały. Ulewa ognia sprawiła, że Philip Grant zmrużył oczy. Czuł nieomal obrzydliwy łomot, z jakim kule rozdzierały grubą skórę kajmana. Rany i lejąca się z nich krew nie powstrzymały jednak zwierzęcia. Chwiejąc się niezgrabnie, dotarło do tunelu. Nieomal w ostatniej chwili.

Policjant z nadajnikiem ryczał do mikrofonu:

– Chłopaki, idzie na was! *Wykończcie go!*

Na zewnątrz czekano z wymierzoną bronią. Woda wypływająca z rury zamieniła się w cieniuchną strużkę. Zwierzę nie mogło nigdzie się ukryć. Policjanci patrzący z góry spodziewali się ujrzeć najpierw łeb kajmana i przygotowali się, by zadać *coup de grace*. Mogło to nastąpić w każdej chwili.

Oczekujący w napięciu myśleli: „Chryste, wyjdź już, ty skurwysynu! Co cię tam zatrzymuje?!” *I nagle przy ujściu rury pojawił się ceł ich ataku!*

Przez może pięć sekund nikt się nie poruszył. Ludzie i zwierzę po prostu na siebie patrzyli. Kajman leżał prawie

na brzuchu, z głową i barkami wysuniętymi z rury. Widać było, że siły już opuszczają potworne cielsko. Wypływająca spod bestii woda miała różową barwę, potem zabarwiła się głębszą czerwienią. Gdy wreszcie zwierzę rozwarło szczęki, by wydać ostatni ryk nienawiści i wyzwania, spomiędzy kłów trysnęła struga krwi. Najpierw purpurowej, potem ciemniejszej, która wraz z uchodzącym życiem wypływała z poszarpanych płuc. Zwierzę jednak nie było jeszcze martwe.

Największym wysiłkiem woli zebrawszy wszystkie siły kajman wstał. Ale w tym właśnie momencie, gdy już–już zamierzał skoczyć do wody, uderzyła weń lawina ognia z broni palnej. Nabiegłe krwią oczy rozprysnęły się, trafione wieloma kulami. Tryskające krwią nozdrza zamknęły się. Zwierzę opadło na brzuch, ale znowu zdołało się podnieść.

Wy dostało się jakoś z tunelu i raczej spadło do wody, niż skoczyło. Gad niezgrabnie zwałił się na łeb, a jego ogon tłukł pochyłą ścianę z tyłu. Skoncentrowany ogień, huragan wymierzonego ze śmiertelną precyzją ołowiu, rozwałił grubą skórę bestii. Przenikał ją na wylot.

Zwierzę zanurzyło się i wypłynęło ponownie wprost pod kolejne serie z karabinów, przewaliło się dwukrotnie w wodzie zapadło w głąb. Na kilka sekund zniknęło strzelcom z oczu a potem wychynęło na powierzchnię do góry brzuchem. Teraz było to już tylko poszarpane ciało, które nie potrafiło nawet ruszyć błoniastą łapą. Spływając ku brzegom, zaklinowało się pod małym betonowym

pomostem, plamiąc wodę purpurą. Walczyło, przegrało, aż wreszcie uspokoiła je śmierć.

Philip obserwował, jak żołnierze zarzucali liny na martwego kajmana. Aby wyciągnąć zewłok na brzeg, musieli uciec się do pomocy landrovera z napędem na wszystkie cztery koła. Gdy kajman znalazł się na brzegu, żołnierze cofnęli się, nadal z bronią w pogotowiu. Nikt naprawdę jeszcze nie wierzył w jego śmierć. Grant podszedł i pchnął trupa nogą, niezdolny do wypowiedzenia choć jednego słowa. Zwierzę było wspaniałym przedstawicielem swojego gatunku. „Być może jednym z najpiękniejszych, jakie urodziły się w niewoli” – pomyślał. Stworzenie to tęskniło za wolnością od chwili wyklucia się z jaja. A gdy wreszcie ją uzyskało, spotkała je taka oto nagroda.

– No cóż, skoro matka nie żyje, wyłowienie małych nie powinno sprawiać szczególnych trudności – Carver nie potrafił ukryć ulgi i rozradowania. Policjanci byli dzisiaj bohaterami dnia. Dokoła pracowały kamery i kątem oka Philip dostrzegł wóz telewizyjny podjeżdżający do parkingu przy elektrowni. Dziś wieczorem publiczność przed ekranami telewizorów na pewno dostanie swój funt krwawych ochłapów.

– O czym pan mówi? – spojrzał zaskoczony na inspektora, niezdolny do ukrycia ostrych tonów w głosie.

– O tym, że szybko odnajdziemy małe, pozbawione pomocy matki.

– *Ależ to nie jest samica!* – Przez zbiegowisko

przebiegł szmer. Spojrzenia żołnierzy i policjantów zawisły na ustach weterynarza.

– *To jest samiec*, i gdyby go nie przyparto go do muru, to bardzo wątpię, czy w ogóle stawiałby opór. Nie miał zresztą wyboru i nie dano mu żadnej okazji do walki. – Chłostanie ich słowami sprawiało mu pewną ulgę. – Samica jest o wiele bardziej niebezpieczna i jej nie dostaniecie tak cholernie łatwo. Ten tutaj kręcił się po okolicy, bo odpędziła go od siebie ze względu na młode. *To jej powinien pan się bać, inspektorze.*

– Ale... przecież nie mogła uciec daleko. – Bezpodstawny optymizm inspektora okazywany był na użytek przysłuchujących się rozmowie reporterów. Podobnie zresztą jak i dalsze tłumaczenie. – Do diabła, zabiliśmy właśnie jedno z małych w willi, tam wyżej, matka więc *musi* być gdzieś niedaleko.

Słuchacze przy tych słowach zaczęli rzucać niespokojne spojrzenia na boki.

– Boże mój, widać z tego, jak niewiele pojmują ludzie. – Philip zaczął odsuwać się od trupa kajmana. Nie zamierzał pozwolić na to, by sfotografowano go w takiej sytuacji. – Samica może być już o pięćdziesiąt mil stąd, posuwając się w górę lub w dół rzeki i korzystając z dopływów strumieni, rowów nawadniających – wszystkiego, w czym płynie choć struga błotnistej wody. Może być też i tak, że małe się rozdzieliły i każde poszło własną drogą. Jeden wlaźł do basenu z rybami, a drugi do czyjegoś domu. *Inspektorze, nie sposób przewidzieć, gdzie*

którekolwiek z nich pojawi się znowu.

Wybuch strzelaniny wyrwał Keitha Prescottta z płytkiej drzemki. Wrzask strachu został zduszony przez knebel. Nie mógł nawet usiąść wygodnie. Opierał się o pień drzewa, mając odrętwiałe dłonie i stopy. Usłyszał następne strzały i krzyki. Potem zapadła cisza, a po chwili zawył silnik jakiegoś pojazdu. Usiłowano coś wyciągnąć z wody. Domyślał się, że cały ten ruch odbywa się przy elektrowni. Wyglądało na to, że żołnierze zastrzelili jednego z aligatorów. Po chwili wszystko znowu ucichło.

Nie szarpał się już w więzach. Nie miało to sensu, bo tylko go osłabiało. Wreszcie pogodził się z myślą, że na własną rękę nie uda mu się uwolnić. „Na pewno wkrótce ktoś przyjdzie i wyciągnie mnie z opałów” – myślał. Brzeg rzeki roił się od policji i żołnierzy. Nie dalej niż pięćdziesiąt jardów w dół było ich pełno. Nie mieli jednak powodów, by wspinać się ku gęstym krzewom.

Znowu opanowało go uczucie paniki. „Zdechnę tu, jeśli szybko ktoś mnie nie odnajdzie” – lamentował w duchu. „O Jezu, ale gorąco!” Nagie ciało chłopca oblane było potem i czuł własny, nieprzyjemny zapach. Śmierdziel. Tak nazywano go w szkole od pierwszej klasy. Dzieciaki marszczyły nosy i cofały się, gdy podchodził. „O, idzie śmierdziel! Fuj!” – Keith nigdy nie wahał nic brudnego i pomyślał, że jest to z ich strony po prostu głupie żartobliwe przezwisko, które mu przylepili.

A jednak śmierział – teraz już to wiedział. A wszystko to było winą ciotki Kate. „Aż do poniedziałku nie wyciągaj czystych majtek z szuflady. To *ja* muszę pracować wszystko w tym domu i równocześnie chodzić do pracy, by cię utrzymać. Musisz o tym pamiętać. A jeśli pobrudzisz majtki, które masz na sobie, będziesz, psiakrew, musiał je nosić aż do następnego tygodnia!”

„Wcale się nie zmieniła” – myślał. Przeciwnie, robiła się z wiekiem coraz bardziej niemożliwa. 'Gdy pożegnał się ze szkołą, próbowała wykołować go. Chciała, by sam sobie prał. A jak niby, do cholery, miał to robić, gdy na cały dzień wyganiała go z domu? Nie domyślała się przecież, że potrafił otworzyć drzwi, nie mając klucza. Teraz jednak, gdyby, ot tak, wyszła z krzaków i rozcięła jego więzy, zrobiłby wszystko, o co by poprosiła. Tamten gość był stuknięty. Prawdopodobnie gwałciciel i morderca w jednej osobie – na tę myśl mimo upału Keitha przeszył chłodny dreszcz. Chłopak zaczął nasłuchiwać, czy prześladowca czasem nie wraca. Nie potrafił przewidzieć, co skurwiel zrobi następnym razem. Mógł być nawet zboczeńcem. Zbikowanym sadystą. Wiązanie ludzi było przecież tym, co tacy wyprawiają, prawda?

Zaczął zastanawiać się, która może być godzina. Nie umiał jednak odpowiedzieć na to pytanie, choć słońce nieźle już przesunęło się na zachód. Stwierdził nagle, że piekła go dupa i to naprawdę boleśnie. Czuł, że coś na nią włązi i gryzie go tak, że wrzasnął z bólu. Potem spostrzegł napastników i daremnie usiłował unieść się z ziemi, by

zejść im z drogi. Mrówki całymi tuzinami łąziły po jego stopach, ale nie czuł tego. Nie czuł zresztą niczego poniżej kostek. Mrówki biegały po nim, odgryzały małe strzępki jego ciała i zabierały je ze sobą. Pomyślał, że naprawdę wyżerają mu tyłek! Pod wpływem tej okropnej myśli zacisnął pośladki i napiął je sztywno, usiłując zamknąć dostęp do odbytnicy. *Chryste, mogą dostać się do środka, wprost do jego flaków!*

Teraz już całymi tuzinami łąziły mu po udach. Naprężył mięśnie i spróbował strząsnąć mrówki z siebie. Ale było to niemożliwe. Nie mógł nawet wrzeszczeć, czy spluwać na nie. Nie miał żadnej alternatywy, musiał tu leżeć i czekać, aż zostanie pożarty żywcem!

Teraz już dotarły do włosów na podbrzuszu. Wniknęły w nie i cały czas gryząc, przedzierały się przez splątaną gęstwinię. Wił się rozpaczliwie i wrzeszczał bezgłośnie. Był o krok od szaleństwa. – Wiedział, gdzie dotrą za chwilę! „Małe, paskudne skurwiele” – wrzeszczał w duchu – „nie ośmielicie się przecież tknąć mnie *tam!*”

Ale ośmieliły się! Kłębiły się na miękkim ciele i szukały drogi do środka. I znalazły ją, miękką skórę, która poddawała się, gdy zaczęły ją szarpać, A pod nią jeszcze jeden delikates. Gryzły żarłocznie, tłoczyły się jedna przy drugiej złączając w dół, rozognione ostrym, krwawym zapachem. Chłopak wiedział, że za chwilę oszaleje. O Boże, co za ból! Poczuł, że pod jego wpływem traci przytomność, co powitał nieomal z ulgą.

Gdy się ocknął, był już zmierzch. Taki, jaki bywa

zazwyczaj w mieście. Poprzez zwisające nad nim liście dostrzegł pomarańczowe niebo. W pobliżu słyszał szybkie skrzekliwe dźwięki wydawane przez śmigającego chyłkiem nie opodal nietoperza. Rozróżniał inne pospolite nocne dźwięki: brzęczenie owadów, ruch małych stworzeń, które zatrzymywały się, nasłuchiwały przez chwilę i ruszały dalej.

Jednak dźwięki te są przerażające, gdy ktoś, tak jak Kevin, leży bezsilny, zdany na łaskę nawet najdrobniejszych owadów.

Mrówki już odeszły, pozostawiając jego piekące, obolałe ciało. Oddał mocz, co było piekielnie bolesne. Zaczął płakać, cicho łkając w tkaninę, która zatykała mu usta – roztrzęsiony i gotów błagać o przebaczenie. „Ciociu Kate, żałuję bardzo. Nie chciałem skrzywdzić papużki. Naprawdę wsadziłbym ją z powrotem do klatki. W ogóle nic by jej się nie stało, gdyby nie ten skurwysyn, co tak go wystraszył. A ja i tak nie złapałem małego aligatora.” Nagle przypomniał sobie, dlaczego tu się znajduje; poczuł, że jest piekielnie głodny. Ponownie zaczął nasłuchiwać i dotarły do niego rozmaite nocne dźwięki: brzęk owadów, szmery w trawie...

Nagle poczuł, że coś go dotknęło, coś zimnego. Oślizgłego. Wspięło się na jego nogę i ruszyło owym szlakiem bólu, który wytyczyły mrówki. Szarpnął się i wykręcił głowę, usiłując dojrzeć coś w ciemności. „O Jezu” – sapnął – „co to takiego?” Mógł dostrzec tylko czarną, wydłużoną i poruszającego się bardzo wolno

plamę, która ślizgała się po jego ciele i przywierała do niego jak mała przyssawka.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co po nim łązi. Znowu przerażenie ścisnęło mu gardło. Jego oczy przystosowały się do ciemności i mógł teraz dojrzeć stworzenie, wyraźnie odbijające od bieli jego ciała: zakończona różkami głowa, a za nią trochę rozdęte ciało. *Ślimak!*

Pod wpływem odrazy omal nie zwymiotował. Wiedział, że jeśli tak się stanie, to prawdopodobnie udusi się treścią własnego żołądka. Napinając mięśnie, usiłował wysiłkiem woli zrzucić z siebie pełzające stworzenie, ale przywarło jak pijawka i zmuszało go do uwagi. Małeńka głowa zwierzęcia była podniesiona. Wprawdzie nie mógł dojrzeć wyraźnie jej obłych zarysów, ale odgadywał nastrój stwora i rozkosz, jaką sprawiało mu przerażenie przepelniające chłopca.

Boże, jest ich więcej! Wyczuł je, zanim dojrzał, domyślił się, że pełzną wśród trawy ku niemu. Ściągają ze wszystkich stron, szukając ciepła jego ciała. Usiłował przekonać samego siebie, że są nieszkodliwe, lecz nic z tego nie wyszło. Zwarł uda, usiłując nie dopuścić ślimaków do podbrzusza. Nigdy nie potrafił znieść obcego dotyku w tym miejscu. Gdy był młodszy, nie potrafił wytrzymać dotyku ciotki Kate nawet przy tych rzadkich okazjach, kiedy go kąpała. Gdy na to nalegała, raz o mało nie dostał konwulsji.

Całe tłumy włąziły na niego i wiedział o tym. Teraz

jednak tak odwrócił głowę, by na to nie patrzeć. *Spieprzajcie skurwiele, zostawcie mnie w spokoju!* A jednak odnalazły drogę do genitaliów. Zaciążyły na obwisłym członku, a potem oblazły mu jądra. Inne wolno posuwały się wyżej, badając rejon pępka, przyciągane jakąś niewy tłumaczalną przynętą.

Na górnej części tułowia przez chwilę straciły orientację, ale po chwili odnalazły dalszy kierunek marszu. Z chłopaka pot lał się już strumieniami. Keith czuł, że serce wali mu jak oszalały tłok. W powolnym, celowym natarciu ślimaki dotarły do jego szyi i zaczęły wpełzać wyżej. Z całej siły zamknął oczy. Wiedział, że za chwilę zwariuje. Powrócił koszmar jego dzieciństwa. Prescott pamiętał dzień, gdy jego ciotka kazała mu bawić się w ogrodzie. Miał wtedy sześć lat. Bosonogi berbec brodził po trzęsawisku, w jakie zamienił się od dawna nie strzyżony trawnik w wyniku nocnej ciężkiej ulewy. Nadepnął na coś, tłuste, zimne ciało, które pękło pod stopą, wydzielając z siebie szary śluz. Ślimaki były wszędzie. Biegł ku domowi, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. Załomotał w nie małymi piąstkami, wrzeszcząc i kopiąc jak szalony w łuszczące się farbą drewno.

Ciotka Kate otworzyła drzwi na kilka cali. Tak przytrzymała je stopą, aby nie mógł wcisnąć się do środka. – Za cholere teraz nie wejdiesz. Najpierw muszę posprzątać i wyczyścić podłogi. Kiedy będziesz wlaził, nie zapomnij wytrzeć nóg.

Wpadł w histerię. Ciotka, zatrzasnąwszy drzwi, przygniotła mu palce i niewiele brakowało, żeby je połamała. Wrzasnął z bólu, szarpnął się i wbiegł na wykładany niebieskawą cegłą podest ganku.

– Durny mały gnojek! – Dziobnęła go końcem miotły
– Dobrze ci tak! Wtedy będziesz mógł wejść, kiedy cię zawołam. I przestań tak wyć, bo sąsiedzi zaczną się skarżyć. Słyszysz? A teraz wstawaj i jazda stąd!

Keith ssał i dmuchał na swoje nabrzmiałe palce, a drugą ręką wskazywał na ogród. – Ślimaki! – łkał donośnie. Ciotka raz jeszcze przyłożyła mu miotłą, zwalając go na ziemię. – Nie zwracaj uwagi na te cholerne stworzenia, nie zeżrą cię! A teraz wracaj do ogrodu, zanim przyłożę ci lepiej!

Oczywiście poszedł, bo nie miał innego wyboru. Zapomniał nawet o bólu w spuchniętych palcach, gdy patrzył na te tłuste, czarne stworzenia, które wszędzie zostawiały za sobą śluz. Były wielkie i tak nabrzmiałe, że mogły w każdej chwili pęknąć. Miały rogate, obserwujące go czujnie głowy; doskonale wiedziały, że on się ich boi. Szukając miejsca, w którym nie mogłyby go dosięgnąć, wdrapał się w końcu na stary dach przybudówki i tam przykucnął, schwytny w pułapkę. Pod nim przyczaiły się miliony tych pękających, żywych stworzeń, które czekały tylko, żeby zlaź na dół. Przez cały następny tydzień miewał koszmarne sny. Z wrzaskiem budził się w nocy, a ciotka Kate przychodziła do niego. Wściekła i zaspana biła go po twarzy. Raz złapała go za włosy i szarpała

boleśnie. – Jak nie przestaniesz wyć, to oddam cię do domu dziecka, gdzie zobaczysz rzeczy gorsze od ślimaków, możesz być pewny. Tam będą pająki, które w nocy spadną na ciebie z sufitu. I karaluchy. A także pluskwy w łózk. Zapamiętaj moje słowa. A teraz, cholera, zamknij dziób!

Dziecięcy strach ciągnął się za nim aż do lat młodzieńczych. W chłopaku drzemała zawsze obawa przed stworzeniami, które pełzały, a szczególnie bał się ślimaków. „Czekały całe lata, by mnie dopaść” – myślał. *I teraz wreszcie go miały.*

Te skurwiele włąziły mu już na twarz! Czuł ich powolne, ruchy i oślizgły dotyk. Przejmowały go odrazą, gdy niekiedy zatrzymywały się na długie chwile, jak gdyby z zaciekawieniem badając otoczenie. Wpełzły na oczy, zmusiły do zamknięcia powiek. Uczyniły z niego jeńca uwięzionego w lodowatej ciemności. Dziesiątki małych potworów!

Ślimaki przyłgnęły do jego ciała jak pijawki. Zakryły mu nos, toteż z trudnością oddychał. Serce Keitha biło coraz szybciej, a w uszach tak mu szumiało, jakby słyszał huk niesamowitego wodospadu.

W końcu mózg chłopca poddał się naciskowi. Wiedział, że wkrótce umrze. Wszystko to było winą ciotki Kate. *Ciociu, nie bij mnie znowu, nie mogę się powstrzymać!*

Jeszcze chwila, a zwymiotuje. Ponownie poczuł żółć w gardle i wzdrygnął się, jak to się stało kiedyś, gdy

doktor przytrzymując mu język szpatułką oglądał jego migdałki. – *Ciociu Kate jest mi niedobrze.* – No to uważaj, do cholery! Nie rzygaj na podłogę, bo sam będziesz to wycierał. Słyszysz!

Chciał iść do toalety, szarpał się w więzach i zupełnie nie rozumiał, dlaczego nie może się ruszyć. – To chyba znowu sprawka ciotki Kate, która przywiązała go do łóżka, jak to zrobiła niegdyś z dziesięcioletnim chłopcem. – Zabawiałeś się! No nie, ty brudny, mały gnojku! Dla szczeniaków, którzy to robią, takie igraszki kończą się ślepotą i odpadają im jaja. O tak, odpadają! Ale postaram się, byś więcej nie mógł tego robić. – Przywiązała jego ręce do wezgowia staromodnego łóżka. – To cię nauczy! I uważaj na pająki spadające z sufitu pluskwy w łóżku, bo będą miały niezłą uciechę. – Nie mówiła wtedy nic o ślimakach, pozwoliła mu samemu to odkryć. „Brudna, stara wiedźma” – pomyślał. – „A teraz, do kurwy nędzy, rzygnę sobie jak nigdy w życiu, a ty będziesz musiała oczyścić pościel. I dobrze ci tak! Cieszę się, że zatłukłem twoją papużkę”.

Zwymiotował gwałtownie. Jednak knebel trzymał mocno i Keith poczuł, że coś piekącego wlewa się do jego krtani. Było tego coraz jej więcej. – *Jezu Chryste, nie mogę oddychać!* Usiłował przełknąć to, co zwymiotował, ale na próżno. W końcu się udusił.

Mały kajman odnalazł go tuż przed świtem. Zwierzę wyszło z rzeki, szukając małych ssaków. Złapany szczur

wodny zaostrzył tylko jego apetyt. Gdy wyczuło zapach ciała ludzkiego, zaskrzeczało z podnieceniem.

Kajman zbliżał się ostrożnie. Powoli okrążał wybrany teren. Martwy królik i papuzka w ogóle go nie interesowały. Obserwował czujnie nagie ludzkie ciało. Było świadkiem śmierci ojca, wyczuwał jakąś pułapkę i obawiał się śmierci. Największy ze wszystkich wyklutych w tym zoo, odłączył się już od matki i uczył się teraz polować samodzielnie – a wiedział już, że największymi jego wrogami są ludzie.

A teraz jeden z nich był zdany na jego łaskę. Przez chwilę zwierzę jeszcze obserwowało i węszyło, ale już wiedziało, że coś tu jest nie w porządku. Dookoła unosił się silny, kwaśny smród. To nie był ten zapach, który podniecał kajmana i sprawiał, że ślepl on na wszystko inne. Zamiast woni żywego mięsa, słaby wietrzyk przynosił mu odór padliny.

Rozczarowane zwierzę, gniewnie skrzecząc w przelotnym przyptywie gadziego złego humoru, zawróciło i zniknęło w krzakach. Kajman nie myślał już o nagim trupie człowieka. Nie był ścierwojadem i pożerał tylko to, co sam zabił.

Wkrótce potem rozpoczął polowanie. Gad dopadł nie spodziewającego się napaści szczura. Jednym kłapnięciem paszczy złamał kręgosłup ofiary, a potem żarłocznie wbił zęby w gęste brązowe futerko swej zdobyczy.

13

Wysepka miała niecałe pięć hektarów powierzchni i leżała milę w dół rzeki, poniżej miejskiego klubu piłkarskiego. Woda budowała ją tysiące lat, nanosząc najpierw ławicę mułu, potem tworząc płyciznę i poszerzając ją. W końcowym etapie nurt rozdzielił się na dwa koryta. Z jednej strony wyspy woda płynęła wartko, z drugiej była głębsza i bardziej zdradliwa.

Od stuleci prawo własności do wysepki było przedmiotem sporów. W latach pięćdziesiątych, po długiej batalii w sądzie, przyznano je w końcu wydziałowi rybołówstwa rzeczno-jeziernego. Później przekazano je zarządowi wód miejskich, jako że nadeszła kolejna faza reform administracyjnych. W 1970 roku sprzedano wysepkę prywatnemu właścicielowi.

Był to kawałek ziemi, płatanina krzaków i zarośli nie przynosząca żadnego pożytku. Nikt też jej naprawdę nie chciał z wyjątkiem Jamesa Hollanda. Kosztowało go to 3000 funtów. A 3000 funtów nawet wtedy stanowiło niezły kawał grosza. Pieniądze te zaspokoili jednak kaprys właściciela – zostały więc dobrze wydane.

Holland był największym w okolicy handlarzem antyków. Miał w mieście dwa sklepy, w całym hrabstwie jeszcze trzy, a ponadto magazyn, który stał się czymś w rodzaju wyspecjalizowanego supermarketu. Kilka lat temu wraz z trzema innymi handlarzami został oskarżony o to,

że kogoś nacięli. Skazano go. w sumie na zapłacenie 2000 funtów odszkodowania. Dla większości ludzi taki wyrok byłby poważną klęską plamą na reputacji. Dla większości tak, ale nie dla Wielkiego Jima Hollanda. Cała ta sprawa dodała mu tylko szczególnego uroku. Dla plotkujących ludzi stał się kimś w rodzaju bohatera handlu antykami. Mówiono też, że to milioner. „W pewnym sensie jest skurwysynem” – myśleli ludzie, ale zawsze z dumą przyznawali się do tego, że znają go osobiście.

Holland był człowiekiem wysokim i dobrze zbudowanym. Zbliżał się do czterdziestki, miał władczą osobowość i szczególny timbre głosu. Gdy mówił, nieoczekiwanie dla samego siebie odkrywałeś, że słuchasz go, choć nie zawsze interesuje cię temat rozmowy. Twierdził, że kształcił się w Winchester, czego zresztą nikt nie podawał w wątpliwość.

Był żonaty od dwunastu lat z Daphne Mason, szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną, młodszą od niego o pięć lat. Rozwiódł się dla niej z pierwszą żoną. Towarzyszyła temu atmosfera lekkiego skandalu, ale Wielkiego Jima po raz kolejny uratowała książeczka czekowa. Teraz wydawało się wszystkim, że prowadzi szacowne życie rodzinne. Mieli dwójkę dzieci, osiemnastoletnią córkę Daphne z pierwszego małżeństwa, Esther, i dziesięcioletniego synka Jonathana.

Jim zdecydował, że nadszedł czas, by nieco odetchnąć. Daphne nieustannie wypominała mu, że zawsze łączy przyjemności z interesami. Weekend w

Bournemouth – to brzmiało uroczo, ale w sumie niewiele wypoczęli, gdyż większość czasu spędzali w salach aukcyjnych.

– Psiakrew, masz rację – powiedział pewnego wieczora do Daphne – sama praca i żadnej zabawy. Czas, żebyśmy skorzystali z tej starej wyspy. Mamy ją tak długo, a byliśmy tam jedynie parę razy. Pojedziemy tam na weekend – noc z soboty na niedzielę spędzimy w namiocie. Jak ci się podoba ten pomysł?

– Brzmi całkiem nieźle – powiedziała, wspinając się na place i całując go. – O ile dotrzymasz słowa.

– Obiecuję – powiedział głębokim, poważnym tonem i uśmiechnął się lekko.

– To dobrze. Powiadomię Esther i Jonathana. Miejmy nadzieję, że pogoda utrzyma się jeszcze przez kilka dni.

– Patrzyłem na prognozy. W najbliższym czasie nie ma co spodziewać się choćby kropli deszczu.

Philip Grant odłożył słuchawkę, westchnął głośno i na chwilę zamknął oczy. Świat zawirował dookoła niego, po czym wszystko wróciło do normy.

– Czy dobrze się czujesz? – w głosie Susie Lee zabrzmiała prawdziwa troska. Ujęła jego dłoń w swą rękę.

W porządku. – Usiłował uśmiechnąć się. – Przypuszczam, że gdybym nie był weterynarzem, ale zwykłym obywatelem to szalałbym ze szczęścia. *Dostali wszystkie aligatory!* Przed chwilą właśnie dzwonił Alex. Carver powiadomił go o tym telefonicznie. Znalezione je na

polu pszenicy koło Dilbury. w odległości mniej więcej ćwierci mili od rzeki. Farmer właśnie wspinał się na kombajn, kiedy je zobaczył. Wojsko zjawilo się tam błyskawicznie i zastrzelili wszystkie. Brawo, jak mogliby rzec dzielni wojacy. Dla mnie to była cholerna jatka.

– A kajmany?

– Ani widu, ani slychu. Matka i małe jak gdyby zapadły się pod ziemię. Mogą być o sto mil stąd. Podejrzewam, że znalazły sobie jakąś dobrą kryjówkę, która im odpowiada. Dopóki będą miały zarcie pod nosem, nie usłyszymy o nich wcale. To tych zwierząt powinniśmy się obawiać. Jeśli ich nie odnajdziemy, pozostaną tam aż do zmiany pogody.

– A co zrobią później?

– Przypuszczam – podprowadził ją ku rozpostartej na biurku topograficznej mapie terenu – że wrócą do miasta. Rzeka przy elektrowni da im potrzebne do życia ciepło. Gdyby zostawić je w spokoju, myślę, że mogłyby w pobliżu upustu wodnego przeżyć przeciętną brytyjską zimę.

– Z twoich słów wynikało, że małe prawdopodobnie rozdzieliły się już z matką.

– Nie ma pewności. W naturalnym środowisku stałoby się tak na pewno. Tutaj, na obcej ziemi, gdzie wszystko jest przeciw nim, odczuwają prawdopodobnie potrzebę dodatkowej opieki i ochrony. Któż to wie? Wkrótce się przekonamy. – Przerwał na chwilę. – Wojsko i policja będą sobie wzajemnie gratulować, ale w sumie

spieprzyli całą sprawę. Budowanie zapór na rzece było stratą czasu. Wieczorem zwierzęta mogą wyjść z wody w innym miejscu, gdzie zapór nie będzie. W ten sposób ominą je. Ten inspektor jest taki tępy i uparty, że wcale nie mam chęci z nim współpracować. Do diabła, nie musieli zabijać aligatorów. Mogliśmy je zwabić do klatek, uśpić albo złapać w sieci. Ale nie, *musiano* je zastrzelić, by dostarczyć satysfakcji tej tak miłującej zwierzęta społeczności. Przecież część tych ludzi żarliwie walczy przede wszystkim o uwalnianie zwierząt z klatek. Jesteśmy narodem hipokrytów. Jestem głęboko przekonany, że taki na przykład gość jak ten Maurice Young, mogący łazić sobie wszędzie tam, gdzie mu się podoba, stanowi dużo większe zagrożenie niż te aligatory.

– Phil, masz rację – zbladła i zacisnęła wargi. – On tego tak nie zostawi. Na pewno zechce pomścić śmierć aligatorów. I jeśli zdoła, będzie próbował mnie dopaść. „I ciebie” – chciała dodać.

– Nie tutaj. – Dodając jej otuchy, pocałował ją w policzek. – Od tej chwili będziesz stale przy mnie – zarówno w dzień, jak i w nocy. Będziesz wychodziła ze mną do wszystkich wezwań. Tutaj, na miejscu, Pam całkowicie da sobie radę ze wszystkim.

– W dzielnicy Castlefields znaleziono dzisiaj martwego młodego chłopaka. – Philip wyczuł, że dziewczyna drży. – W dole przy rzece. Mówiono o tym w wiadomościach o szóstej. Ktoś go przywiązał do drzewa, krępując mu dłonie i stopy, a ponadto zakneblował.

Chłopak zwymiotował i udusił się.

– Dobry Boże!

– To zrobił Maurice. Wiem, że to on. – Głos Susie drżał. Była bliska łez. – Często groził, że mnie zwiąże, zaknebluje i zostawi tak na kilka godzin. Raz mu na to pozwoliłam – ukryła twarz na jego piersi. – To była jedna z tych jego zwariowanych, zboczonych zabaw. Straszne. Bałam się, że naprawdę chce mnie zabić. Phil, mogę się założyć o moje życie, że tego chłopca zamordował Maurice Young.

– No cóż, nie potrafimy tego udowodnić. Niczego nie osiągniemy, zawiadamiając policję. Wiedzą już o nim wszystko, przekazali jego rysopis każdemu posterunkowi w kraju. W końcu go złapią, ale zanim to nastąpi, musimy oboje się pilnować. No chodź, dziś wieczorem położymy się wcześniej.

Na ulicy, schowany w cieniu domu, stał jakiś mężczyzna. Jego twarz znaczyła okropna blizna, wykrzywiał ją grymas nienawiści. Zwężone oczy patrzyły w okno na piętrze. Na tle firanek pojawiły się cienie: mężczyzny i kobiety. Sylwetki Susie Lee nie można było pomylić z żadną inną.

Obserwator poczuł, że ma erekcję. Jego palce zacisnęły się na rękojeści zatkniętego za pas noża. Ze zwierzęcym grymasem wyobraził sobie, że przechodzi przez ulicę i naciska guzik dzwonka obok brązowej tabliczki z napisem "Lekarz weterynarii". Trzyma nóż w pogotowiu i ustawia się tak, że może pchnąć w gardło

brodatego skurwysyna, gdy tylko ten otworzy mu drzwi. A potem do góry, do sypialni. Rzuci się na rozciągniętą nago na łóżku i zaczynającą płaczliwe prośby Susie Lee. I powie jej przedtem: „Ty chińska kurwo, zerznę cię tak, jak nikt dotąd tego nie zrobił. A jak z tobą skończę, to nawet nie będą mogli zidentyfikować ciała. Raz tylko można uciec od Maurice’a Younga. A za to płaci się śmiercią”.

Zdołał się jakoś opanować. Jeśli poczeka wystarczająco długo, osiągnie swój cel. Tak zawsze dotąd było. Nie chciał jeszcze uciekać z tej okolicy.

Musiał znaleźć się w pobliżu, gdy wielką samicę kajmana naprawdę opanuje żądza krwi i zabijania. Chwila ta z pewnością nie była zbyt odległa.

Już o jedenastej rano w sobotę Jim Holland załował, że wpadł na pomysł wyjazdu z rodziną na camping na wyspie. Rangerover i przyczepa zostały już załadowane sprzętem obozowym, namiotami i żywnością. Jeżeli nie zabrali zlewu kuchennego, to tylko dlatego, że nie mieli już miejsca. Dinghy, bez której nie mogliby dostać się na wyspę, przymocowano do zaczepów na dachu. Miał nadzieję, że mała łódka zachowała zdolność pływania. Ostatnim razem używali jej dwa lata temu w Barmouth i od tej pory stała w kącie garażu. Ale podobno włókno szklane nie niszczeje.

– Czy wszyscy są gotowi? – zawołał w stronę frontowych drzwi ich biało–czarnej drewnianej willi.

Starał się najlepiej, jak potrafił, ukryć rozczarowanie i zdenerwowanie. „Panie Boże wszystkich zmotoryzowanych” – pomyślał – „dwudniowy camping w odległości dwu mil od domu, a wymaga tyle samo przygotowań co dwutygodniowa wycieczka nad morze!”

– Tato, ja jestem gotów. – Jonathan ubrany był w szorty i koszulkę z krótkimi rękawami. Upał i słońce ponownie pokryły twarz chłopca masą piegów. Trochę przypominał Jimowi chłopaków, którzy grali w westernach. Praktycznych, rozsądnych synów ranczerów, którzy niezależnie od tego, czy innym to się podobało czy nie, zaprzyjaźniali się z bohaterem.

– Kobiety! – uśmiechnął się Jim. Mężczyźni zawsze gotowi są o półtorej godziny wcześniej.

– Już idę! – zawołała Daphne od strony schodów. – Och, poczekajcie jeszcze chwileczkę...

Wyruszyli dopiero o 11.30. Poczekali jeszcze, ponieważ Jim uruchamiał alarmy antywłamaniowe. Zawsze gdy opuszczał dom, czuł się trochę niepewnie. „Psiakrew – pomyślał – trzeba było mieć więcej zdrowego rozsądku i trzymać pysk na kłódkę”.

Wąska asfaltowa droga biegła wzdłuż brzegu rzeki przez nieużytki, które na polecenie rady miejskiej zagospodarowano. Z jednej strony zasiano trawę, a z drugiej, za rosnącym już od dawna rzędem kasztanów, posadzono kilka nowych drzew. Gdy mieszka się w mieście, trzeba mieć miejsce na przechadzki z psem. Lub na randkę z dziewczyną w ciepłą letnią noc. Miejsce,

które nadaje się do wszystkiego.

Jim zwolnił i rzucił spojrzenie w kierunku wyspy. *Jego* wyspy. Jego własnego małego królestwa. Poziom wody w rzece był niski. W niektórych miejscach nie sięgał nawet dwu lub trzech cali i woda szemrała wesoło na kamienistym dnie. Znajdował się tu bród, który rangerover, jak Jim wiedział, łatwo mógł pokonać. Holland znał też miejsce nadające się do przejechania przez rzekę bez wysiadania z wozu. Ale zepsułyby w ten sposób wszystkim, a szczególnie Jonathanowi, smak wycieczki. Zaparkował pojazd na trawie. – No dobrze, wszyscy wysiadać, a ty, Jonathanie, pomóż mi zdjąć łódź z dachu. – Biada temu, kto nazwałby chłopca Jon albo Jonnie. „Od zawsze” był Jonathanem. — Panie zajmą się rozpakowywaniem bagażu. „Jezu” – pomyślał – „przecież przed chwilą skończyliśmy pakowanie”.

Esther miała figurę i wygląd Daphne. Rozwiązując liny, Jim jeszcze raz pomyślał, jaki cholerny wstyd przynosi rodzinie jej postępowanie. Dlaczego nie potrafiła, zamiast tego gnojka, z którym wychodziła wieczorami, znaleźć sobie solidniejszego faceta.

Daphne starała się jakoś wytłumaczyć córkę, używając jej słów, które często powtarzała. Esther przechodziła „trudny okres” charakteryzujący się wrogim nastawieniem do wszystkiego i wszystkich. Czasami z radością by jej przyłał. Zdawała się w ogóle nie pojmować, jakie cholerne miała szczęście. I za to wszystko, co jej dawali, tak im się odpłacała.

Esther nie chciała przyznawać się do tego, że kształciła się w Howard's College, ekskluzywnej prywatnej szkole dla dziewcząt. Opowiadała jakieś brednie; twierdziła, że kończyła szkoły państwowe. Wiedział, że nawet swoim przełożonym wciskała te szalone fantazje. Wszystko to uważał za polityczny bełkot. Bywała nawet na spotkaniach bojowych lewackich grup w Londynie. Powracała z nich pełna idei dotyczących redystrybucji dóbr: obrabuj bogatych i oddaj biednym. Pewnie po to by mogli przepuścić wszystko na ćpanie i picie. Obojętnie poinformowała też rodziców, że jej zdaniem narkotyki powinno się zalegalizować. Daphne omal nie oszalała wtedy z niepokoju. Kiedy dziewczyna gdzieś wyszła, dokładnie przeszukali jej pokój. Nie dało to żadnych rezultatów. Nie znaleźli ukrytych pudełeczek z kannabistem. Wszystko to było tylko pozą.

Jim jednak musiał niemal siłą powstrzymać Esther od wyjazdu do Greenham Common. Zagroził, że zamknie ją na klucz w jej pokoju. Stoczyli również gwałtowną sprzeczkę na temat Molesworth. Pogratulował sobie, że chociaż w tym wypadku odniósł zwycięstwo. Od przynajmniej dwu tygodni nie wspomniano w domu o broni nuklearnej. Zastanawiał się, jak Esther może nie zrozumieć, że warunkiem pokoju światowego jest posiadanie przez Zachód odpowiedniej siły odstraszałającej. Na szczęście dla swych rodziców zrezygnowała – choćby chwilowo – z prób przekonania ich do własnych poglądów. „Wkrótce z tego wyrośnie ” – mawiała

Daphne. On jednak uważał, że Daphne zawsze szła po linii najmniejszego oporu. Czasami takt i dyplomacja po prostu nie skutkują i wtedy trzeba twardo obstawać przy swoim.

Przed dwoma tygodniami uraczyła ich prawdziwie bombową nowiną. Daphne z Jimem ciągle jeszcze nie potrafili się z tego otrząsnąć. „Boże” – przypomniał sobie – „jak to nas zraniło”. Stało się to pewnego wieczoru po kolacji. Esther pomagała Daphne zmywać w kuchni i jakoś tak pojawił się stały temat ich sprzeczek – społeczeństwo przyzwalające. Ich córka zupełnie spokojnie i rzeczowo oznajmiła, iż spodziewa się, że oni zdają sobie sprawę z regularnych stosunków seksualnych, jakie ona utrzymuje ze swoim przyjacielem Ivorem.

Daphne zbladła jak płótno i obiema rękami przytrzymała się zlewozmywaka. Esther nawet nie zarumieniła się i nadal spokojnie wycierała talerze. Później załamana Daphne powiedziała mężowi, że tym razem powinien jakoś zareagować. „Kobieto, bądźże rozsądna. Cóż, u diabła, mam z tym zrobić?”

W tym jedynym przypadku Wielki Jim musiał uznać się za pokonanego. Wiedział doskonale, że gdyby zakazał córce widywania się z jej fagasem, porzuciłaby dom. A wtedy pieprzyłaby się już bez opamiętania. Nie można jej było przemówić do rozsądku. Mógł jedynie liczyć na to, że ten drań jej się znudzi i dziewczyna znajdzie sobie kogoś innego, jakiegoś solidnego chłopaka z dobrej rodziny. „Spójrzmy prawdzie w oczy” – pomyślał. Gdyby

okazało się, że taki gość rznie mu córkę, nie miałby nic przeciwko temu. Klasa – to jedyna rzecz, która liczyła się naprawdę. Zdawał sobie zresztą sprawę, że obecnie szesnastoletnie dziewczyny rzadko bywają dziewicami.

Wiedział zresztą, że czas pracował dla Hollandów. Już to, że Esther zechciała spędzić weekend razem z rodziną, zdawało się oznaczać, iż Ivor zaczynał ją nudzić. Jonathan był zupełnie inny.

Miał tylko dziesięć lat i wyrastał na takiego chłopca, jakiego chciał w nim widzieć Jim Holland: sprawny fizycznie, z zapałem uprawiał sport, dawał sobie również radę z nauką i dobrze czuł się w szkole prywatnej. Daphne niechętna była posyłaniu dzieci daleko od domu rodzinnego, ale Jim uważał, że jest to jedyny sposób, by wykształcić w nich prawdziwą niezależność. Świat to dżungla – przeżywali najlepiej przystosowani.

Ściągnęli dinghy w dół ku wodzie. Rzeka była prawie za płytka nawet dla płaskodennej łódki. Jim zdecydował, że większość rzeczy przeniesie przez bród, a Jonathanowi pozwoli przewieźć w dinghy jedynie lżejszy sprzęt. „Najpierw namiot” pomyślał Jim – „to było najważniejsze”.

Na chwilę uwagę wszystkich przykuło głośne kwakanie i zobaczyli podrywających się z wody siedem "kaczek, dwoje starszych i pięć młodych kaczorków.

– Tato, kaczki! – Może na jesieni moglibyśmy ustrzelić parę sztuk.

– Jest to jakiś pomysł – odparł Jim. – Zobaczymy, jak

sprawy będą się miały w półsemestrze. Kto wie, czy w październiku nie zajrzemy tutaj kiedyś wieczorem. Wtedy spróbujemy je podejść.

– Mordercy! – z tyłu rangerovera usłyszeli okrzyk Esther. – Zaczekajcie, aż my dojdziemy do władzy! To będzie koniec tych waszych wszystkich krwawych sportów!

Przez chwilę Jim zastanawiał się, czy powinien ostro jej odpowiedzieć, ale dał spokój. Mieli spędzić razem spokojny, rodzinny weekend i gwałtowna sprzeczka na tematy polityczne nie była teraz potrzebna. „Zresztą” – pomyślał – „wy nigdy nie zdobędziecie władzy – ten kraj was nie poprze”.

– Tato, myślisz, że gdzieś tu mogą być te aligatory? – zapytał Jonathan, gdy zabrali się do wbijania kołków namiotów w spieczony gliniasty grunt.

– Chłopcze, wczoraj zastrzelono ostatnie z nich.

– Wcale nie. Radio dziś podawało, że samica kajmana i pięć młodych nadal pozostaje na wolności.

– No cóż. Nie sądzę, abyśmy mieli powód do obaw – uśmiechnął się Jim. – Bestia prawdopodobnie przyczała się gdzieś i jest śmiertelnie przerażona. Trzeba przyznać, że ci ludzie rzeczywiście mają wyniki. Minęło dopiero pięć dni.

– Ale wiele osób zginęło.

– A, to już wina przyjaciół Esther, tych tak zwanych miłośników zwierząt. Oni są najgorsi ze wszystkich, choć nie zdają sobie z tego sprawy. Uwierz mi, że my, ludzie

strzelby i wędkę naprawdę dbamy o przyrodę. Szanujemy naturalne środowisko. Uzupełniamy jego zasoby i utrzymujemy naturę w równowadze.

– Ja zabrałem wędkę.

– Doskonale. Ale przedtem postawimy te namioty, bo inaczej nasze panie zaczną narzekać.

Obozowisko było idealnie usytuowane. Środek wyspy nieco się zapadł, tworząc dość płytkie zagłębienie. Gęste krzewy otaczały je ze wszystkich stron naturalną barierą. Dookoła spokój i cisza. Musieli nieźle wyęźać słuch, aby do ich uszu dotarły echa miejskiego gwaru. Daphne zabrała z domu przygotowany obiad. Zjedli go, siedząc w cieniu, wsłuchując się w dźwięki wody: spokojne pluskanie o skały i kamienie z jednej strony wyspy i gardłowe bulgotanie wydawane przez głębszy nurt z drugiej.

– Ivor wyjechał na weekend do Potteries – pragnie odwiedzić matkę – oznajmiła Esther. – Czuje się bardzo samotna. – Było to z jej strony wyzwanie rzucone rodzicom. Zdawała się mówić: „Jeśli się odważycie, spróbujcie mi stawić czoło”.

Jim westchnął. Wyjaśniało to powód obecności Esther na pikniku. Kiedy się nudzisz, a twój chłopak wyjechał, korzystaj z tego, że masz ojca i matkę. Powstrzymał się od wyrażenia na głos przypuszczenia, że w Potteries może mieszkać kolejna z dziewczyn Ivora. Miał to być rodzinny weekend. Zaciśnij zęby i nie zwracaj uwagi na jej prowokacje. To tylko czterdzieści osiem godzin.

– Tato, mogę pójść łowić ryby?

– Oczywiście. Myślę, że powinieneś spróbować na głębszej wodzie. Z drugiej strony wyspy niewiele wskórasz.

Jonathan zebrał wędki i odszedł. „Pozostali członkowie rodziny prawdopodobnie oddadzą się poobiedniej drzemce” pomyślał. Dorośli właśnie tacy byli – późno szli spać i potem musieli kłaść się jeszcze za dnia.

Zauważył pęk kaczych piór rozsypanych na stromym brzegu. Nieco niżej w kępie jałowca coś zaszeleściło, jak gdyby krzew rozrzucał nasiona na podobieństwo ostu. „Prawdopodobnie królik” – pomyślał chłopiec – „może jastrząb spadający z góry na nieostrożną młodą kaczkę”.

Na tym odcinku rzeki, do którego dotarł, była ona głębsza i płynęła wolniej. Znajdowała się tam niewielka zatoczka. „Miejsce w sam raz dla mnie”, zdecydował Jonathan. Usiądzie sobie na tym gnijącym pniu i stamtąd będzie łowił. Wędkarstwo było zabawne, ale nie dostarczało mu tylu emocji co myślistwo.

W czasie ferii wielkanocnych pozwolono mu używać jednolufowej strzelby kalibru 0.410. Ojciec trzymał ją razem ze swoją dubeltówką dwunastką i karabinem 0.22 w gabinecie z bronią. Jak dotąd Jonathanowi nie udało się niczego trafić (z wyjątkiem pustych puszek metalowych), ale jak mówił ojciec, trzeba całych lat, żeby stać się doświadczonym strzelcem. A im wcześniej się zaczyna, tym lepiej. „Łowienie ryb też było miłe” – pomyślał sobie – „szkoda, że tato nie jest wędkarzem”. Niekiedy

Jonathanowi nudziło się siedzieć samotnie na brzegu rzeki. Szczególnie wtedy, gdy nic nie złowił, co dość często mu się zdarzało. Jeśli zaś coś złapał, okazywało się zazwyczaj, że zdobycz jest mizerna i trzeba ją było puszczać z powrotem do wody. „Logicznie rzecz biorąc” – pomyślał – „takie wędkowanie nie ma sensu. Co innego myślistwo, strzelasz, łup jest martwy, bierzesz go do domu i zjadasz”.

Żyłka napięła się, bębenek przez chwilę grzechotał, aż wreszcie znieruchomiał. Jonathan czuł podniecenie. Wędką nagle wygięła się i chłopiec zląkł się, że zostanie mu wyrwana z dłoni. Coś połknęło przynętę i chciało się uwolnić. „Boże, to będzie prawdziwa walka” – pomyślał. Zahaczyło się coś dużego. Może łosoś. Guzik go obchodziło, czy jest sezon na łososie czy nie. *Juhu!* Otworzył już usta, pragnąc zawołać ojca do pomocy, ale szybko się rozmyślił. Nie, chciał sam wyciągnąć to na brzeg. Pragnął, żeby to była *jego* ryba. Nie miał ochoty dzielić zwycięstwa z kim innym. Woda kłębiła się, mętna od mułu, tworząc miniaturowy wir, tak że nie mógł dojrzeć niczego w głębi. Cokolwiek się tam jednak złapało, musiało być strasznie wielkie. Wędką wrywała się z jego dłoni. Ugiął nogi i przyjął postawę zapamiętaną z zawodów w przeciąganiu liny rozgrywanych w niższych klasach. W tej pozycji usiłował nawinąć kołowrotek. „O rany! Chyba nic z tego nie będzie” – powiedział do siebie. „Ryba odpłynęła prawie pod drugi brzeg. Nigdy jej nie wyciągnę. Ale muszę! To może być rekordowy okaz”.

Nagle nylonowa żyłka pękła. Jonathan gwałtownie poleciał do tyłu. W ostatniej chwili rozpaczliwie złapał się kępy długiej trawy, co uchroniło go przed upadkiem do wody. Usłyszał plusk i wiedział, że wędka popłynęła z prądem.

Podniósł się, drżąc z wysiłku. Zwycięstwo, tak wydawałoby się bliskie, głupim zrzędzeniem losu wymknęło mu się z rąk. Spojrzał na wodę. Zawirowała po raz ostatni i już płynęła spokojnie. Przygnębiony powrócił do obozowiska. Jego matka i siostra opalały się na leżakach. Esther założyła bikini, Daphne zdecydowała się na kostium jednoczęściowy. Gdy dzieci były w pobliżu, zawsze czuła się nieco skrępowana. Jim siedział na składanym foteliku. Gdy Jonathan wszedł na polankę, ojciec uniósł wzrok znad czytanego właśnie czasopisma dla zbieraczy antyków. – Masz już dosyć?

– Jakaś ryba zerwała żyłkę i wędka wpadła mi do wody. Miałem szczęście, że nie wyleciałem razem z nią. – Jonathan rozstawił ręce. – Musiała być chyba taaaka duża!

– Opowieści wędkarzy! – zaśmiał się ojciec. – No dobrze. Myślę, że z wędkowaniem na dzisiaj już koniec. Ten zestaw kosztował mnie pięćdziesiąt funtów. Od dzisiaj, jeśli chcesz łowić ryby, używaj kawałka sznurka i zgiętej agrafki.

– Będzie to równie skuteczny sposób na okrutne znęcanie się nad biednymi, bezbronnymi rybami. – Esther na chwilę otworzyła oczy, a potem zamknęła je ponownie. Nikt nie podjął dyskusji. Postanowili uparcie nie dać się

nabrać na *jej* przynętę.

Wszystkich ogarnęło miłe i łagodne znużenie. Panował taki upał, że nie można było robić nic innego, tylko opalać się lub spać. Jonathan zdjął koszulkę i przyłączył się do reszty rodziny. Za rzeką, na terenie miejskiego parku wypoczynkowego bawiły się, pokrzykując wesoło, jakieś dzieci. Starsi chłopcy grali w piłkę. Rozpoczął się weekend.

Jim Holland wyjął swój nowy „Zestaw Barbecue”, stalowy dwupalnikowy piecyk, który włożony do czerwonej, podobnej nieco do dyplomacki skrzyneczki, łatwo można było zabierać ze sobą. Był wygodny w użyciu i wydajny. Całość tworzył piecyk i brykiety opałowe Loglite. Korzystając z tego zestawu, przeznaczało się minimum czasu na gotowanie potraw. Brykiety zrobiono ze sprasowanych drzazg sosnowych. Do kompletu dołączono też zapałki Loglite. Choć raz Daphne zamierzała wykręcić się od przygotowywania kolacji. Jedli powoli. W końcu po to się jedzie na camping, żeby jeść, spać i byczyć się.

Daphne i Esther poszły spać do mniejszego namiotu, większy zostawiając Jimowi i Jonathanowi. Osiemnastoletnia dziewczyna kategorycznie sprzeciwiłaby się, gdyby kazano jej spać z młodszym bratem.

Nadciągnął zmierzch, a za nim ciemności. Gdy zapadła noc, zaczęły docierać do nich różne dźwięki i hałasy. W lesie wyraźniej czuli, że są blisko miasta, niż

gdyby znajdowali się w domu. Rzeka niosła ku nim dźwięki i odgłosy dyskoteki, w której z powodu duszącego upału otworzono okna, warkot samochodów, okrzyki opuszczających zamykane puby klientów. Wreszcie wszystko to ucichło.

Jonathan zasnął. Obudził się i spojrzał na swój ręczny zegarek: 12.20. Czuł się tak, jak gdyby spał wiele godzin. Na drugim polowym łóżku chrapał jego ojciec. Chłopak zaczął zastanawiać się, co też go obudziło. Na zewnątrz szumiały trącane wiatrem liście. Poza tym panowała zupełna cisza.

Przypomniawszy sobie, dlaczego się obudził – chciał siusiu. „Cholerny kłopot” – pomyślał. Oznaczało to, że powinien wyjść z namiotu do małego kłopika za namiotami. A jednak musi to zrobić, bo inaczej nie zaśnie.

– Ukradkiem wysunął się z namiotu. Noc była piękna. Wprost nad jego głową, na tle ciemnego nieba błyszczał księżyc w pełni srebrna tarcza rzucająca nierzeczywistą poświatę. Blask ten sprawiał, że wszystko było prawie tak samo widoczne jak w dzień. „Idealna noc na wędkowanie” – pomyślał. Niestety, nie miał już wędki. Wciąż jeszcze dolatywał go zapach palących się w piecyku brykietów, prawdziwy aromat obozowiska.

Właściwie to nie musiał wcale szukać kłopika. Mógł się w końcu wysiusiać na miękką, sprężystą trawę. No, jasne, tak jest lepiej, być może teraz uda mu się zasnąć. *Sekundę potem wrzasnął z bólu i przerażenia. Jak gdyby jedna z tych staromodnych pułapek z okrutnymi,*

sprężynowymi zębatymi szczękami zamknęła się na jego lewej stopie. Rozdzierając mięśnie, głęboko i straszliwie boleśnie wbiła się w kości.

Padając, spostrzegł napastnika – duże, jaszczurowate stworzenie. W świetle księżyca połyskiwało czernią i przecinało powietrze długim łuskowatym ogonem, a jego szczęki nadal szarpały nogę chłopca.

Pierwszy wypadł z namiotu Jim Holland – muskularny mężczyzna odziany w spodnie od pizamy i blady jak śmierć. Patrzył i nie wierzył własnym oczom. Za nim tłoczyły się Daphne i Esther podnoszące już piekielny krzyk.

Patrzył i nagle zrozumiał. Wiedział, jakie to stworzenie tak zajadle atakuje jego syna. Przypomniwał sobie tego chłopca od Stone’ow i to, co zdarzyło się Boydellom. *Och, Jezu Chryste wszechmogący!*

– Jim! *Zrób coś!*

Zobaczył otwarte do połowy pudełko zapalek Loglite leżące przy nadal żarzącym się piecyku. Porwał je drżącą ręką. Potar: jedną z nich. Zapaliła się natychmiast. W świetle ognia oczy kajmana zapłonęły jak rubiny, zwierzę jednak nie puściło zdobyczy. Zrobiło to dopiero wtedy, gdy płonące drewno wetknięto mu prosto w pysk.

Ze skrzekiem przeraźliwego bólu mały kajman rozluźnił uchwyt szczęki i wijąc się, padł na ziemię. Jim uderzył po raz drugi, smagnął płonącą żagwią i raz jeszcze przesunął płomieniami po oczach zwierzęcia, *oświetlając je natychmiast i całkowicie!*

Napastnik zwinął się jak wąż i uciekł w panice.

– Och, mój biedaku! – Daphne klęczała już u boku Jonathana. Widziała skaleczoną stopę, krew tryskającą z pięciocalowej rany i zwisającą w strzępach skórę. Chłopak był trupioblady i wstrząsały nim spazmy płaczu, którego nie potrafił powstrzymać. – Niech jedno z was natychmiast wyjmie zestaw pierwszej pomocy. Stopa Jonathana została zabandażowana. Nie ulegało jednak kwestii, rana wymaga leczenia szpitalnego i może tuzina szwów.

– Zabiorę go do szpitala tak szybko, jak tylko zdołam.

– W każdej innej sytuacji ten rosły mężczyzna w spodniach piżamy wetkniętych za cholewy długich do połowy uda wellingtonów wyglądałby komicznie. – Wy, dziewczęta, zostaniecie tu, dopóki nie wrócę.

– Jadę z tobą – ucięła Daphne.

– Ja też. Nie zostanę tu, skoro w pobliżu szaleją na wolności te potwory – wzdrygnęła się Esther.

– Będziemy musieli przebrnąć przez rzekę, nie jest tu głębsza niż na dwa, no – może trzy cale. – Jim w ramionach trzymał syna, jego żona i córka narzuciły na nocne koszule swoje kurtki. – Trzymajcie się blisko mnie!

Drżące światło księżycy odbijało się od rzeki. Srebrzysty nurt trzeba było przejść bosą stopą, co było nieco deprymujące, choć wiedzieli, że woda była płytka. I lodowato zimna. Tysiące drobniutkich igiełek kłuły delikatne stopy Daphne i Esther. Kobiety z trudem stąpały po okrągłych kamieniach, płynąca woda stwarzała

wrażenie chwiejności i poruszania się razem z prądem. Na drugim brzegu widzieli ciemną sylwetkę rangerovera – nim mogli uciec. Żadne z nich nigdy już nie zechce wrócić na tę straszną wyspę.

Przeszli już dwie trzecie drogi, gdy natknęli się na przeszkodę: jakiś czarny przedmiot, na wpół zgniły pień, który zwałyły marcowe burze, a prąd przywłókł aż tutaj. *Jim zaklął i chciał przezeń przestąpić, gdy naraz pień drgnął i uniósł się z płycizny. Martwa rzecz nieoczekiwanie ożyła. Wydała ogłuszający, wściekły ryk, rozkraczyła łapy i szeroko otworzyła przerażające szczęki. Zwierzę cofnęło się, odwróciło i uderzyło. Wszystko jednym, płynnym, błyskawicznie szybkim ruchem.*

Odrzucone do tyłu falą wody, Daphne i Esther widziały, jak Jonathan i Jim zostali schwytani, przytrzymani w górze i rozdarci na strzępy. Trysnęła krew, ale ofiary nie zdążyły nawet krzyknąć. Zostały rozerwane na krwawe ochłapy. Gdy bestia zwróciła swój wzrok na skamieniałe z przerażenia kobiety, zobaczyły wyraźnie zwisające po obu stronach strasznej paszczy, ręce i nogi swoich najbliższych. Szczęki zwierzęcia otworzyły się i krwawe szczątki wypadły, uderzając o wodę z głośnym pluskiem. Srebrzysty do tej pory nurt rzeki raptownie pociemniał.

Daphne stała nieruchomo z uniesionymi ramionami. Opanowała ją myśl zrodzona z macierzyńskiego instynktu biorącego w tym momencie górę nad rozumem: musi chronić swoje dziecko. – *Biegnij, Esther! Uciekaj! Ratu*

się! Weź mnie, ty diable, ale oszczędź moją córkę.

Samica kajmana zamierzała dopaść i Daphne. Walnęła błyskawicznie, tym razem ogonem. Potężne uderzenie trafiło kobietę w brzuch. Daphne na kilka sekund znalazła się w powietrzu... lecąc... i spadając. A potem była już tylko zgniecionym, pokrwawionym ochłapem odartym z nocnej koszuli. Z pękniętego od pępka aż po kość łonową brzucha wylewały się zakrwawione wnętrzności. Rozpaczliwie usiłując jeszcze powstrzymać atakujące zwierzę, przez chwilę słabo wierzyła nogami. Litościwa śmierć zamknęła jej oczy, zanim bestia dotarła do niej. Samica była głodna, żarłocznie rozdzierała ciało, ale śledziła wzrokiem ruchy drugiej kobiety, tej, która z krzykiem uciekła na wyspę.

Zwierzę znało to miejsce. Kilka dni temu przypląnęło tutaj, szukając schronienia. Wiedziało, że dziewczyna nie potrafi stąd uciec. Kiedy zaspokoi swój potężny głód, poszuka jej wszystko jedno, gdzie się ukryła.

Esther biegła na oślep, nie zwracając uwagi na chłoszczące gałęzie i cierniste badyle, które wczepiały się w jej nylonową bieliznę i zaczynały rozdzierać materiał. *Dziewczyno, musisz być naga – zdawały się mówić – bo prastary bóg głębin wodnych żąda dziś w nocy ofiary.*

Przebiegła przez opuszczone obozowisko i uciekała dalej. Kiedy dotarła do najbardziej oddalonego od miejsca tragedii brzegu wyspy, z rozpaczą spojrzała na głęboką wodę. Nie potrafiła przecież pływać! „Może lepiej byłoby utonąć” – pomyślała. Ale brakło jej odwagi. Zawróciła i

pobiegła przed siebie, ale straciła już orientację. „Biegnij” – powiedziała sobie „nieważne dokąd”. Wbiegała już ponownie na teren obozowiska, gdy zwały ją na ziemię zgrzytające zębami i skrzeczące stworki. Zwierzęta wyskoczyły z wysokiej trawy i złapały za jej stopy, rozdzierając ciało do krwi, zanim jeszcze upadła na ziemię.

Było ich pięć. Walczyły ze sobą w dzikiej chęci, by jako pierwsze wbić zęby w miękkie ciało – ślepe na wszystko inne, dopóki nie nażarty się do syta. Dopiero wtedy zaczęły szukać matki – wielkiej bestii, która w tym dziwnym, pełnym wrogów kraju znalazła im bezpieczną kryjówkę.

Usłyszały, jak ze zniecierpliwieniem pomrukuje. Zobaczyły jej lekko drgający ogon i uciekły od częściowo pożartego już trupa jak szczury od worka ze zbożem. Zrozumiały, bo treść wiadomości była jasna: – *Musimy stąd odejść moje dzieci. To miejsce nie jest już bezpieczne. Polowaliśmy tu i najedliśmy się, ale teraz musimy iść dalej.* Ruszyły za nią ku rzece i jeden po drugim wślizgnęły się do wody. Tym razem szybki prąd unosił je na wschód, coraz dalej od miasta pełnego jasnych świateł i uzbrojonych żołnierzy.

Kajmany były ściganymi zbiegami, lecz nie okazywały ani śladu obawy czy lęku. Urodziły się już ze znajomością praw dzikiego rzeczno-świata – *uciekaj, ukryj się i ruszaj ponownie na łów.* Powstrzymałaby je jedynie śmierć.

Inspektorowi Carverowi zakręciło się w głowie pod wpływem ostatnich wydarzeń. Dwa wielkie wyczyny: odnalezienie i zabicie samca kajmana oraz zastrzelenie aligatorów zostały triumfalnie przedstawione na pierwszych stronach dzienników. W ciągu zaledwie kilku godzin samica i jej młode znów uderzyły. Policja ponownie znalazła się pod ostrzałem, obrzucona błotem przez bezlitosną opinię publiczną.

Spotkanie z dziennikarzami trwało ponad godzinę. Obejrzano ponownie mapy w sali konferencyjnej, powróciły rozważania teoretyczne i praca papierkowa. „Dokąd u diabła, udała się po opuszczeniu wysepki ta stara zaraza” – zastanawiał się policjant. „W górę czy w dół rzeki?”

Philip Grant czuł się nieswojo. Na zewnątrz w samochodzie czekała Susie Lee. Nalegał, aby przyszła tutaj razem z nim. Właściciel zoo siedział i kręcił palcami młynka. Fotografia Kerra już wczoraj ukazała się w gazetach. Nieoczekiwanie dziennikarze zaczęli i jego obwiniać o niedostateczne zabezpieczenie klatek – dlaczego na przykład w herpetarium nie było nocnego strażnika?

– No cóż... – Carver wykrzywił teraz twarz w grymasie. – Czy ktoś ma jakiś *naprawdę* nowy pomysł?

– Udała się w dół rzeki, z prądem – odpowiedział

Philip. – Musiała tak postąpić. Wie dobrze, że miasto jest dla niej niebezpiecznym terenem. Stara się więc oddalić od niego tak daleko, jak to możliwe. Małe rosną szybko, jeśli już jej nie opuściły, to z pewnością są dostatecznie duże, by mogły odbyć tę podróż. Mogę pana jednak zapewnić, inspektorze, że teraz wykażą wielką ruchliwość. Niech pan nie oczekuje, że w jednym miejscu spędzą więcej niż dobę. Podróże będą odbywać nocami pod ochroną ciemności. Podążą przed siebie, dopóki nie dotrą do wybrzeża. Przynajmniej ja tak uważam.

– Wargi Carvera zacisnęły się w wąską linię. Jeśli Grant miałby rację, to kajmany przynajmniej wyniosłyby się z tej okolicy i z *jego* rejonu. Ale tak czy owak, problem nie zostałby rozwiązany w sposób ostateczny.

– A co zrobi, gdy dotrze do morza?

Philip wzruszył ramionami. – Wiadomo, że aligatory często pojawiają się na wybrzeżu. Sądzę więc, że nie ma powodu, dla którego kajman nie miałby zażyć kąpieli. Na pewno tam nie pozostaną. Nie wydaje mi się, że wybierze kryjówkę na odcinku nadbrzeżnym. Przypuszczam, że raczej wróci tam, skąd przybyła. Teraz jednak nie potrafimy odgadnąć, co właściwie robi. Ona zresztą też tego nie wie. Dowiemy się zaś wszyscy, kiedy tam dotrze. Radzę, by do tego czasu zaalarmować ludność w hrabstwach na wschodzie i południowym wschodzie. Przeszukiwanie rzeki z helikopterów nie przyniesie rezultatów. Gdy zwierzę usłyszy silniki, da po prostu nura. Jest jednak pewien sposób, z którego moglibyśmy

skorzystać.

– Psy – przyuczone do polowań na łasice i norki. Po zakazaniu polowań na wydry myśliwi zaczęli strzelać do drobnych drapieżników. Te małe czworonogi, uwalniane przez maniaków typu Younga, stały się istną plagą zarośli i chaszczów nad wodami. Psy powinny odnaleźć kajmany dość szybko i skutecznie.

– Boże mój, ta gra warta jest świeczki! – W tonie detektywa nieoczekiwanie pojawiły się nowe, pełne ożywienia nutki. – Zapędzimy do tej roboty sforę psów.

– Ale przedtem musicie zlokalizować samicę, inaczej nie ma sensu puszczanie psów tropem, bo niby jakim? Chryste, stąd do wybrzeża rozciągają się setki mil szlaków wodnych!

Carver skinął głową. „Poczekajmy więc na kolejną śmierć i kolejne zwłoki”. – Myślę, że ma pan rację. Jak tylko coś się wydarzy, zabiorę się ostro do roboty i zorganizujemy sforę wyźłów.

– Inspektorze, jeszcze jedno. Czy macie jakieś wieści o tym Youngu?

– Żadnych. Zaalarmowano każdy posterunek. Dziś wieczorem jego fotografia i rysopis pojawią się na ekranach telewizorów. Chcemy go przesłuchać w związku ze śmiercią chłopaka Prescottów. Mamy powody przypuszczać, że to bardzo niebezpieczny typ.

– Chyba ma pan rację. – Philip wstał, spojrział przez okno. Stwierdził z ulgą, że Susie ciągle siedzi w Subaru. – Będę z panem w kontakcie, inspektorze.

Clive i Janet Markwick niedawno przyjechali z Libii. Po ośmiu latach pobytu w tym kraju urzędnicy z konsulatu brytyjskiego doradzili im powrót do domu. Nie można było już dłużej gwarantować im bezpieczeństwa. Dla brytyjskiego geodety i odkrywcy życie w Trypolisie stawało się coraz bardziej niepewne.

Clive miał lat trzydzieści osiem. Był wysoki i szczupły. Od chwili ukończenia szkoły zajmował się topografią i geodezją. Janet niedawno przekroczyła trzydziestkę. Zrezygnowała z posady nauczycielki, aby wyjechać do Libii i poślubić Clive'a. Niewysoka i ciemnowłosa kobieta podzielała pasję męża do koni. Z bólem serca zostawiła w Trypolisie wielkiego wałacha o imieniu Jedi. Powrócili więc do Anglii i utopili wszystkie swoje oszczędności w trzyakrowej posiadłości ziemskiej, postanowiwszy żyć z koni. Clive miał talent do poskramiania upartych ogierów. Wiedział, że tylko on może poradzić sobie z Jasperem. Ujeżdżanie koni przynosiło dodatkowy zysk. Oprócz tego zaczęli też prowadzić szkołę jazdy na kucykach. Chwyтали się wszystkich możliwych sposobów, żeby zdobyć forszę. Teren ich posiadłości, składającej ze starych łąk, łagodnie opadał ku wąskiej wijącej się rzeczce. Rosło tam z pięćdziesiąt albo i więcej gatunków roślin. Wiele z nich gdzie indziej już wymierało wskutek uprawiania hodowli trawników i używania chemikaliów. Zdaniem Markwicków część winy ponosili współcześni farmerzy.

Zimą na łąkach było błoto, ale latem panowały tu wręcz idylliczne warunki. Prawdziwy raj dla koni i kucyków obfite pastwiska i bieżąca świeża woda nawet podczas największych upałów.

Pierwszy tydzień Clive spędził, budując okrągłą zagrodę dla koni, później zaczął odnawiać cztery pozostałe – dwie poniżej i dwie powyżej domku. Marzył o tym, że kiedyś uda mu się wybudować krytą ujeżdżalnię – to jednak zależeć będzie od stanu ich finansów. Dość szybko tracił zainteresowanie geodezją. Gdyby mogli zarobić na życie, zajmując się końmi, byłiby szczęśliwi. Nie pragnęli niczego więcej. Dwie klacze i cztery kucyki kupili tutaj na miejscu. W żadnym wypadku nie dałoby się ich uznać za zwierzęta z klasą, ale wystarczyły na letnie przejażdżki. Clive otrzymał pozwolenie na jazdę po przyległych leśnych drogach. Tworzyło to czteromilową trasę dookoła posiadłości i wystarczało zarówno dla uczniów, jak i dla wycieczkowiczów. Clive na zmianę z Janet zajmował się szkółką jeździecką i prowadzeniem wycieczek. Do czerwca wiązało się jakoś koniec z końcem, ale późną jesienią trzeba będzie dla koni znaleźć stajnie, kupić owies i siano. Wtedy może być gorzej.

Na początku kwietnia Jasper zrzucił Janet. Biegł równym galopem w dół ku rzece, gdy nieoczekiwanie stanął jak wryty, a kobieta przeleciała nad jego głową. Na szczęście teren był płaski, porośnięty trawą, skończyło się zatem na lekkim szoku i kilku potłuczeniach. Koń patrzył na nią z góry i dostrzegała w jego oczach wyraz lekkiego

rozbawienia – jak gdyby zwierzę chciało powiedzieć: „No wiesz, czasami i koń ma ochotę poszaleć”. Tak śmignęła go pejczem, że aż zadrżał – i *przeprosiła*. Ale potem już zawsze wystrzegą się Jaspera i zostawiła go Clive’owi.

Lipiec. Dokuczliwe upały i muchy. Konie i kucyki kryły się w cieniu gęstego żywopłotu z głogu i opędzały się ogonami od owadów. Clive zajęty był budowaniem nowej klatki schodowej, a Janet miała ochotę na przejażdżkę. Zachcianka dość głupia, jak sama zdawała sobie z tego sprawę, bo było zbyt gorąco. Dzisiaj nie mieli w planie żadnych zajęć. Weekend miała spędzić w siodle, jeżdżąc przez całą sobotę i niedzielę. Dużo rozsądniej byłoby wykorzystać wolne chwile i poopalać się, a może po prostu poleniuchować.

Spojrzała na Jaspera i po plecach przebiegł jej dreszcz. Nadeszła pora, aby pojechała na nim ponownie. Jeśli nie zdecyduje się na to teraz, nie zrobi tego już nigdy. Clive’owi to się nie spodoba – zechce być obecny przy przejażdżce.

Idąc przez podwórze ku prowizorycznej szopie, usłyszała, jak jej mąż hałasował w środku. „Daj mi tylko dziesięć minut, a pokażę ci, co potrafię” – poprzysięgła sobie. „Ty, Jasper, też się o tym przekonasz”. Wierzchowiec spojrzał na nią, gdy zbliżyła się, niosąc siodło i uprząż. Otworzył pysk i – znudzony ziewnął.

– Jasper, dzisiaj jest zbyt gorąco, żebyś mi wyciął jakiś numer – powiedziała, dopinając popręg i mając nadzieję, że zwierzę nie wyczuje nerwowości w jej głosie.

– To tylko przejażdżka, stary. Łąką ku rzece, wzdłuż brzegu i z powrotem. I zachowuj się, jak należy.

Jasper poruszał się wolno i leniwie. Odpowiadało to Janet, bo zjeżdżali właśnie po tym samym stoku, na którym zrzucił ją ostatnio. „Uważaj i jedź powoli” – powiedziała sobie. Była spocona i prawie udało jej się przekonać samą siebie, że to z powodu upału. Ale teraz już znaleźli się w cieniu i zbliżali się do rzeki.

Był to raczej większy strumień niż rzeka. Szeroki może na pięć jardów, gdzieniegdzie i węższy. Płynął zakolami. Teraz poziom wody obniżył się, ale w zimie niejednokrotnie zalewał okoliczne łąki. Kaczki krzyżówki i cyranki żerowały tu codziennie. Miejsce nastrojowe, dziś tchnące pogodą i bez troską.

Janet jednak wyczuła, że nastrój Jaspera się zmienił. Zwierzę było niespokojne, niechętnie do kłusowania wzdłuż brzegów rzeki.

– Co za diabeł cię opętał – przemówiła ostrzej i musnęła bok konia piętami. Zwierzę cofnęło się i szarpnęło głową. – W tym sęk, że jesteś po prostu cholernie leniwy. „Lepiej go nie denerwować” – pomyślała – „to zadanie dla Clive’a”. – Słuchaj, przejedziemy po prostu brzegiem rzeki aż do następnego żywopłotu i wrócimy do domu. Zrozumiałeś?

Może i zrozumiał. Ale niczego to nie zmieniło – koń po prostu nie ruszył się z miejsca. Wiedziała, że może spróbować zawrócić wierzchowca i cofnąć się po własnych śladach. – Jasper na pewno nie zamierzał tu

sterczeć do wieczora. To by znaczyło jednak, że uznaje się za pokonaną, że pozwala, by zwierzę ją zdominowało i powtarzało to przy każdej okazji.

– Jasper – tym razem mówiła bardziej stanowczo – pojedziemy wzdłuż brzegu, czy ci się to podoba, czy nie. A teraz, psiakrew, ruszaj! – Śmignęła go lekko pejcem i wydała westchnienie ulgi, gdy zrobił krok do przodu. I następny. – O, właśnie tak. Teraz...

Zatrzymał się ponownie i zaczął cofać. – Chryste, co cię napadło, do licha!

W ciągu kilku sekund zwykła, choć może trudniejsza od innych letnia przejażdżka przemieniła się w mrozący krew w żyłach koszmar. Jasper prychnął, zarżał krótko i z obawą, a potem stanął dęba. Było to tak nieoczekiwane, że Janet nie zdołała zareagować. Straciła równowagę i spadła. Miała wrażenie, jakby to wszystko działo się w zwolnionym tempie. Płynęła przez powietrze *i krzyczała przeraźliwie, bo zobaczyła, jaki był powód przerażenia konia.*

Była pewna, że zwierzę wynurzające się z błota na brzegu rzeki to krokodyl. Ogromny, pokryty czarnozielonymi, ociekającymi wilgocią łuskami, straszliwym rykiem wyrażał swoją wściekłość. Zaatakował przerażonego konia.

Jasper łatwo mógłby uciec i zostawić ją, ale zamiast tego stał skamieniały ze strachu. Janet upadła na ziemię o kilka tylko jardów od miejsca, w którym oszalały gad rzucił się na konia. Usłyszała przeraźliwe rzenie Jaspera i

nie chciała tego oglądać nie potrafiła jednak oderwać wzroku od przerażającego widowiska.

Ostre jak brzytwy zęby rozdarły brzuch konia, wydzierając jardowej długości szparę, przez którą bezładnie wypadły dymiące wnętrzności. Wierzchowiec znalazł się pod napastnikiem i choć wierzgał rozpaczliwie – *był pożerany żywcem*.

Wtedy zjawily się te mniejsze stworzenia. Biegające wszędzie, myszkujące i skrzeczące wyrośnięte jaszczurki, które bez najmniejszego wahania rzuciły się na drgające jeszcze ciało konia i zatopiły weń zęby, zapominając o wszystkim.

To właśnie uratowało Janet Markwick. Zdała sobie sprawę, że musi uciekać, nie wiedziała jednak, czyjej się to uda. Jasper się już nie szarpał – był martwy. W każdej chwili jednak napastnicy mogli ją zaatakować. Z trudem podniosła się, stanęła i chwiejnym krokiem zaczęła uciekać. Wszystko rozmazywało się jej przed oczyma i modliła się w duchu, aby nie zemdleć. Nie ośmieliła się spojrzeć do tyłu. I tak wiedziała, że ten koszmar będzie nawiedzać jej sny przez resztę życia. *Jeśli* jej samej uda się w ogóle przeżyć.

Och, Boże, goniły ją! Nie, jednak nie. Ciągłe słyszała, jak rozrywają korpus Jaspera na kawały, przegryzając się przez kości i miażdżąc je w szczękach. Te mniejsze skrzeczały przeraźliwie, wydzierając sobie zdobycz. Janet wzdrygnęła się – te małe były nawet bardziej niebezpieczne. Biegła dalej.

Prawie całkowicie wyczerpana, pokonała jakoś ostatni stok. Pojedyncza nić drutu kolczastego rozdarła jej bryczesy i rozpięła udo. Krwawiąc obficie, obejrzała się za siebie: dorosły kajman wciągał końskiego trupa do wody, młode szarpały jeszcze niekształtny korpus, odrażająco i nieustannie połykając kawały mięsa.

Wrzeszcząc wzywała Clive'a, który wciąż jeszcze stukał młotkiem po schodach. Tracąc oddech, dotarła aż do drzwi i tam zemdląca.

Treser psów gończych George Mellings nie wyglądał wcale na zadowolonego. Był niewysoki i krępy, a czerwoną cerę zawdzięczał raczej wysokiemu ciśnieniu krwi niż życiu na otwartej przestrzeni na swojej farmie. Ktoś patrzący z boku nie miałby wątpliwości, że Mellings nie przepada za polowaniem z psami gończymi na norki. A jednak było ono największą (po polowaniu na wydry) miłością jego życia. Żył tylko nadzieją, że wydry w końcu powrócą na listę zwierząt łownych. A póki co zadowalał się polowaniem na zwierzęta ustępujące jedynie wydrom – na norki. Nawet norka może dostarczyć ci niezłych wrażeń. „Zdrowo się nabiegasz, co samo w sobie jest pięknym sportem” – pomyślał – „ale cholerne *aligatory...*”

Prawie dwie godziny stracili inspektor Carver i Philip Grant, by jakoś zorganizować polowanie. Początkowo Mellings w ogóle odmówił. – Niech mnie diabli porwą, jeśli puszcze moje psy za aligatorami. Nie, sir! Te psy

warte są dwieście pięćdziesiąt funtów każdy!

– Pokryjemy panu wszelkie straty – zapewniał go Carver.

– Nie chodzi mi o pieniądze. Psy takie jak te są nie do zastąpienia. Trzeba je wychowywać i tresować. Trzy lata zajmuje wychowanie psa od szczeniaka i wyćwiczenie go do polowania na wydry.

– Proszę posłuchać, żądamy od pana tylko puszczenia psów śladem samicy kajmana, żeby nas do niej zaprowadziły. Za nimi pójdą policyjni strzelcy wyborowi. Te mordercze zwierzęta zostaną zastrzelone na miejscu.

– I myślicie, że można cały czas dotrzymać kroku sforze? – zapytał Mellings. – Gdy ślad jest świeży, potrafią nas wyprzedzić czasem o ćwierć mili.

– Polecą za nimi helikopter z uzbrojonymi, gotowymi do otwarcia ognia ludźmi.

– A, rozumiem. To może się udać. – Twarz Mellingsa zabrała barwy purpury. Chaucer opisałby go jako flegmatyka, był ospały i uparty. Powolna, łagodna perswazja i pewność siebie stanowiły jedyny sposób, aby go przekonać. Tym razem wiedział jednak, że chodzi o życie ludzi. No dobrze, inspektorze, niech pan zbierze swoje towarzystwo, a ja zwołam swoich pracowników. Muszę się też przebrać – ale to nie potrwa dłużej niż kilka minut.

– Niech pan da sobie z tym spokój, sir! – Carver spojrzał na niego zaskoczony.

– Inspektorze, to jest konieczne. Psy pomyślą, że to

prawdziwe polowanie. Gdybym się nie przebrał, uznają to po prostu za codzienny trening, bieg i pluskanie się w wodzie. Jones, mój pracownik, zajrzy do psiarni. Będziemy też potrzebować Pryce'a i Hughesa. Zadzwonię do nich.

Carver spojrział na niebo. – No dobrze, ale proszę się pospieszyć. – Te kajmany mogą w krótkim czasie oddalić się o milę.

– Sfora znajdzie je, o ile tam są – Mellings zawrócił ku domowi. – Ale mam nadzieję, że ich nie będzie.

– Susie jedzie z nami – powiedział Philip do policjanta.

– Jezu!

– Gdzie ja, tam i ona – tak musi być. *I nie pytaj mnie pan, dlaczego!*

Policjant skinął głową. Był bardzo zmęczony i nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wszystko to stanie się jeszcze jednym polowaniem na duchy.

Po dwudziestu minutach byli już w psiarni. Jones, niewielki, żyłasty człowiek, miał trudności z umieszczeniem skrzyni do przewozu psów w przyczepie landrovera. Pomogli mu, opuszczając tylną klapę, a on w tym czasie otworzył psiarnię i wypuścił pięć biało-brązowych psów, które natychmiast puściły się biegiem dokoła samochodu, szczekając przy tym jak szalone. Jednak po kilku trzaśnięciach z bata zebrały się razem i weszły do zakrytej przyczepy.

– No dobrze, ruszamy. Carver przyłączył się do

siedzących już w samochodzie policyjnym Susie, Philipa i Alexa Kerra. – Jezu, co za zgromadzenie. Mam nadzieję, że staruszek nie będzie nalegał, abyśmy w najbliższej knajpce wypili strzemiennego.

– To w czasie polowań na lisa – poprawił go Philip. – Myślę, że jak tam już będziemy, to psy podejmą ślad.

*

Szczałki konia leżały przy brzegu rzeki, do połowy zanurzone w wodzie, którą barwiły na czerwono. Z szeroko otwartych i wytrzeszczonych oczu biła groza śmierci. Żerujący na padlinie kruk leniwie i z pogardą zatrzepotał skrzydłami na widok zbliżających się ludzi i frunął na najwyższą gałąź pobliskiego dębu. Powróci do uczty, gdy tylko ludzie się oddalą. Jones podjechał i ustawił przyczepę tyłem do brzegu rzeki.

– Gdzie ten pański helikopter? – zapytał Mellings.

– Jest już w drodze – odpowiedział Carver. Gdy to mówił, w oddali usłyszeli głośniejszy z każdą sekundą warkot silnika. – Czy możemy zaczynać, panie Jones?

– Żyłasty człowiek skinął głową i opuścił klapę. Psy wybiegły na zewnątrz i zaczęły szczekać. Kiedy zobaczyły padlinę, ruszyły w jej kierunku. Philip zaczął się zastanawiać, czy taka masa surowego mięsa trochę im nie przeszkodzi. Psy po prostu obwąchały zwłoki wierzchowca, a potem zaczęły węszyć wzdłuż brzegu. Bez wahania zawróciły i pomknęły z biegiem rzeczki.

– Podjęły trop! – Mellings ruszył szybko, usiłując dotrzymać kroku Jonesowi i Pryce’owi. Utykający wyraźnie Hughes starał się jak mógł, by nie zostawać w tyle.

– Inspektorze, niech ci z helikoptera trzymają się tuż za psami! – Polowanie się rozpoczęło.

Philip wraz z Susie pozostali nieco z tyłu. Za nimi szedł Alex Kerr. Weterynarz nie miał ochoty uczestniczyć w zabijaniu zwierząt – bez względu na to, jak miała zakończyć się ta wyprawa. Nad ich głowami przemknął helikopter i poczuli silny podmuch powietrza spowodowany pracą śmigieł. Była to hałaśliwa, mordercza machina, dysponująca specjalnie nie wytłumionym, ogłuszająco ryczącym silnikiem. „Jeśli kajmany są w rzece, to tym razem nie ujdą” – pomyślał Philip. – „Spotka je koniec podobny do losu tych osaczonych wczoraj na polu pszenicy”.

Nie potrafił jednak zapomnieć o poszarpanym trupie konia. Wrażenie było tym bardziej przykre, że znał to zwierzę. Sześć miesięcy temu leczył Jaspera ze skurczów żołądka. Wtedy jego życie wisiało na włosku, ale wierzchowiec jakoś się z tego wykaraskał. Gdyby Philip potrafił przewidzieć przyszłość, pozwoliłby mu zdechnąć.

Psy zanurzyły się w wodzie i płynęły. Po chwili trafiły na płyciznę i biegły dalej rozbryzgując wodę. Philip próbował usłyszeć w ich szczekaniu ów szczególny dźwięk, który mówił myśliwemu, że zdobycz jest tuż–tuż. Niestety helikopter robił zbyt wiele hałasu. Przed nimi

majaczył las Atcham. Rzeka początkowo go omijała, lecz później skręcała i biegła na odcinku trzech czwartych mili pomiędzy drzewami. Philip zrozumiał, że helikopter nie będzie w stanie nadążyć za psami, by mieć je w zasięgu wzroku.

Łowcy również tracili kontakt ze sforą. Daleko przed sobą widzieli wyskakujące z wody i mknące wzdłuż brzegu psy. Pędziły bez wahania równym tempem, podjęły trop tych dziwnych zwierząt. Zapach ów był bardzo wyraźny. Tak je zajął pościg, że nie zwracały uwagi na lecącą dwadzieścia stóp powyżej maszynę.

Nieoczekiwanie rzeka skręciła w lewo. Gęstwina zieleni dębów, modrzewi, młodych i nigdy nie przerzedzanych drzewek – wszystko to razem tworzyło swego rodzaju splątana dżunglę. Na tym odcinku rzeka płynęła ospale, jak gdyby nawet ona niechętnie odwiedzała to mroczne, ponure miejsce. Psy jednak nie zwolniły tempa pościgu.

„Kajmany skryły się w lesie” – zrozumiał nagle Philip „a las Atcham w środku lata najbardziej, psiakrew, przypomina ich naturalne środowisko”.

Wiedział już, że tam właśnie psy znajdą ściganą zwierzynę zwolnił kroku.

Brzegi rzeki były teraz dość strome i pędząca jak szalona sfora ponownie dała nura do wody. Przywódca podał ton, zanosząc się ujadaniem, które odbiło się echem od drzew, pozostałe zwierzęta przyłączyły się do niego, po czym rzuciły się do przodu. Wyczerpani myśliwi

pozostali w tyle. Helikopter znajdował się wprawdzie blisko, ale jego załoga nie mogła widzieć psów.

Nagle psy zatrzymały się i rozpryskując wodę zakręciły się w kółko. Odnalazły trop, ale ścigana zwierzyna nie była już w wodzie. W połowie stromego brzegu zobaczyły dziurę idącą daleko w głąb, pod korzenie wielkiego kasztanowca. Nora wydry. Być może przewodnik sfory, Brutus, przypomniał sobie dzień, w którym – a było to przed wprowadzeniem zakazu polowań na wydry – zabili poprzedniego mieszkańca nory. Jeśli nawet nic nie pamiętał, teraz wyczuł, że będą zabijać.

Wydając z siebie długie, przeciągłe wycie wyskoczył z wody. Cudem udało mu się jakoś utrzymać na stromym zboczu. Ale w tej właśnie chwili, gdy pozostałe psy szykowały się, by pójść jego śladem z nory wypadł mały kajman. Atak był błyskawiczny i przeprowadzony nad wyraz sprawnie, jednak nieco desperacki. Młody gad mógł przecież zaczekać i rzucić się na psy w czasie ich wdrapywania się pod górę. Odczuwał jednak strach znany wszystkim zwierzętom, gdy okazywało się, że wróg był liczniejszy, a doskonała, zdawałoby się, kryjówka to śmiertelna pułapka bez wyjścia.

Kajman mierzył w gardło Brutusa. Jednak chybił i capnął psa za ucho. Wycie rozwścieczonego psa podziałało na resztę sfory jak smagnięcie batem. Gad wisiał uczepiony ucha, bezpieczny przed kłami przeciwnika, ale bezbronny wobec ataku tych psów, które właśnie wspinały się pod górę. Ich potężne szczęki

zacisnęły się na jego niewielkim ciele, miażdżąc je bezlitośnie. Kajman z przeraźliwym wyciem puścił psie ucho. Przez chwilę charczał jeszcze i kłapał zębami, ale mocny uścisk zdławił resztkę tłącego się w gadzie życia. Szczęki konającego otworzyły się i zamknęły kurczowo po raz ostatni. Potem ofiara zawisła luźno i wpadła do wody. Zniknęła w głębi i wypłynęła unoszona prądem.

Psy gończe zawyły triumfalnie i ponownie skoczyły ku wodzie. Zwęszyły gdzieś blisko zapach – ostrą kwaśną woń tych okrutnych stworzeń. Wiedziały, że gdzieś niedaleko jest ich więcej. *Znajdźmy je, zabijmy je!*

Następny gad padł pod kłami Brutusa. Wielkie psisko wydawało się w ogóle nieczułe na ból rozdartego ucha. Drugi kajman wyskoczył spod jakiegoś kamienia i złapał psa za przednią łapę. Brutus zanurzył głowę i zmiażdżył kręgosłup napastnika. Wypłynął na powierzchnię, potrząsając trzymanym w pysku ciałem zabitego stwora. Potem puścił je z powrotem do rzeki. Inne psy nie zwróciły uwagi na martwego gada przepływającego obok nich. Były podobne do kajmanów interesowało je wyłącznie to, co zabiły same.

W piekielnej kotłownianinie padły jeszcze dwa gady. Ruby, młoda suka, chwycona za gardło, została wciągnięta w głąb wody. Rana okazała się śmiertelna, ale natychmiast pomścił ją Five, który nieustraszenie uderzając, złamał kręgosłup kajmana. Drugi gad popełnił pomyłkę, chwytając psa za łapę i gryząc. Zaraz potem zapłacił za to życiem.

Ostatni z małych kajmanów wypadł z kryjówki w trzcinach, uporczywie przebijając się wśród gęstych wodorostów. Jednak nie dostrzegł, że z wysokiego brzegu na rzekę patrzy Five. Młody pies dał nura, trafiając bezbłędnie w cel. Śmierć była natychmiastowa, bo psy do polowań na wydry ćwiczy się tak, by zabijały szybko i sprawnie.

Martwą Ruby woda uniosła ku brzegowi. Brutus chcąc wyrazić swoje współczucie, zaskomlał. Nagle zaczął głośno ujadać. Poczł stokrotnie silniejszy zapach piżma. Sierść psa zjeżyła się i czuł przez chwilę strach. Potem o nim zapomniał, jak zawsze gotów do śmiertelnej walki.

Z głębi wody wyłoniła się bestia z szeroko otwartą paszczą. Oszalała z wściekłości po stracie potomstwa, wydawała mordercze ryki, wzmocnione echem od puszcy. Rzeka zakotłowała się i fale uderzyły o brzeg, gdy samica ukazała swoją broń kłapiące, miażdżące wszystko szczęki i bijący wodę jak potężny cep, masywny ogon.

Five, płynący nieustraszenie na pomoc miażdżonemu Brutusowi, mocnym uderzeniem został wyrzucony w powietrze. Śmierć obu zwierząt była błyskawiczna, a towarzyszył jej pienisty, szkarłatny wir wodny. Pozostałe psy rzuciły się do ucieczki. Zostały jednak schwywane, zmielone i odrzucone z tą pogardą, jaką gady okazują mniejszym niż one wrogom.

Dopiero wtedy samica przestała się miotać i zaczęła

zataczać kręgi, jak gdyby niepewna, co robić dalej. Słyszała zbliżających się, ale oddalonych jeszcze ludzi i rykiem wyraziła swą nienawiść kryjącemu się w powietrzu i przesłoniętemu liśćmi wrogowi. Przebierała w wodzie łapami i zastanawiała się, co robić dalej: czy ruszyć w górę, czy w dół strumienia? Atakować? A może pomyśleć o odwrocie?

W końcu, nieomal z żalem, pozwoliła unieść się prądowi. Dała nura, gdy razem z rzeką opuszczała las Atcham, po czym zniknęła wszystkim z oczu.

Samica była przebiegła. Przypomniała sobie, jak w górnym biegu Amazonki polowali na nią ludzie. Ona zanurzając się głęboko, uciekała przed łodziami i karabinami i pozwalała myśliwym tracić czas na bezowocne poszukiwania.

A później brała okrutny rewanż na kobietach i dzieciach, które niczego nie podejrzewając, kapały się na płyciznach. Dla samicy kajmana każdy człowiek był właściwie taki sam, o ile tylko mogła zabijać.

15

Mellings rozplakał się, gdy w końcu odnaleźli martwe ciała Ruby, Five'a i Brutusa, poszarpane i zaplątane w zarośla nadrzeczne. Farmer siedział i nikim się nie krępując, płakał. Twarz skrywał w dłoniach. W ciągu dwudziestu cholernych minut stracił wszystkie psy, które tu przyprowadził. Teraz było to już polowanie bez sfory myśliwskiej.

W lesie panował zielonkawy półmrok, co sprawiało, że policjanci i myśliwi oglądali się niepewnie za siebie. Czy naprawdę ta mordercza bestia uciekła? Susie wzdrygnęła się i przytuliła do Philipa. Było tu tak chłodno, iż czuła, jak kości jej przenika zimno – niczym zapowiedź grobu.

Policjant w wysokich rybackich butach wyciągnął na brzeg jedno z zabitych przez psy młodych. Ciało ugrzęzło w trzcinach. Gdy trzymał je odsunięte od siebie na długość ramienia, na jego twarzy malowała się jawna odraza. Małe szczęki zwierzęcia były otwarte i zwisał z nich częściowo rozdarty język. Zmiażdżone ciało przypominało kajmana. „W jakiś dziwaczny sposób to liczy się jako dowód” – pomyślał Philip. W duchu dodał: *Na miłość Boską, nie każcie mi przeprowadzać obdukcji zwłok zwierzęcia!*

Carver stał i patrzył na to obojętnie. Sukces był tylko częściowy. Muszą dostać jeszcze samicę. Psy guzik go

obchodziły. „Narażały się” – pomyślał – „ale solidnie wykonały swoją robotę. A zresztą pies jest tylko psem”.

Terkot śmigłowca zamarł w oddali. Carver słyszał, że maszyna wylądowała o milę dalej na łące – rzeka wypływała tam już z lasu Atcham. Załoga helikoptera знаła się na swojej robocie. Sierżantowi Watkinsowi polecono: „Jeśli hałas silnika spłoszy tę cholere, wyprzedźcie ją i zaczekajcie. Dowodzenie przejmie wtedy kapitan Tippet – granaty albo ją ogłuszą, albo rozwalą. Wpakujcie jej tyle ołowiu, ile zdołacie. Nie ma prawa uciec”.

Carver nasłuchiwał, oczekując głuchych eksplozji, a następnie strzałów karabinowych. *No wyłaźże pieprzona bestio i niech to wszystko już się skończy.*

„Przecież *musiała* popłynąć w dół strumienia” – powtarzał sobie nieustannie. „Nie miała innej możliwości. A może miała?”

Idący w milczeniu wzdłuż brzegu rzeki myśliwi nieśli ze sobą zabite psy. Jones ciągnął za tylne łapy dwa, Brutusa i Five’a. Uważali, że to policjanci są odpowiedzialni za śmierć zwierząt, nie kajman. „Na Boga, gliny zapłacą im szylinga lub dwa, na co się zresztą zgodzili – ale psom życia to nie wróci”.

Wracali do samochodów bezładną grupą, każdy pograżony we własnych myślach. Zapadał już zmrok, a do tej pory nie usłyszeli strzałów nad rzeką. Mieli przeczucie, że już nie usłyszą w ogóle.

Kajman... Tak to był problem, który należało

niezwłocznie rozwiązać. Ale na wolności pozostawał jeszcze Maurice Young. Susie Lee stwierdziła, że niespokojnie rozgląda się dookoła. Patrzy w mrok i modli się, aby nie zobaczyć tam przeciętej szramą i wykrzywionej nienawiścią twarzy swego dawnego przyjaciela Maurice'a, obserwującego każdy jej ruch.

Karen Bradford wyglądała z okna kabiny zacumowanej w przystani barki. Patrzyła, jak letni zmierzch zaciera zarys symetrycznych, sztucznie zbudowanych brzegów mętnego szlaku wodnego. Bledsza niż zazwyczaj, nerwowo przesunęła palcami po swoich krótko obciętych włosach. Była to kobieta niewysoka – miała nieco powyżej pięciu stóp – i szczupła, wyjąwszy drobne partie ciała. Biodra, brzuch i pośladki okazały się przekleństwem jej życia, nie mogła z nich zrzucić nadmiaru tłuszczu ani ich ukryć. Z daleka jej figura przypominała gruszkę. Gdy Skończyła czterdziestkę, zrozumiała, że będzie musiała jakoś z tym się pogodzić. Pięć lat temu zrezygnowała z noszenia dzinsów – sukienka mogła nieco zamaskować jej obfitości.

Teraz jednak jej tyłek był ostatnią rzeczą, o którą by się martwiła. „Na miłość Boską, nie powinnam być tu z Rogerem” – pomyślała. Gdyby dowiedział się o tym Bill, jej mąż, sprząby jej dupę tak, że miałyby na niej wszystkie kolory tęczy i parę jeszcze innych na dodatek. Mógłby ją wyrzucić z ich maleńkiego domku przy farmie. A gdyby to uczynił, nie pozwolilby jej wrócić. Był do tego zdolny.

Jego stosunek do Karen można by zdefiniować mniej więcej tak: „Masz robić to, co ci każę i wtedy nic ci nie grozi, ale jeśli zrobisz coś nie tak, to pożałujesz. Chodzę do knajpy przez siedem dni w tygodniu, ale to *moja* sprawa. Ty masz siedzieć w domu”. W dniu, w którym podjęła pracę we wsi jako sprzątaczką u Staffordów, w domu wybuchła okropna awantura i trwało to cały tydzień.

– Twoje miejsce jest w *tym* domu – ryczał jak bawół i dla podkreślenia wagi swoich słów walił pięścią w stół.

– Dawaj mi więcej forsy, to rzucę pracę! – po raz pierwszy Karen doprowadziła do otwartej konfrontacji. – Gdybyś nie przepijał prawie wszystkich zarobków, mielibyśmy więcej pieniędzy na lepsze życie!

– Przestań na nich harować – to rozwiąże *twoje* cholerne problemy, Karen. – Nie nazywał jej „Karen” od wieków. Zazwyczaj zwracał się do niej „matka” – co ją niebotycznie denerwowało. Mieli wprawdzie dwójkę dzieci – ale nie była jeszcze stara, nie aż tak. Niejedno jeszcze w życiu mogło się jej przydarzyć. – Porzucę tę harówkę, jeśli ty porzucisz piwo. Co ty na to, Bill?

Bill nie miał zbyt wielkiego wyboru. Powrócił do swojego piwa, pozwalając żonie zarabiać te jej sześć szylingów dziennie nie sprzeciwiał się sprzątanemu w domu Staffordów.

W wiosce Aston Staffordowie byli nowymi przybyszami. „To są obcy i należy na nich uważać” – taką to opinię wygłosił swoim kompanom Bill Bradford w

„Kangaroo”. Wszyscy też zgodzili się natychmiast, że Staffordowie nie przyjechali tutaj mieszkać tak bez powodu. Musieli mieć *coś* na oku. Niewłaściwe było również, że *każde* z nich prowadziło własny interes (tak naprawdę to nikt nie wiedział, czym właściwie tamci się zajmowali). Czasami na całe dni wyjeżdżali samotnie. A w ogóle czy oni byli małżeństwem, czy po prostu żyli na kocią łapę? „Być może” – rozmyślał Bill – „to, że Karen tam pracuje, wyjdzie tylko na dobre i pomoże mieszkańcom wioski rozwikłać parę dręczących ich zagadek”.

Na swój użytek Karen nazywała Rogera Stafforda „Pięknym Chłopakiem”. Wyglądał młodzieńczo. Był raczej ładny niż przystojny, miał jasne kędzierzawe włosy i nieustannie uśmiechnięte niebieskie oczy. Natomiast niespecjalnie podobała się jej żona Stafforda, Amelia (musieli być małżeństwem, bo kobieta nosiła obrączkę). Karen uważała, że Amelia jest snobką; wciąż wystrojona, starannie zapięta na ostatni guzik, upudrowana, a każde pasemko długich rozjaśnionych włosów było zawsze na swoim miejscu. „A te jej ręce, mięciutkie i delikatne” – rozmyślała z pogardą Karen – „nigdy nie zajmowały się ciężką pracą domową”.

Amelia przeważnie przebywała w mieście. Roger niekiedy wspominał o jej interesach, nigdy jednak nie określał ich bliżej. „W końcu i tak to się wyjaśni” – mówiła sobie Karen – „bądź po prostu cierpliwa i staraj się nie zrobić wrażenia wścibskiej”. To było dość

zabawne, bo Roger cały czas pracował w domu. Siedział w swoim pokoju i walił nieustannie w maszynę do pisania, choć podczas tak pięknej ciepłej pogody przebywanie w domu jest niezdrowe.

Zastanawiała się, co też on tam pisze. Nie lubił, żeby wchodziła do jego pokoju – odkurzał go sam i to wydawało jej się podejrzane. Fakt, że była w domu sama na sam ze swoim pracodawcą, co na pewno nie spodobałoby się Billowi. Wiedziała tym. Ale niech go szlag trafi, niech siedzi nad piwem z kumplami w tym pieprzonym „Kangaroo” – to w końcu była jej praca i jej pieniądze. Po raz pierwszy w życiu Karen Bradford czuła się osobą niezależną.

Roger Stafford był mężczyzną śmiałym, ale nie przekraczającym pewnych granic. Pamiętała, jak pierwszego dnia na czworakach wycierała kurz pod łóżkiem. Stafford wszedł do sypialni po leżący na stoliku obok łóżka magazyn i klepnął ją w pośladki. Ot, raz tylko, ale krzyknęła z udanym oburzeniem równocześnie zarumieniła się.

– Oj! – zaprotestowała.

– Kiedy widzę wypięty tyłeczek, nie potrafię się oprzeć chęci poklepania go – zaśmiał się jak nastoletni uczeń. – Obawiam się, że nie potrafię odmówić i ładnej pupci.

– Ależ proszę, niech mnie pan wypuści – zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Karen, masz najładniejszy tyłeczek, jaki widziałem

w ciągu ostatnich kilku lat – powiedział nieoczekiwanie poważnym tonem. – Naprawdę, mówię serio.

Przeszedł ją dreszcz i przez resztę poranka chodziła jak oszołomiona. Wyczuła szczerłość w jego głosie. Po raz pierwszy w jej życiu usłyszała, że poniżej pasa też jest ładnie zbudowana. Chryste, do tej pory Bill nie dowiedział się o tym. Gdyby tak się stało, musiałyby natychmiast zrezygnować z pracy, choć on sam nadał żłopałby to swoje trzy pinty piwa w „Kangaroo”.

Do jej obowiązków należało przygotowanie Rogerowi jego porannej kawy – tak około jedenastej. Przez pierwsze dwa dni pukała do drzwi pokoju Stafforda, on je otwierał i brał od niej tacę z zastawą. Jednak w środę wszedł beztrąsko do kuchni właśnie w chwili, gdy przygotowywała napój.

– Dzisiaj przyłączę się do ciebie – uśmiechnął się szeroko. – To trochę głupie, że my oboje pijemy kawę o jedenastej w oddzielnych pokojach, prawda?

Karen czuła się trochę niepewnie. Był przecież człowiekiem wykształconym, a jego praca, cokolwiek robił – musiała być dobrze płatna, skoro stać go było na taki dom jak ten.

– Przez cały dzień czuję się zwykle nieco samotny – na jego twarzy widać było teraz lekkie przygnębienie. – Amelia niekiedy wyjeżdża do Londynu. Zazwyczaj zatrzymuje się tam na noc, czasami nawet na dwie noce.

– A mój stary każdy wieczór spędza w knajpie – odpowiedziała. – Zawsze wraca zalany. Od pierwszego

tygodnia naszego małżeństwa. Dave i Sue, moje dzieciaki, uganiają się każde za swoją sympatią i też nieczęsto je widuję. Przypuszczam, że trzeba się do tego przyzwyczaić – westchnęła.

Minął cały miesiąc, zanim Roger ponownie klepnął ją po tyłku, tym razem gdy odkurzała wykładaną aksamitem kanapę. – Dosyć! – Pisnęła ze śmiechem. – Przecież jest pan przyzwoitym człowiekiem.

– O nie, jestem niegrzecznym chłopcem – zmrużył oczy Karen poczuła dreszcz, jak gdyby przez jej ciało przebiegł ładunek elektryczny. – Zawsze taki byłem.

– Założę się, że jest pan człowiekiem godnym szacunku. „No, dalej, mów jeszcze” – zachęcała bez słów.

– Podobasz mi się ty i twój tyłeczek – powiedział.

– Och... dziękuję panu... – jąkała się, czerwona jak burak.

– Gdyby teraz było Boże Narodzenie, zawiesiłbym pod sufitem gałązkę jemioli, żeby móc cię pocałować – teraz on westchnął, głęboko i przekonywująco. – Myślę, że jednak będę musiał poczekać. Nastąpiła długa pauza, podczas której on obserwował jej rosnące zakłopotanie. – Chyba że pozwolisz mi pocałować się teraz.

Karen nagle poczuła, że kręci jej się w głowie i dzwoni w uszach, ale jakoś zdołała skinąć głową. Opuściła ją mowa. Tak, zdecydowała, że pozwoli Rogerowi Staffordowi pocałować się już teraz. Tylko jeden raz. Wysunęła wargi tak jak wtedy, gdy jej cycata teściowa nalegała na obdarowanie Karen jednym z tych

swoich obrzydliwych cmokających całusów. „O ile oczywiście nie dowie się o tym Bill” – pomyślała – „zabiłby mnie, gdyby coś zwęszył”.

Wargi Rogera były miękkie, ciepłe i rozkosznie rozgniaty jej usta, a jego język wcisnął się, szukając drogi do jej ust. Świadoma część jej umysłu wołała, żeby walczyła, uwolniła się, obróciła wszystko w żart i robiła mu udane wymówki. Zamiast tego jednak odpowiedziała mu namiętnie, drząc w jego uścisku, a gdy wreszcie oderwali się od siebie – wiedziała, że na tym się nie skończy. Och, Boże, nie chciała, aby to była tylko zabawa.

Kazał jej czekać tydzień – tydzień co do dnia. Do następnego wtorku. Powrócił do zwyczaju picia kawy w swoim pokoju. Całymi rankami stukał na swojej maszynie do pisania. Dopiero we wtorek wykonał następny ruch.

Słała właśnie łóżko, gdy usłyszała, że schodzi z góry – takim skradającym się krokiem, jak gdyby czekał na okazję przyłapania Karen, kiedy ona nie będzie się tego spodziewała. Gdy otworzył drzwi, udała zaskoczoną.

– Och, Roger (nalegał, by mówiła mu po imieniu) – przyłapałeś mnie. – Zarumieniona, instynktownie nachyliła się, chcąc wygładzić prześcieradło, znajdując przyjemność w ukazywaniu mu swoich pośladków.

– Znowu zamknąłem się w pustelni i wcale nie jest mi z tym dobrze. – Klepnął ją, jak się tego spodziewała. Ale tym razem nie cofnął ręk. Dłoń pozostała na jej pośladkach, a koniuszki jego palców zmysłowo głaskały,

przylegający do nich materiał kraciastej sukienki.

Czy było to przypadkowe, czy zamierzone – nie wiedziała. Dość że oboje stracili równowagę i upadli na łóżko. Jego usta znowu poszukały jej ust, a język wsunął się między jej wargi w tak samo podniecający jak przedtem sposób. Zamknęła oczy i poddała się. *Och, Roger, kocham cię. Możesz ze mną robić wszystko, co tylko zechcesz.*

Zesztywniała nieco, gdy palcami dotknął jej małych piersi, pieszcząc je przez materiał. Poczowała się trochę zakłopotana, gdyż nigdy do pracy nie zakładała biustonosza. Nie musiała zresztą go nosić. Zdawała sobie sprawę z tego, że twardnieją nabrzmiewają jej sutki, poczuła też ciepłą wilgoć między udami. Całując namiętnie mężczyznę, doświadczała wrażeń, o których prawie już zapomniała – choć niekiedy z czystej rozpaczki pieściła się sama. Wszystko dlatego, że Bill niewiele teraz dbał te rzeczy.

Och, Boże, ten Stafford macał ją pod spódnicą. W jej podświadomości po raz ostatni zabrzmiał dzwonek alarmowy, a potem zamilkł. W tym czasie palce Rogera głaskały ją delikatnie, pocierały wilgotny materiał majteczek o jej miękkie ciało, aż wreszcie wsunęły się do środka i wykonywały takie same ruchy jak język Rogera w jej ustach.

Przyciągnął dłoń Karen do swego ciała. Poczowała, że jest sztywny z podniecenia i wiedziała aż za dobrze, co się zaraz stanie. Z zaciśniętymi powiekami pozwoliła mu się

rozebrać, a chwilę później Roger też już był nagi. Przesunęła się na środek łóżka. Obejmując Stafforda i całując go, nie potrafiła ukryć łez radości, a gdy poczuła orgazm, przywarła do Rogera modliła się, aby ta chwila trwała wiecznie.

Od tego dnia kochali się często, zazwyczaj po porannej kawie i prawie zawsze w małżeńskim łóżu na górze. Kilka razy zrobili to na obitej aksamitem kanapie. Zażyłość ich szybko rosła. Roger zwierzał się jej z tego, czym się zajmował. Nie zdziwiła się nawet specjalnie, gdy przyznał się jej, że pracuje dla wydawnictw tzw. „brudnych książek” i pisuje półpornograficzne artykuły, za które dostaje kupę szmalu. Nie powiedział jej natomiast, co porabia jego żona. Karen nie pytała o to, bo nie interesowało jej nic, co dotyczyło Amelii – może z wyjątkiem tego, że jako żona stała pomiędzy nią i mężczyzną, w którym Karen się zakochała.

Wiedziała oczywiście, że ta miłość nie ma przyszłości i godziła się z tym. Modliła się jedynie, aby taka sytuacja trwała w nieskończoność. Nie prosiła o nic więcej.

„Zabawnie było obserwować bieg wypadków” – powiedziała do siebie Karen wyglądająca z okna kabiny i patrząca w pogłębiające się mroki wieczoru. Łańcuch przypadkowych zdarzeń wyglądał tak, jak gdyby wszystko zostało starannie zaplanowane.

Amelia aż do końca tygodnia miała pozostać w Londynie. Nie było w tym nic niezwykłego. Szef Billa,

Harvey Neilson, posiadacz prawie wszystkich gruntów rolnych wokół Aston, poprosił jej męża, by udał się z nim do Szkocji. Chodziło o jakąś sprawę związaną ze szkockim bydłem, które zamierzał tam kupić – Karen nie знаła szczegółów, wcale jej zresztą nie obchodziły. Dave i Sue razem ze swoimi sympatiami pojechali do Barmouth, na jakieś trzy, cztery dni. Wyjechali wszyscy oprócz niej i Rogera Stafforda.

Nie była więc zaskoczona, gdy Roger poprosił ją, by została na całą noc. Pocałowała go namiętnie, mówiąc, że nie może się tego doczekać. Przypuszczała jednak, że jego propozycja dotyczy pokoju sypialnego na górze. Nie spodziewała się, że zechce wybrać się na barcę, o której jej kiedyś mówił, tę którą trzymali w przystani na kanale powyżej Aston.

„Dlaczego to nie mogło być zwykłe łóżko, proste i wygodne?” – zastanawiała się. Od dziecka nie lubiła wody. Szczury przyprawiały ją o przerażenie, a zgodnie z książką, którą kiedyś czytała, kanały rzeczne roją się od szczurów. A jednak przyszła, przekradając się chyłkiem z Aston, skrajem lasu Atcham, aż dotarła do kanału dla barek. Roger zakotwiczył wcześniej i teraz na nią czekał.

„Ten statek przypominał pływający domek” – pomyślała, patrząc nań z podziwem. Mocno uchwyciła wyciągniętą rękę Rogera, gdy pomagał jej wejść na pokład, chroniąc przed potknięciem i upadkiem do cuchnącej, czarnej wody. Raz przedtem była na wodzie, miała wtedy dziesięć lat i rodzice wzięli ją na wycieczkę

do Scarborough. Popłynęli wszyscy motorówką. Morze było nieco wzburzone, a Karen zrobiło się niedobrze i zwymiotowała w końcu przez burtę frytkami i cukierkami. Miała nadzieję, że nie zhańbi się teraz, dostając choroby morskiej na kanale. Chyba jednak lepiej było znajdować się tutaj niż na tej rzece, która przepływała przez las Atcham. W wiadomościach o szóstej podawali, że te krokodyle czy jak im tam, płynęły teraz w dół rzeki. Wzdrygnęła się i przez dobrą chwilę nie potrafiła przestać o tym myśleć. W końcu nad wszystkim innym wzięło górę poczucie winy.

Rozsądek mówił jej, że posunęła się już za daleko. Raz na dzień w południe i powrót do Billa, do domu – w sumie niewinna zabawa. Ale to, co robiła teraz było *zdradą! Cudzołóstwem!* To tak, jakby *uciekła* z innym mężczyzną. Gdyby ktoś zauważył, jak się tu przekradała, albo zobaczył ją, kiedy wracała, na pewno powie Billowi po jego powrocie ze Szkocji. Wiedziała, że wieśniacy w Aston tak właśnie postąpią – jeśli tylko mogli wkurzyć kogoś, potrafili być bezwzględni.

– Kochanie, wyglądasz tak, jakbyś o czymś rozmyślała – do kabiny wszedł Roger, objął ją i pocałował w kark. – Dam pensa za twoje myśli, jak mówiła moja mama.

– Myślałam o tych krokodylach. – W zasadzie była to prawda. Nigdy nie potrafiła dobrze kłamać.

– Dokładnie mówiąc, to są aligatory. – Pieszczotliwie i zabawnie ścisnął dłonią jej sprężysty pośladek. – Albo –

żeby być już naprawdę ścisłym – kajmany. Największe ze wszystkich aligatorów. Ale nie potrzebujemy martwić się o nie dziś w nocy, prawda? Chcę powiedzieć, że gdybyśmy byli na rzece, no, wtedy może tak, ale przecież stoimy w przystani na kanale. Aligatory nie lubią kanałów. To są mieszkańcy głębokich nurtów rzecznych. Tak przynajmniej uczono mnie w szkole.

Westchnęła z ulgą. Ale nadal czuła się winna.

Tego wieczoru Roger wydał jej się innym człowiekiem. Bardziej rozluźnionym. „Być może” – pomyślała – „to dlatego, że znajduje się poza domem i celowo stara się poprawić swój nastrój”.

– Wczesne udanie się na spoczynek może być niezłym pomysłem – zaśmiał się cicho, a ona poczuła drgnienie w podbrzuszu. Palce Rogera dotknęły jej ramienia, łagodnie kierując ją w stronę łóżka.

Karen miała spieczone wargi, czuła się spięta i było jej trochę niedobrze. „To wszystko od początku do końca okazało się szaleństwem” – pomyślała nagle. Musiała chyba stracić rozum. Roger chciał tylko jej dupy. Pewnie, że to całkiem zabawne. Prawie codziennie rano pół godziny na plecach z rozłożonymi nogami – wszystko w czasie pracy i jeszcze za to ci w gruncie rzeczy płacą. Prostytucja – nie myślała o tym przedtem w ten sposób – ale tak właśnie należało to nazwać. Chciała mieć dla siebie całego Rogera Stafforda, a teraz, kiedy właśnie nadarzała się okazja, zachowywała się jak przestraszona, mająca właśnie stracić dziewictwo nastolatka. Zakochała

się w nim, od dawna o tym wiedziała. Jednak Roger nigdy nie dał żadnych powodów, by sądzić, że to uczucie jest obustronne. Dla niego był to po prostu seks, tak jak w tych magazynach porno, do których pisywał. Pieprzenie się dla samego pieprzenia.

Siedzieli teraz na brzegu łóżka. Roger zaczął ją zręcznie rozbierać, pieszcząc delikatnie jej piersi. Ale sutki Karen nie stwardniały. Wsunął dłoń między jej nogi i dotknął krocza przez majteczki – było jednak suche i świadczyło o braku chęci do miłosnych igraszek. „Och, Jezu” – pomyślała – „dlaczego nie leżę teraz w moim własnym łóżku, w moim własnym domu, gdzie jest tak miło, bezpiecznie i nie ma żadnych problemów?”

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? – Musnął jej szyję swoim językiem.

– Nic. *Kłamstwo! No dalej, powiedz mu. Albo zapytaj, czy interesuje go w tobie coś więcej niż dupa. Nie, nie ośmielę się. Chcę po prostu teraz z tym skończyć. Nie potrafisz – umrzesz, jeśli nie będziesz się z nim widywać.*

– Musisz nauczyć się relaksować. – Wstał i na bosaka przeszedł po podłodze kabiny, otworzył jedną z szafek, sięgnął po butelkę wina i dwa kieliszki. Korek wyskoczył i klarowny Liebfraumilch zabulgotał głośno, gdy Roger nalewał wino do kieliszków. Napijmy się, by uczcić tę chwilę, rozluźnij się. Jesteś spięta, ponieważ myślisz, że twój mąż może nieoczekiwanie wejść na pokład. Zapomnij o nim. Ma pełne ręce roboty, mierząc krowy i pijąc piwo. Kto wie, może nawet znalazł sobie jakąś małą

szkocką dziewczynę!

– To byłby numer! – zaśmiała się, ale nie był to śmiech szczery i niewymuszony.

– To nie Bill. Gdyby goły kociak wleciał na niego, on odepchnąłby dziewczynę i poszukał swoich kolegów i kufla piwa.

– A więc nie ma żadnego problemu – stuknęli się kieliszkami. – Po prostu ty, ja i noc. Będziemy kochać się jak szaleni i nikt nam nie przeszkodzi...

I w tej właśnie chwili łódź zatrzęsała się i zakołysała na wodzie, nieco wypchnięta do góry, tak jak gdyby walnął w nią jakiś ciężki przedmiot, przypominający torpedę. Wino w kieliszkach, które trzymali, zachlupotało i pry snęło na pościel. Przestraszona Karen przytuliła się do Rogera, rozglądając się bojaźliwie dookoła – czyżby nagle miały sprawdzić się najgorsze jej obawy i do kabiny za chwilę miał wpaść rozjuszony mąż?

Nie stało się jednak nic. Łódź zachybotwała się i uspokoiła.

– Co, co to było? – szepnęła.

– Nie wiem – Roger podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Było już zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Deski podłogi nadal jeszcze drżały. – Uderzyliśmy w coś. Albo coś uderzyło w nas. Może lepiej rzucę okiem i sprawdzę, czy są jakieś uszkodzenia.

– Nie umiem pływać – Karen była blada i mocno drżała.

– Nie martw się – szeroki uśmiech – nie będziesz

musiała. Gdyby stało się najgorsze i ta balia zatonełaby, to po prostu osiadłaby na błocie. Ten kanał jest płytki. Aż za płytki Zrobiłabyś krok i hooop! – byłabyś na suchej ziemi. Ale nie sądzę, żeby było aż tak źle. Prawdopodobnie uderzyły w nas jakieś szczeniaki na łódce.

Chwycił latarkę. „Może trzeba się ubrać, założyć choćby gatki” – zastanawiał się przez chwilę. Ale nie. Nie było potrzeby. Jeśli ktoś jest na zewnątrz oślepi, go latarką. Zostawiając za sobą otwarte drzwi kabiny, wyszedł na pokład.

Snopem światła z latarki omiótł całą przestrzeń przed sobą. Nic. Mrok i pustka. Prosta ścieżka dla holujących, żywopłot z głogu dochodzący prawie do samej wody, z przodu i z tyłu opustoszały kanał. Cokolwiek ich uderzyło, kryło się pod spodem.

– Roger, czy wszystko jest w porządku? – zobaczył w drzwiach kabiny nagą sylwetkę Karen. W momencie gdy ich uderzono, sztywny członek zaczął mu wiotczeć. Na ten jednak widok poczuł, że twardnieje znowu.

– Niczego nie widzę. Wrócę za sekundę. Sprawdzę jeszcze tylko z boków. – Były to jedyne miejsca, które pominął.

Oświetlił mroczną wodę, a potem przesunął światło latarki jard lub dwa, akurat pomiędzy burtę łodzi i brzeg. *Chryste, coś tam było!*

Nie potrafił nic dostrzec. To go zaintrygowało. Wyglądało na to, że pomiędzy łodzią a brzegiem kanału zaklinował się jakiś długi czarny kształt. Przypominał

nieco stary podkład kolejowy. Może kiedyś dla umacniania brzegów kanałów używano podkładów kolejowych? Roger nie był pewien, ale chyba kiedyś czytał coś na ten temat. Jeśli tutaj tak zrobiono, to znaczy, że część brzegu zapadła się, uderzyła o zacumowaną łódź i opierała się o nią. „Właściwie to żaden problem” – pomyślał – „o ile nie ma dziury w burcie. Lepiej jednak się upewnić”.

Z latarką w ręku przechylił się nad burtą i sięgnął w dół. Wyciągając ramię, mógł dotknąć przeszkody, mocno pchnąć i spróbować, czy uda się odsunąć ją od łodzi.

Zaledwie palce Rogera Stafforda dotknęły unoszącego się na wodzie przedmiotu, ten ożył nagle, beltając nieruchomą wodę. Czuć było smrodliwy zapach. Stafford zwinął się z bólu, który przeszył jego ramię, wrzasnął okropnie i chwiejnie cofnął się w głąb pokładu.

Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że woda poniżej kotłuje się i że powstała fala zachwiała łodzią. *Patrząc na swoje prawe ramię, wrzasnął histerycznie, bo poniżej łokcia nie miał już nic, pozostał okrwawiony kikut, z którego chlustała krew.* Uniósł go wysoko, żeby Karen mogła wszystko zobaczyć. Półprzytomny z bólu, myślał jednak, że może uda jej się coś z tym zrobić.

Karen również krzyczała, cofając się do kajuty. Łódź zaczęła się przechylać. Ponowne uderzenie w burtę było silniejsze niż przedtem i wstrząsnęło całym ciałem Rogera. Palcami drugiej, nietkniętej dłoni usiłował powstrzymać strumień krwi, która tryskała z

poszarpanych arterii, jak z ogrodowej konewki na nagie ciało Karen. Dziewczyna wyglądała tak jakby padła ofiarą jakiejś strasznej choroby. „To coś gorszego niż odra” – pomyślał. – „To dzuma, Chryste, mamy dzumę!”

– Kobieto, znajdź apteczkę – wrzeszcząc ochryple, padł bezwładnie na fotel pokładowy. – Do jasnej cholery, dziewczyno! W kabinie!

Odwróciła się, ale przez moment odniósł wrażenie, że nie zrozumiała go albo nie usłyszała. Jak zombie, tępo potraçała przedmioty znajdujące się w kabinie. W tej samej chwili łódź przechyliła się. Została tak silnie uderzona, że groziło to wywróceniem jej do góry dnem. Roger tracąc równowagę, upadł i szorując głową po pokładzie rąbnął w coś twardego.

Wszędzie dookoła było pełno wody. „Toniemy” – pomyślał – „trzeba zabrać się do czerpania. Ale przedtem apteczka, bo wykrwawię się na śmierć”. Nagle wszystkie dźwięki przytłumił ogłuszający ryk, który zdawał się dochodzić z dna kanału. Staffordowi wydawało się, że nie tylko go słyszy, ale i czuje. Do łodzi wlewało się coraz więcej ciemnej i śmierdzącej wody. Pokład zaczął się przechylać na prawo. Roger rozpaczliwie usiłował złapać ławkę, by nie ześlizgnąć się do wody, ale nie dosięgnął ramieniem, którego prawie nie miał. Rąbnął tylko o siedzenie przy burcie i rozciągnął się pod nim jak długi. Gdy ów przerażający ryk ucichł, usłyszał, że Karen wrzeszczy nadal i zaczął się zastanawiać, co też, do jasnej cholery, się dzieje.

A potem zobaczył pękające deski i usłyszał jęk rozdzieranego metalu. Woda wlewała się do łodzi coraz szybciej. „Do kurwy nędzy, toniemy! Gdzie podziewa się ta pieprzona baba!” Zawołał ją, ale po raz trzeci odpowiedział mu ryk bestii. Roger odnosił wrażenie, że w łódź wali potężny taran. Uderza w nią niszczącymi wszystkim ciosami, pod których wpływem barka coraz bardziej się przechyla, jak w koszmarnym śnie żeglarza. Woda chlustała do środka i spływała schodkami do kabiny.

Przerazona Karen rzuciła się ku Rogerowi, poślizgnęła i upadła. – Och nie – jęknęła zduszonym głosem – nie dotykaj mnie... tym! Wyciągnął ku niej okropny kikut, oblewając obficie jej ciało krwią, z której upływem uchodziło z niego życie. Odwracając się, podbiegła ku burcie, zdecydowana zeskoczyć na stały ląd i biec po ratunek.

Zatrzymała się przy poręczy, stojąc zanurzona po kostki w śmierdzącej wodzie kanału. Łódź przechylała się coraz bardziej. Gdyby kobieta nie wczepiła się palcami w najbliższy słupek poręczy, zostałaby wrzucona do wody. I wtedy zobaczyła oddaloną zaledwie o metr, oszalałą z wściekłości bestię, straszliwą samicę kajmana. Zwierzę usiłowało dostać się na pokład, co groziło wywróceniem łodzi. Szczęki zwierzęcia były szeroko otwarte, a małe oczka płonęły nienawiścią i żądzą mordy. Karen odczuła całą siłę rzuconego jej w twarz ryku, a dookoła rozszedł się okropny smród. O mało nie zemdląca, stając niemal

przyrośnięta do barierki.

Leżący na zalewanym wodą pokładzie Roger wrzeszczał coś jak oszalały. Kajman używając ogona jak dźwigni, ponowił swe wysiłki i teraz przednie łapy gada i jego łeb dostały się na łódź. Szaleńczo walące ogonem zwierzę wywoływało coraz to nowe, zalewające barękę fale. Karen była pewna, że łódź lada chwila przewróci się do góry dnem i zatonie. Obawiała się kajmana równie mocno jak kanału. Miała do wyboru: albo utonąć, albo zostać rozdartą na strzępy. Może zresztą czekało ją jedno i drugie.

Roger uczynił bohaterski wysiłek, by uratować swoją przyjaciółkę. Być może zdecydował się poświęcić, uważając, że lepiej umierać szybko, z godnością i ratując przy tym czyjeś życie, niż czepiając się rozpaczliwie własnego i czekać, aż kajman zechce je sam wziąć.

Powodowany furją zdołał jakoś dźwignąć się na kolana, w każdej jednak chwili ból mógł ponownie rzucić go na deski pokładu.

– Roger... NIE!

Słyszał jej krzyk, ale zignorował go. Ta okrutna, gadzia paszcza znajdowała się teraz nie dalej niż o sześć stóp od niego.

Szczęki jej właśnie zaczynały się rozwierać, a wściekłe oczy zdawały się pożerać go już teraz. Wiedział, że kajman nie jest w stanie przewidzieć tego, na co właśnie odważył się słaby człowiek jak on!

Zamachnął się i całą siłą zdrowego ramienia walnął w

tę straszną paszczę. Poczuł, że pękają mu knykcie, ale chyba nie czuł już bólu. Przez chwilę usiłował odzyskać równowagę, lecz nie mógł powstrzymać rozpędu i runął głową do przodu w tej samej chwili, w której potężna paszcza otworzyła się do kolejnego ryku.

Zęby potwora jak sztylety wbiły się w gardło Rogera. Przez ułamek sekundy doznał tego samego uczucia, jakiego doświadczali niekiedy ludzie klęczący z głową położoną na katowskim pniu. *Na miłość Boga! Pospieszcie się i skończmy z tym.*

Widz jednak był tylko jeden. Ciemnowłosa kobieta, żałująca teraz swojej niewierności i płacąca za nią, musiała patrzeć, jak te podobne do gilotyny szczęki zamknęły się. Widziała, jak ciało szarpnęło się rozpaczliwie, nogi wierzgnęły, a potem zadrżały lekko i znieruchomiały. Bezgłowy korpus z głośnym pluskiem runął na zalewany wodą pokład i zabarwił wodę purpurą. A potem usłyszała odgłos pęknięcia czaszki i zrozumiała, że bestia obraca ją sobie w paszczy niczym dziecko usiłujące ugryźć twardy cukierek.

Pobiegła przed siebie i skoczyła na oślep. „Niech lepiej utonę, zanim dopadnie mnie ten potwór” – modliła się bezgłośnie. „Obym nie żyła, gdy te straszne szczęki zaczną mnie rozszarpywać. Żałuję, Bill, naprawdę żałuję. Nigdy nie zamierzałam do tego dopuścić. Nie chciałabym, abyś odszedł. Zabij mnie, spierz, nawet nie pisnę”.

Wiedziała, że uderzy o wodę i przygotowała się na to. *Cieszę się, że nie umiem pływać, bo w ten sposób wszystko*

stanie się o wiele szybciej. Nie szarp się, to podobno dość przyjemna śmierć. Mnóstwo ludzi utopiło się celowo i z rozmysłem.

Uderzenie! Ale powierzchnia nie rozstała się i nie zamknęła w śmierdzącym i duszącym zimnym uścisku. Zamiast tego rozciągnęła się jak długa, czując wbijające się w jej ciało kamienie i kolce jeżyn.

Leżąc tak, zaczęła pojmować, że nie wpadła do kanału. Znajdowała się na ścieżce, po której kiedyś kroczyli holujący barkę ludzie. Zeskoczyła na ląd. Jednak potwór w każdej sekundzie może zacząć jej szukać.

Zamrugła przerażona oczyma, słysząc, jak bestia żuje i pożera ciało, które jeszcze niedawno pieściło ją i kochało, unicestwiając fizyczny byt jej tajemnego kochanka i oczyszczając jej duszę poprzez zniszczenie dowodu grzechu. *Bill, poczekaj, wracam do ciebie. Nie odchodź. Do końca życia co wieczór możesz chodzić do knajpy, a ja nie powiem słóweczka. Obiecuję.*

Wstała i przytrzymując się gałęzi żywopłotu, utrzymała jakoś równowagę. Usiłowała pobiec, ale choć jej samej wydawało się, że mknie jak strzała, w rzeczywistości szła, chwiejąc się przy tym i potykając. Nie obchodziło jej, dokąd idzie, byle dalej od tej krwiożerczej bestii. Podrapana i pokrwawiona, odnalazła wreszcie przerwę w żywopłocie i przecisnąwszy się przez nią, chwiejnym krokiem ruszyła wśród sięgającej jej do pasa pszenicy. Nie wierzyła jeszcze, że dane jej będzie przeżyć.

Samica kajmana jadła powodowana raczej gniewem niż głodem. Miażdżyła ludzkie kości i łykała je. Popękana w wielu miejscach łódź tonęła szybko. Rufa już opadła i ugrzęzła w mule, a cała barka osiadła w końcu w pięciostopowej wodzie, stawszy się wrakiem.

Przyczajone w stygijskiej, chłodnej czerni nocy stworzenie zapomniało już o drugiej istocie ludzkiej. Nie podobała mu się ta sztucznie zbudowana droga wodna. Nie było tu lepiej niż w zamknięciu w zoo. Zwierzę wyczuwało jakieś zjawiska ograniczające jego wolność. I coś jeszcze.

Długi pysk uniósł się wreszcie nad wodą, wdychając nikły zapach, początkowo nie w pełni pojmując jego znaczenie. Pełne woni ciepłe tchnienia znikły gdzieś, ustępując miejsca skąpemu w zapachy chłodowi – choć tę zmianę na razie potrafiłoby wyczuć jedynie zwierzę z lasów tropikalnych. Był to zaledwie lekki powiew zachodniej bryzy rozwiewający zaduch upalnej letniej nocy.

Zrozumienie istoty zmiany przyniosło strach, niezdecydowanie i poczucie prawie beznadziejności. Tego wroga nie sposób było pokonać, kpił sobie bowiem z brutalnej siły i podstępów południowoamerykańskiego kajmana, a zabijał równie bezwzględnie i szybko.

Ruchami zwierzęcia kierowały teraz dawne instynkty. Samica zlazła z wraku barki i ruszyła na przełaj, pokonując odcinek lądu dzielący kanał od rzeki. Chciała ponownie zanurzyć się w nurt wody i płynąć pod prąd, by

powrócić do miejsca, z którego przy płynęła.

Kajman przypominał sobie jedyny zakątek, w którym było dość ciepło, żeby przeżyć.

W każdy wtorek i czwartek Betty Wardle udawała się do kliniki geriatrycznej odwiedzić swoją matkę. Był to trwający już od ponad dwóch lat, to jest od czasu ostatniego zawału starszej pani, rytuał. Doktor Hoyle zdecydował, że kłopoty związane z doglądaniem wiekowej pacjentki są ponad siły sześćdziesięcioletniej starej panny.

Jak dotąd życie nie próbowało rozpieszczać Betty. Ojciec jej umarł, kiedy miała dwanaście lat. Od tego czasu matka nigdy tak naprawdę nie zdołała się z tego otrząsnąć. I postąpiła najwygodniej dla siebie – zatrzymała w domu jedyną córkę, która po ukończeniu szkoły pozostała tam jako służąca, pracująca właściwie jedynie za kieszonkowe. „Nie poradzę sobie bez ciebie, Elżbieto. Chciałabym oczywiście, żebyś znalazła sobie pracę, a nawet wyszła za męża. Jednak w żaden sposób nie podołam prowadzeniu domu, a nie stać mnie na to, aby wziąć kogoś na służbę. Rozumiesz to z pewnością”.

Swego czasu Betty myślała, że rzeczywiście to rozumie. W sumie niezłe było to, że nie musiała chodzić do szkoły. Większość czasu mogła spędzać w domu. Z wyjątkiem piątków, gdy musiała robić cotygodniowe zakupy i niedziel, które spędzały z mamą u ciotki Gladys – jechało się tam dziesięć mil autobusem. Stopniowo jednak zaczęła się nudzić.

Wszystko to zmieniło się na krótko, gdy poznała Ronalda. Był młodym agentem ubezpieczeniowym, który przejął sprawy po przechodzącym na rentę panu Williamsie. Podczas drugiej wizyty w ich domu zapytał Betty, czy nie zechciałaby z nim wyjść. W rezultacie dziewczyna poszła do kina. Oczywiście matka mocno się temu sprzeciwiała, a podczas nieobecności Betty spadła ze schodów (a może zrobiła to celowo?). Nie odniosła poważniejszych obrażeń, doznała tylko szoku, choć Betty miała swoje podejrzenia. Zgodziła się wyjść z Ronaldem w następnym tygodniu. Matka znowu marudziła, że nie może zostać sama. W końcu Betty poszła na kompromis i zamiast spaceru zaprosiła Ronalda na obiad do domu. Oczywiście musieli jeść we trójkę – mama nie zamierzała ryzykować.

Ronald przychodził w każdą sobotę jeszcze przez sześć miesięcy. Potem zaczął wynajdować różne wymówki i po jakimś czasie w ogóle przestał ją widywać. Betty nie zapomni tego matce aż do śmierci.

Zestarzała się przedwcześnie i jej dość przystojną twarz przecinać zaczęły zmarszczki będące wynikiem rozgoryczenia i poczucia beznadziejności. A także winy. Bywały bowiem dni, kiedy modliła się o to, aby jej matka umarła i uwolniła ją od siebie, pozwalając uzyskać wreszcie spóźnioną mocno wolność. Jednak gdy starsza pani poszła do szpitala, Betty nadal nie potrafiła zerwać nałożonych jej wcześniej więzów. Od dawna ugrzęzła w rutynie, z której nie potrafiła się wyrwać. Tęskniła do.

wakacji, nawet do krótkiej przerwy, ale było to niemożliwe, bo w każdy wtorkowy i czwartkowy wieczór musiała zjawiać się w szpitalu.

Wizyty zresztą nie miały sensu i były bezcelowe. Edith Wardle często nie rozpoznawała własnej córki.

– *A kimże* ty właściwie jesteś? – Drżące, wysunięte nieco do przodu wargi i rozrzucone w nieładzie siwe włosy nadawały starej damie nieco dziwaczny wygląd. Zazwyczaj miała pretensje do Betty, a niekiedy popadała w złośliwy nastrój. A gdy poznawała córkę, zaczynały się nieustanne skargi na tortury, jakim rzekomo poddawały ją pielęgniarki nie cofające się nawet przed wbijaniem jej szpileczek w pośladki. Jak wyjaśniła Betty siostra Maydock, coraz częściej musiały dawać pani Wardle środki uspokajające.

Ale chociaż bez wielkiej chęci, Betty składała dwa razy w tygodniu wizyty w szpitalu i nadal zakupy robiła w piątki. Była, jak zresztą zawsze, więźniem swojego, od dawna niezmiennie ustalonego trybu życia.

Właśnie w piątek zauważyła w aptece nieco obszarpanego, młodego człowieka wpatrującego się w nią uporczywie. „To trochę niesamowite” – pomyślała – „jak nagle i nieoczekiwanie zdajesz sobie sprawę z tego, że ktoś na ciebie patrzy”. Rozglądała się dookoła i dostrzegła tego, który ją obserwowwał przy dziale kosmetyków. Poczowała nagłą odrazę. Był brudny. Wyrzutek społeczeństwa, który nie kąpał się od wielu tygodni i prawdopodobnie spał w odzieży. Nawet szczeciniasta

broda nie mogła ukryć tych strasznych szram na jego szczęce. Oczy nieznajomego zdawały się wyskakiwać z orbit i wbite były w Betty. Doznała niesamowitego uczucia: chciała odwrócić wzrok, ale jak gdyby zahipnotyzowana nie mogła tego uczynić.

Wzrok mężczyzny przesunął się niżej i nie było cienia wątpliwości, że patrzy na jej torebkę. Serce Betty zabiło niespokojnie. Ścisnęła mocniej pasek torebki. Wiedziała, że gdy skończy zakupy i odejdzie od kasy, w portmonetce nie zostanie nic, co warto byłoby ukraść. To były zresztą jej ostatnie pieniądze, zapłaciła już za energię elektryczną i abonament telewizyjny. W drugiej ręce trzymała foliową torbę z zakupami domowymi na cały tydzień. Naprawdę nie uważała, aby warto było ją napadać, ale te dzisiejsze opryski potrafią obłupie człowieka dla starej gazety.

Tamten nadal gapił się na jej torebkę. Przełożyła ją do drugiej ręki, lecz czuła się teraz bardzo niewygodnie. Ta torebka stanowiła jedyną sensowną i coś wartą rzecz, jaką kiedykolwiek kupiła jej matka. Dostała ją jako prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Skóra krokodyla, na pewno prawdziwa, bo inaczej nie przetrwałyby chyba tych czterdziestu lat. Była twarda, ale jednocześnie giętka, jak gdyby zaledwie przed chwilą ściągnięto ją z martwego od niedawna zwierzęcia. Co kiedyś naprawdę miało miejsce. Potem oczywiście skórę wyprawiono. Możliwe, że ten obdartus po prostu podziwiał torebkę. Ale w jego twarzy nie widać było podziwu, a raczej zapamiętałą nienawiść. Betty mogła ją łatwo zauważyć. Człowiekiem tym

prawdopodobnie powodowała zazdrość, gdyż nie miał nic choć prawdę mówiąc, sama Betty posiadała niewiele więcej.

Gdy pogoda była ładna, Betty wracała z miasteczka do domu piechotą. Odległość wynosiła nieco ponad milę, ale spacer oszczędzał jej wydatków na autobus. Płacić pięćdziesiąt pensów za pięciominutową przejażdżkę, która jedynie w godzinach szczytu przeciągała się do dziesięciu minut? Skandaliczne!

Wracała zwykle skrótem, przy stacji kolejowej, po kamiennych stopniach, a dalej krytym mostem nad torami. Był to jedyny odcinek drogi, którego nie lubiła. Podobny do tunelu metra, pusty nawet w dzień, bo ludzie rzadko z niego korzystali. A na ścianach malowano tam aerozolem obsceniczne słowa, te na cztery i pięć liter, na które ona oczywiście usiłowała nie patrzeć. Odpowiedzialność za wypisywanie tych świństw ponosili chuligani, odwiedzający miasteczko w sobotnie, zimowe popołudnia. Betty zawsze czuła w duchu ulgę, gdy udało jej się dotrzeć na drugą stronę i ponownie wyjść na światło dzienne.

Dzień był nieznośnie gorący. Betty myślała, że zaraz zemdleje, ten facet w aptece tak źle na nią podziałał. Był naprawdę odrażający. Zatrzymała się na filiżankę herbaty w Tivoli Espresso Bar. Długie, wąskie wnętrza wypełniali niemal wyłącznie młodzi ludzie. „Popatrz tylko na te fryzury” – pomyślała. „I co tu mówić o ostatnich mohikanach!” Przykro było stwierdzić, że miasto aż tak

upadło. A ta okropna machina, rodem z filmu o kosmicznych najeźdźcach, która wylewała z siebie nieustającą komputerową kakofonię, przyprawiała normalnych ludzi o ból głowy. Miała nadzieję, że wizyta w tym barze nie spowoduje kolejnego ataku migreny.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wrócić do domu autobusem. Nie, naprawdę nie mogła sobie na to pozwolić. Taksówka w ogóle nie wchodziła w rachubę: „Posiedź spokojnie pięć minut” – powiedziała sobie – „i odpręż się”. Chociaż w tym miejscu było to prawdopodobnie niemożliwe.

Z powrotem wyszła na ulicę i skręciła w lewo ku stacji. Zakupy okazały się cięższe, niż myślała, więc nieustannie przekładała torbę z ręki do ręki. Starła się, gdzie to było możliwe, iść w cieniu budynków.

W końcu dostrzegła przed sobą wiodący w górę szereg kamiennych stopni z murkiem po jednej stronie – oto góra, którą musi zdobyć. Pokonywała jeden stopień po drugim, oglądając się za siebie. W pewnej chwili spostrzegła, że rojny tłum pozostał na dole. Nikt poza nią nie szedł tędy, zauważyła już dawno, że współczesna młodzież nie wierzy w dobroczynne skutki spacerów. Większość z tych młodzieńców pomimo panującego podobno bezrobocia – miała samochody albo motocykle.

Dotarwszy do szczytu zatrzymała się na chwilę, aby odpocząć. W krytym przejściu było duszno i płynęła stamtąd ku niej fala upału. „Tak tu mroczno, zwłaszcza gdy się wchodzi z pełnego blasku dnia” – pomyślała.

Najbardziej znienawidzone przez nią miejsce w całym mieście. Znowu myślała o głupotach. Musiała przejść tylko pięćdziesiąt jardów.

Próbowała nie patrzeć na obsceniczne grafiki. To skrzące się psychodeliczne liternictwo zdawało się migać ku niej jak uszkodzony neon i krzyczeć: „Patrz na nas! Czytaj! CHCESZ DUPY? WSZYSTKIM PO RÓWNO! BYŁY TU SKINY!” Zmusiła się, by patrzeć przed siebie i ignorować to wszystko. Winą należałoby obarczyć radę miejską. „Powinni kazać to zamalować” – pomyślała. – „Czy oni nie zdają sobie sprawy, jak czują się oglądający takie napisy starsi ludzie? WYŚWIADCZ MIASTU PRZYSŁUGĘ – ZALEJ PAŁĘ”. Zacisnęła wargi czując, że ciało ma mokre od potu. W uszach jej łomotał już znajomy dźwięk przypominający szum odległych wodospadów. „Ależ moja droga” – zaczęła się martwić „twoje ciśnienie nie zacznie chyba teraz płatać ci figłów? Zawsze zaczynało się od bólu głowy”.

„PIERDOL SIĘ!” Serce waliło jej o żebra jak młot. *Tik tak, tik tak*, a w mózgu rozlegało się to wzmocnionym echem. *Łup! Łup! Łup!* Gdy próbowała przyspieszyć ponownie poczuła, że zaraz zemdleje.

I wtedy usłyszała jeszcze jeden dźwięk. *Kroki*. Ukradkowe, ciche kroki.

Odwróciła się i zachłysnęła się z przerażenia. Ten człowiek z apteki, który miał blizny na twarzy i gapił się na nią przy kasie, był już teraz prawie przy niej. Jego szczupłe ciało pochylone do przodu przypominało

rzucające się na swoją ofiarę zwierzę. *Drapieżną bestię z dżungli, która właśnie miała przed sobą lup.*

– Nie! Proszę! – Wtuliła się w ścianę i odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć w te jasnoblękitne oczy maniaka.

– Ty kurwo! – Z ust wyrzucającego szeptem swoją nienawiść ku niej Maurice’a Younga kapiała ślina. – Dawaj tę torebkę!

– Nie! *Za chwilę zemdleję, ty draniu, i wtedy obsłuż się sam!* – Dostałam ją od matki na...

– Powinno się ją ukrzyżować! Splunął, trafiając w jej twarz grudą flegmy. Pod wpływem tego dotknięcia starsza pani wzdrygnęła się bardziej chyba, niż gdyby policzek jej liznęła roztopiona lawa. – Powinna zostać ukrzyżowana i żywcem obdarta ze skóry, a tę skórę należałoby rozciągnąć na stole i wyprawić!

Brr! Ten pomysł sprawił, że omal nie zwymiotowała.

– Jesteście tak samo źli jak *tamci* – a nawet gorsi. Gdybyście nie płacili za te okupione zwierzęcą krwią ozdoby, *tamci* nie mordowaliby. Krokodyle, foki – wszystkie dzikie zwierzęta byłyby bezpieczne!

– Mówiłam panu już...

– Nawet nie próbuj zrzucić z siebie winy! Musisz zapłacić. *Zapłacić własną krwią.* – Nieoczekiwanie w jego rękę, o cal tylko od gardła Betty, błysnął nóż.

Betty czuła, że torba na zakupy wysuwa się z jej nagle śliskich rąk i usłyszała, jak uderza o drewniany parkiet tunelu. Zakupy rozleciały się na wszystkie strony. Puszka z żywnością dla kotów, którą kupiła dla przybłąkanego

przed dwoma tygodniami zwierzaka, zabręczała parę razy–i łupnęła o ścianę. Starsza pani rozpaczliwie zacisnęła dłonie na pasku torebki, myśląc – *Po moim trupie!* Ale wiedziała, że tamten zabije ją tak czy inaczej.

Poczuła, że wyrwał jej z ręki torebkę. W tej samej chwili nogi zaczęły się pod nią uginać i wszystko dookoła niej nagle pociemniało. Waląc się na ziemię, poprzez czerwoną mgłę po raz ostatni ujrzała te jego przerażające oczy, płonące i przeszywające jej mózg. Czuła ostry ból w piersi, jej serce waliło jak oszalałe, a straszliwy upał powodował, że nie mogła oddychać.

Maurice Young stał przez chwilę nad nieruchomym ciałem starszej pani, rozglądając się w lewo i w prawo. Nie zobaczył nikogo. Kciukiem musnął ostrze noża. Pokusa była ogromna. Chciałby obdrzeć staruszkę ze skóry, przyłożyć skórę do ściany, rozciągnąć, a potem na nią naszczać. Nie miał jednak na to czasu.

Schował nóż do pochwy, odwrócił się i szybko zszedł schodami z drugiej strony tunelu. Pod swoją obszerną kurtką ukrywał torebkę ze skóry krokodyla. Była to rzecz odrażająca, ok ropna. Skóra zdarta z torturowanego gada, wibrująca cierpieniem, które nigdy się nie skończy. Czuł, jak przedmiot drży w jego dłoni i słyszał ten krzyk agonii. *Pierdolone skurwysyny!*

Całe jego ciało trzęsło się z nienawiści. Narastająca w nim furia groziła, że lada moment Maurice mógł wpaść. Wmieszawszy się w tłum, Young przeciskał się ku rzece. Nadal stał nad nią jeszcze kordon policjantów, ale z

obserwatorów i gapiów pozostała jedynie garstka najwytrzymalszych. Nie mieli widocznie nic lepszego do roboty, jak sterczeć na nabrzeżu. Wampiry żadne czyjejś śmierci.

Most już otworzono i widać było na nim szereg stojących samochodów i pieszych. Stary bastion, który kiedyś zatrzymał w zatoce walijskich najeźdźców. Rzeka w dole często spływała krwią i niejedną raz zabarwi się na czerwono w przyszłości. Maurice podszedł do balustrady i spojrzał na wodę.

Zręczny, szybki ruch i ciśnięta ponad balustradą torebka poleciała ku rzece. Wpadła z pluskiem do wody. Uniósł ją bystry prąd, a parę mniej bojaźliwych kaczek podpłynęło sprawdzić, co to takiego. W pewnej odległości od Maurice'a młody chłopak oparty o balustradę wskazywał na płynący przedmiot i coś mówił, ale poza nim nikt nie zauważył rzuconej do wody torebki ze skóry krokodyla. Wielu ludzi niepotrzebne rzeczy wyrzucało do wody.

Maurice Young przycisnął twarz do krat, a oczyma odprowadził odpływającą w dal torebkę. „Popioły do popiołów, kości do kości – prochem jesteś i w proch się obrócisz albo w jego wodny odpowiednik” – rozmyślał. Po wielu latach szlachetne zwierzę wracało tam, gdzie było jego królestwo.

Wycie syren przywróciło go do rzeczywistości i oderwało od mściwych marzeń. Wóz policyjny i karetka pogotowia szybko przemknęły ulicą. Widocznie

znaleziono tę kobietę – miał nadzieję, że zdążyła zdechnąć.

Przywołał w pamięci wizję jej przerażonego, starczego oblicza. A potem ta twarz zmieniała się, odmłodziła. Oczy zrobiły się owalne, siwe włosy błysnęły głęboką czernią opadających aż na piękne barki i ramiona splotów. Sylwetka też uległa zmianie, zniknęły żyłki na nogach, teraz mocnych i kształtnych. Czy była to przemiana na lepsze, czy gorsze?

Gniew ogarnął go z nową siłą, gdy rozpoznał twarz Susie Lee – tej półkrwi Chinki, która porzuciła go w samym środku ich przedsięwzięcia. Dłonie mężczyzny tak silnie zacisnęły się na stalowych prętach balustrady, że aż zbieleły mu palce. Zapomniał już o reszcie świata, a przede wszystkim o starej kobiecie i jej cholernej torebce.

Susie była zdrajczynią, w przeciwnym razie – tak przynajmniej sądził – nie przebywałaby w towarzystwie weterynarza. Widział ją też i z policjantami. Być może od niej posiadali informacje, na podstawie których sporządzili niemal trafny portret pamięciowy Maurice’a. „Poszukiwany w związku z morderstwem Keitha Prescottta. Człowiek ten może być niebezpieczny i ostrzega się wszystkich, by unikali go. Jeśli go rozpoznacie, natychmiast dajcie znać na najbliższy posterunek policji”.

Susie umrze – złożył milczące ślubowanie rzece i bogom czyhającym w głębinach. Nadszedł już czas. Wydam ją wam jeszcze przed jutrzejszym zmierzchem.

A potem odszedł, wtopiony w tłum ludzi: jeszcze jeden wyrzutek społeczeństwa szukający miejsca, w którym mógłby spokojnie przespać noc.

– Ten kajman po przybyciu do Anglii wcale nie stracił swojego sprytu. – Philip Grant odrzucił zmięty egzemplarz „Evening Star” na bok i w zamyśleniu wpatrzył się w kubek z kawą. Na bocznym stoliku niewielki czarno–biały telewizorek zionął potokiem informacji, których nikt w pokoju właściwie nie słuchał. – A oto wracamy do najważniejszej wiadomości. Zbiegły kajman, gigantyczny przedstawiciel aligatorów południowoamerykańskich, ostatniej nocy zaatakował barcę na kanale...

– Został już tylko jeden duży zwierz – powiedziała Susie. – Sfora psów, wojskowi i policyjni strzelcy wyborowi, helikopter, granaty – a ona nadal przebywa na wolności.

– Aha! – zapalił papierosa. – Musiała opuścić rzekę, *wiedząc*, że poniżej zastawiono na nią pułapkę, a potem przelazła polami do kanału. A teraz może być Bóg wie gdzie. Policja i wojsko przeczesują dragami kanał, ale byłbym mocno zdziwiony, gdyby zobaczyli ją choć z daleka. Mówiąc otwarcie zupełnie nie wiem, co robić dalej.

Siedzieli, patrząc na siebie. Milczeli, gdyż powiedzieli już sobie wszystko. Obojętnie spoglądali na komputerową mapę pogody na ekranie telewizora.

– „...a więc przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny będzie sucho i ciepło” – powiedział komentator – „ale proszę popatrzeć na prognozę tygodniową” – mapa wyglądała teraz inaczej – „zobaczycie państwo, że nad Atlantykiem formuje się front atmosferyczny i ciężkie formacje chmur dryfują w kierunku Wysp Brytyjskich. Powinny tu dotrzeć najpóźniej około szóstej jutro wieczorem – mowa oczywiście o najbardziej na zachód wysuniętym zakątku Wysp. Poruszające się w głąb lądu silne wiatry przyniosą chłodne deszcze od zachodu i jak państwo widzicie, obniżą temperaturę w całym kraju poniżej przeciętnej obserwowanej o tej porze roku. W skrócie więc jutro jeszcze ciepło i sucho, ale już wieczorem deszcz i w całym kraju znaczne ochłodzenie”.

Philip powrócił do rzeczywistości jak nieuważnie słuchający nudnej lekcji uczeń, zmuszony nagle do przypomnienia sobie jakiejś bardzo istotnej, a podanej właśnie przez nauczyciela informacji. Usiłował pochwycić te słowa, zanim umkną mu na zawsze.

"...wieczorem deszcz i w całym kraju znaczne ochłodzenie." – Mój Boże! – skoczył na równe nogi i spojrzał w okno, jak gdyby spodziewał się, że już leje.

– Co się stało?

Susie, najmiłsza, nie tylko będzie padało, ale i robi się o wiele chłodniej. Chłodniej! Ta fala upałów nareszcie się skończyła!

– A więc?

– Nie widzisz, że to jest to, o co się modliliśmy? Do

tej pory kajman miał idealne, prawie amazońskie warunki życia. Ale jutro wszystko się zmieni. Samica poczuje nagle, że jest jej zimno.

– I zdechnie?

– Nie, nie sędzę, przynajmniej nie od razu. Jedna rzecz jednak jest pewna – gdziekolwiek się skryła, odczuje zimno. Potrzeba znalezienia cieplejszego miejsca stanie się dla niej najważniejsza. Musi opuścić swoją kryjówkę, gdziekolwiek by się nie znajdowała.

– Ależ żadna rzeka nie jest cieplejsza od drugiej – zastanawiała się na głos Susie. – Chyba że ruszy wprost na południe Anglii.

– Wcale nie musi. – Philip wstał i z nieoczekiwaną wylewnością pocałował ją. – Miejsce, którego szuka, jest tu, w mieście. Ten odcinek rzeki zasilany nadmiarem wody z elektrowni. Będzie tu miała dostateczną do życia ilość ciepła. Założę się o ostatniego pensa z mojego konta, że przepłynie tu z powrotem. A gdy to się stanie – jego rysy stężyły w tym momencie będziemy na nią czekali. *I myślę, że tym razem wiem, jak ją złapać.*

Kajmany szalały, rzucając się na małe drzwi z metalowej siatki, oddzielające wielki basen od ich legowisk. Skrzecząc z furii, zaciskały zęby na stalowym drucie i gryzły, usiłując przebić się na drugą stronę.

Ich matka obserwowała to z niepokojem, uderzając ogonem o betonowy murek. Przenosiła wzrok z dzieci na ludzi, którzy stali odgradzeni od niej bezpiecznymi barierami. Była zaniepokojona, ale jeszcze nie rozgniewana. Życie w zoo nauczyło ją, że postępowanie ludzi wymyka się gadziej logice. Karmili cię, przychodzili i patrzyli na ciebie. Nigdy jednak nie robili ci krzywdy.

– No dobra, myślę, że tyle wystarczy. – Philip Grant wdusił guzik na magnetofonie i brzęk przewijanych szpul ucichł jak ucięty nożem. – Naprawdę, wspaniałe nagranie.

Martwiłem się, że może w ogóle się nie odezwą. Niczego z góry nie da się przewidzieć. Niekiedy małe w ogóle nie interesują się tym, co dzieje się z ich matką.

Wysoki człowiek w długim białym kitlu skinął głową. Pociągnął za dźwignię i mocne siatkowe drzwi uniosły się do góry. Małe kajmany natychmiast dołączyły do matki. Podpłynęły do niej, a w ich skrzeku pojawiły się nutki radości. Były razem i wszystko inne przestało się liczyć.

– Miejmy nadzieję, że to rozwiąże wasz problem – uśmiechnął się jasnowłosy dozorca. – Sądząc z tego, co widziałem w telewizji, macie tam na południu niełatwy

orzech do zgryzienia. Teraz jednak, gdy zmienia się pogoda, powinniście złapać tę staruszkę.

– Liczę na to – westchnął Philip, spoglądając na zegarek. Lepiej będzie, jak zacznę zbierać się do powrotu. Chciałbym być w domu przed zapadnięciem zmroku.

Była już ósma wieczorem. Weterynarz miał jeszcze przed sobą stu pięćdziesięciomilową jazdę, a pięćdziesiąt z tych mil musiał przejechać po wąskich bocznych drogach. Dopiero później mógł ruszyć autostradą. Nie spodziewał się, że wróci przed zapadnięciem zmroku. Nie był aż takim optymistą. Po prostu powtarzał nieustannie sobie i wszystkim dookoła, że nie wolno mu zwlekać. Gdyby była z nim Susie, oczywiście byłoby inaczej.

Jego przyrzeczenie, że nie zostawi jej samej diabli wzięli. Dziś rano nie wróciła do pracy Pamela. Jej matka zadzwoniła i powiedziała, że córka zachorowała. W ciągu kilku ostatnich dni złapała ciężkie letnie przeziębienie, które teraz przerzuciło się na oskrzela i płuca. Cała praca spadła na Susie i jego samego. Ranek mieli najbardziej ruchliwy i pracowity od kilku tygodni. Przed obiadem odebrali trzy wezwania telefoniczne. „Zawsze tak było, gdy coś sobie solennie obiecał” – westchnął.

Susie uczyła się szybko. Pomagała przy udzielaniu pierwszej pomocy. Fachowo zmieniała opatrunki. Karmiła pacjentów i zmieniała wodę chorym zwierzętom pozostawionym na dłuższe leczenie. Odpowiadała na telefoniczne wezwania uprzejmie i inteligentnie. Potrafiła już zająć się wszystkim, gdy jego nie było. O to się nie

martwił. Da sobie radę podczas jego nieobecności. Ale myśl o Youngu sprawiała, że czuł się nieswojo. Dlatego właśnie chciał wrócić jak najszybciej, bez zbędnej straty czasu.

Susie była zbyt zajęta, aby się przejmować czymkolwiek. Jeffries z Link Turkey Farm zadzwonił i powiedział, że posyła do niej swojego chłopaka po jakiś „Emtryl”. Jak większość farmerów mógł to kupić po dzisiejszym jarmarku, ale nie zrobił tego. Ktoś potrzebował jakiegoś proszku na wszy dla osła. Zwierzęciu nie zaszkodziłaby kolejna noc w ich towarzystwie. Miało je prawdopodobnie od miesiąca, a dziś dopiero to zauważono. Dwa zamówienia na tabletki przeciw robakom, jedno miały być odebrane dziś wieczorem, następne wcześniej jutro rano.

Sprzątała właśnie małą pracownię, gdy dzwonek zadzwonił ponownie. Westchnęła i poszła do pokoju zabiegowego, żeby zobaczyć, co się stało. Na zewnątrz stał plecami do drzwi jakiś mężczyzna. Pochylał się nad trzymanym na rękach stworzeniem.

– Czym mogę służyć?

W następnej sekundzie miała już nóż na gardle, a mężczyzna znalazł się wewnątrz. Kopniakiem zamykając za sobą drzwi, rzucił równocześnie na podłogę starą poduszkę, worek z wystającą, poszarpaną gumą piankową. Maskarada się skończyła.

– Piśnij tylko, a poderżnę ci gardło. – Maurice Young

zaśmiał się cicho i ochryple.

Susie, która chciała zawołać o pomoc, spojrzała mu w oczy i zdusiła w sobie okrzyk przerażenia. Poczowała skurcz odrazy i zrobiło jej się niedobrze.

– Wiedziałaś, że wrócę – wyszeptał. – Ty głupia dziwko, zapłacisz teraz za swoją zdradę. Chodźmy do tylnego wyjścia.

Straciła wszelką nadzieję, gdy wcisnął ją na siedzenie obok kierowcy w landroverze, który stał zaparkowany na podwórzu i był jednym z niewielu pozostałych w użyciu samochodów tego typu z serii I. Maurice miał wiele wad, ale teren przyszłego działania zawsze rozpoznawał bardzo starannie. Sprowadził prawdopodobnie pojazd już wcześniej, upewniając się, że w zbiorniku jest paliwo. Może nawet uruchomił silnik, upewniając się, że nic nie stanie na przeszkodzie jego ucieczce.

Usiadł za kierownicą, wcisnął rozrusznik i napełnił małe podwórko smrodem spalin. Wyjeżdżając na ulicę, włączył reflektory. Susie siedziała i spoglądała wprost przed siebie. Mogłaby prawdopodobnie nacisnąć klamkę w drzwiach, pchnąć je i wyskoczyć na zewnątrz. Spróbowałyby tego z każdym – oprócz Maurice'a. Z nim nie. Nóż w jego rękach niewiele wolniejszy był od błyskawicy, potrafił także rzucać nim z wyjątkową celnością. A był dość bezwzględny, aby się nie zawahać.

Przez centrum miasta przejechali powoli. Regulujące ruch światła na Wykę były niesprawne, policjant w białym płaszczu kiwnął na nich, żeby przejeżdżali.

Maurice skwitował pozwolenie uniesioną dłonią, spojrzął przy tym krótko na pasażerkę, mówiąc jej: *Wytnij jakiś numer i trup z ciebie, złotko*. Susie oparła się tylko mocniej o fotel.

Okreżną drogą dojechali nad rzekę, na odcinek pustego terenu zajęty zawsze przez druciarzy. Mieszkańcy miasteczka mówili o nim nawet skwer druciarzy. Stała tam zbieranina odrapanych wehikułów i przyczep campingowych, istna oaza przestępstw, które zaczynają się od składania nielicencjonowanych pojazdów. Obrzydliwe miejsce, prawdziwy wrzód na ciele miasta, ale godzono się z jego istnieniem. Stróże porządku woleli, by mniej groźni kryminaliści zbierali się na przestrzeni niecałych dwu i pół akrów. Policjanci przymykali też oczy na pijackie awantury, bo nawet jeśli ktoś w nich został zraniony, nieodmiennie okazywał się nim jeden z mieszkańców złomowiska.

Dlatego spokojnie ignorowano petycje okolicznych obywateli i prośby o zlikwidowanie tego jarmarku osobliwości. Lepszy diabeł znany od nieznanego, a najlepiej, gdy znasz miejsce jego pobytu.

Maurice podprowadził landrovera do kupy złomu, zaparkował wóz i zostawił kluczyki w stacyjce. W tym mieście było to najlepsze miejsce, aby pozbyć się skradzionego samochodu. Do rana wóz będzie ograbiony, a części wykręcone, może nawet sprzedane – wszystko zniknie bez śladu. Tak jak Maurice i Susie.

Przyczepa pachniała rdzą i wilgocią, chociaż od

miesiąca było sucho i ani razu nie padał deszcz. Większość sprzętów mieszkalnych zniknęła, pozostała tylko rama łóżka i złamane krzesło. Sean, czerwonobrody Irlandczyk, brał pięć funtów za noc i w cenę nie wliczano wcale kuchni ani toalety. „Żresz frytki z budki na rogu, a szczać możesz za drzwiami. Tak się kręci interes, koleś”.

– No tak – Maurice z pewnym wysiłkiem zamknął drzwi. Dokonał tego dopiero za trzecim razem i prawdopodobnie zatrzasnęły się równie mocno, jak gdyby miały zamek. – Minęło sporo czasu, Susie. Obserwowałem cię. Innych także. Widziałem te krwawe jatki. – Mówił ochryłym szeptem. – Ale tej wielkiej jeszcze nie złapali. Nie, na Boga, ona jest dla nich za cwana. Nikt jej nie zwycięży. To bóstwo. Nie wiedziałaś o tym?

Susie skinęła głową. Już dawno temu oduczyła się sprzeczać z Maurice'em. Była to czynność absolutnie bezcelowa. I niebezpieczna.

– Ona potrzebuje ludzkiego mięsa – mówił dalej. – A właściwie czegoś więcej, ofiary. *Jak myślisz Susie, dlaczego wróciłem po ciebie?*

Dziewczynie zrobiło się zimno. Zastanawiała się, jak by go oszukać. – Maurice, nie uciekłabym od ciebie. Wiesz przecież, co stało się tamtej nocy. Każdy ratował swoją skórę. Ty i ja jesteśmy jedynymi, którzy pozostali, ale i nas rozdzielono. Miałam wszelkie powody sądzić, że ty też nie żyjesz.

– Pieprzenie w bambus. I bezcelne łgarstwa.

Poderwałaś tego brodatego pomyleńca i myślałaś, że wszystkie kłopoty masz już za sobą. Ale ja patrzyłem, co porabiasz. *Pomagalaś im zabijać aligatory!*

„Osądzona i uznana za winną” – pomyślała.

– Właśnie dlatego złożę z ciebie ofiarę tej samicy, Susie. – Mówił chłodnym, beznamiętnym tonem. Brzmiało to jak wyrok śmierci wygłoszony przez bezstronnego sędziego.

– Wiem też, gdzie *ona* teraz jest – zanosił się od okropnego, przenikliwego śmiechu. – Z powrotem w rzece, Susie. Ukrywała się w kanale, potem powróciła skrótem przez pola do rzeki. Dziś rano przelazła przez zapory. Żołnierze nie zobaczyli jej – ale *ja* tak! To rozleniwieni gówniarze w mundurach koloru khaki. Samica prześlizgnęła się pomiędzy nimi niczym niewidzialna. Potrafi z łatwością to zrobić. Ma w sobie nadprzyrodzoną moc. *Mnie* jednak pozwoliła się zobaczyć, bo chce, żebym mógł ją odnaleźć. Jutro wieczorem wróci do elektrowni.

„Trafiłeś w sedno” – myślała ze wzrastającym przerażeniem Susie. „Dostałeś świra, lecz jesteś równie przewrotny jak ten kajman. Być może zresztą domyśliłeś się – dodałeś dwa do dwu, tak jak to zrobił Philip. Ale i tak mnie zabijesz”.

– Pieprzył cię – głos Maurice’a zmienił barwę i w zapadających ciemnościach brzmiał jak złowieszczy syk. – A ty mu pozwalałaś. *Może nie?*

– Tak! – Wiedziała, że zaprzeczenie zabrzmiałoby

głupio i w najlepszym razie dostałaby kopniaka w brzuch, gdyby zaś okazało się, że jest w ciąży, mogłoby to spowodować natychmiastowe poronienie.

– Ale to ja będę śmiał się ostatni. To ja będę ostatnim facetem, który cię zerznie. Zrzucaj łachy, Susie!

Znowu był rzeczowy i beznamiętny. Wzdrygnęła się raptownie. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Susie, odstaw kociołek i rozbieraj się, mam ochotę cię przelecieć”. Nie brzmiało to wcale podniecająco.

– Kiedy ona przyjdzie po ciebie, będziesz jeszcze żyła. – Z kieszeni dżinsów wyciągnął kawałek nylonowej żyłki i nożem odciął trzy części. – Wiesz, ona zjada tylko to, co sama zabije. Gdybym oddał cię jej nieżywą, byłoby to świętokradztwo.

Zaczynało padać. Susie usłyszała bębnienie kropel o zardzewiały, cienki dach. Prognoza pogody sprawdzała się – *deszcz wieczorem i wszędzie znaczne ochłodzenie*. Ponownie zadrżała. Ściemniło się już tak bardzo, że w mrocznym wnętrzu przyczepy widać było tylko sylwetkę jej prześladowcy. Szorstkie ręce przesunęły się po jej delikatnej skórze. Słyszała tylko sapiący oddech, gdy ją obmacywał. Sprawdzał pośpiesznie, czy czegoś przy sobie nie ukryła. Palce Maurice'a obszukiwały brutalnie. Skrzywiła usta w grymasie bólu. Ściskając i zgniatając sutki, zmusił ją, by uklękła.

Nylonowa żyłka wcięła się głęboko w jej nadgarstki. Bolało i właśnie dlatego tak ją skrępował. Uderzenie ręką na odlew rzuciło ją na ramę łóżka. Z rozłożonymi szeroko

nogami została przywiązana do rozklekotanego legowiska. Przypomniała sobie, jak związał ją ostatnim razem. Boże, nigdy tego nie zapomni!

Nie spiesząc się, zrzucił z siebie ubranie i odwrócił bokiem, żeby wyraźnie widziała, jak jest podniecony. Zaśmiał się ponownie i poklepał w przewidywaniu uciechy. *Zerznę ci dupę. Susie Lee. Ciesz się i korzystaj, bo potem nie zostanie ci już wiele czasu.*

Samica kajmana przeszła przez zapory o pierwszym brzasku. Niezgrabna, ale jednak niezwykle szybka, wynurzyła się na okres nie dłuższy niż pół minuty, a potem ponownie zapadła w głąb wód. Teraz już odczuwała chłód. Spadek temperatury sprawił, że poruszała się szybciej, bo rozpaczliwie starała się dotrzeć do cieplejszych wód. Młode przepadły i zostały zapomniane, tak jak gdyby nigdy ich nie było. Zresztą w ciągu najbliższego tygodnia, najwyżej dwu i tak opuściłyby ją, nie potrzebując już rodzicielskiej opieki.

Została teraz zdana na samą siebie. Bała się, bo wyczuwała zmianę temperatury – i skręcało ją z głodu.

Udało jej się upolować jedną kaczkę, ale reszta stadka uniosła się w powietrze. Ptak zaostrzył tylko jej apetyt – teraz była już rozpaczliwie głodna. A jednak głód nie przytępił jej przebiegłości nawet wówczas, gdy nie opodal brzegu zobaczyła siedzącego żołnierza, ubranego w ciepłą kurtkę. Szybkie uderzenie i miałyby go, ale wiedziała już, co potrafią karabiny, chociaż nie rozumiała,

jak to się dzieje.

W końcu znalazła źródło ciepła. Ujrzała wysokie wieże i zrozumiała, że jest na miejscu. Wiedziała jednak, że będzie musiała poczekać do zmroku, zanim uda jej się niepostrzeżenie wykraść na brzeg i ruszyć na łowy.

Krąg się zamknął i jeszcze raz łowca stał się zwierzyną łowną. Tyle tylko, że bestia była teraz bardziej niebezpieczna niż przedtem. W dziwny i niewytłumaczalny sposób wiedziała, że jej czas już się kończy.

Będzie jednak walczyła do samego końca.

Dopiero po północy Philip Grant zaparkował subaru na podwórku za swoim domkiem. Światła wewnątrz były wygaszone. „Susie jest już prawdopodobnie w łóżku” – pomyślał. A potem zauważył, że zniknął landrover. Poczul nagły niepokój. Miał teraz niemiłe wrażenie, że stało się coś złego.

Susie nie mogła zabrać pojazdu, bo nie potrafiła prowadzić. Tak czy owak – nie miała powodu, żeby go używać. Poleciał jej przecież, aby nie opuszczała domu. Wiedział też, że w systemie zabezpieczeń, który rozciągnął dookoła niej, istniały spore luki. Zawsze przecież mógł pojawić się interesant. Zrozpaczony człowiek, którego ulubione zwierzę nagle zachorowało. Miał taką pracę, która nie pozwalała na odcięcie się od świata. Oby dobry Bóg...

– Susie! – zapalił światło w biurze i w gabinecie

zabiegowym. Drzwi do laboratorium stały otworem. Tam też nikogo. Wbiegł na schody i zawołał jeszcze raz. „Nie wpadaj w panikę” – powiedział sobie.

Nie było jej w domu, ale też nie dostrzegł żadnych śladów walki. Niewiedza jest czymś najgorszym. – Potrafił wymyślić tysiące powodów, dla których mogłaby wyjść. Mogła na przykład mieć go dość i po prostu odejść – kto miałby do niej o to pretensje? Nie, to niemożliwe, dobrze się tu czuła, pamiętał przecież.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer Alexa Kerra. „Już nie jesteś dyrektorem, ale nadal nie lubisz szybko odbierać telefonów, co?” *Na litość boską, człowieku, pospiesz się! Nie mogę długo blokować linii, ona może zadzwonić do mnie lada chwila.* W końcu usłyszał zaspany głos właściciela zoo.

– Alex. Susie gdzieś zniknęła!

– Aha – głos tamtego był bez wyrazu.

– Martwię się o nią.

– No, prawdopodobnie... mogła gdzieś wyskoczyć, aby coś załatwić.

– Właśnie tym się martwię. No dobra, po prostu sprawdzam. – Odłożył słuchawkę. Rozwagał przez chwilę, czy nie zawiadomić Carvera, ale zaraz zmienił zamiar. Jeszcze nie, bo wtedy wyszłaby na jaw cała ta historia i jej związek z Maurice'em Youngiem. „Susie miała co nieco na sumieniu – dość, by wnieść przeciw niej oskarżenie.”

Wiedział, że mógł zrobić tylko jedną rzecz. Musiał

usiąść przy telefonie i czekać na wiadomość. Prawdziwa tortura. Ale cóż innego mu pozostało?

Brian Brown miał lat czterdzieści i nie sprawiał specjalnie imponującego wrażenia. Miał szczupłą budowę, mocno przerzedzoną czuprynę i nosił okulary. W jego karcie zdrowia odnotowano trzykrotne już usiłowanie samobójstwa. Żałosne próby i – jak wykazywał psychiatra doktorowi Hale – podjęte w sposób, który z góry zakładał niepowodzenie. Na przykład to „przedawkowanie” było niemal klasycznym przypadkiem. Zażycie garści aspiryny i telefon do szpitala, zanim lekarstwo miało jakiegokolwiek szanse rozpuszczenia się w krwiobiegu. Pomoc ograniczyła się właściwie do solidnego płukania żołądka. Gdy Brian groził, że skoczy z trzeciego poziomu wielopiętrowego parkingu dla samochodów, to tak naprawdę bał się, że rzeczywiście może zlecieć w dół. Dwa tygodnie później zamierzał rzucić się pod samochód. Przechodnie byli świadkami jego niezręcznego skoku. Gdy tylko kierowca użył klaksonu, Brian wylądował w otwartym kanale ściekowym. Trzy nieudane próby – i podejmował dalsze wysiłki. Lub raczej zapisywał kilometrowe notatki na temat kolejnych prób, które miały nastąpić.

Przyczyny jego fatalnego stanu psychicznego były zbyt skomplikowane, aby ktokolwiek mógł się w nich rozeznąć. Poddał się nawet doktor Hyle. Brian mieszkał na John Street w swoim własnym domku z tarasem. Z

natury był samotnikiem, który odrzucał wszelkie próby wniknięcia w jego prywatne sprawy, unikał też swoich sąsiadów. Najwidoczniej odszkodowania z tytułu choroby pozwalały mu żyć wygodnie własnym życiem. W końcu pozostali mieszkańcy i sąsiedzi nadali mu przezwisko „odludka” i zostawili własnemu losowi. Któregoś dnia może znajdą go martwego, ale w końcu to jego sprawa. Nikt nie uroni łzy po tej śmierci. W jakiś czas po trzeciej próbie samobójstwa sąsiedzi przestali się nim interesować i prawie o nim zapomnieli, a o to mu w końcu chodziło.

Problemy Briana Browna zaczęły się dwadzieścia lat wcześniej. Był wtedy w miarę normalnym człowiekiem. Miał, i owszem, swoje dziwactwa, ale w sumie nieszkodliwe. Obsesyjnie interesował się postacią Toby’ego Twirla – dotyczyło to każdej książki, która traktowała o tej uroczej osobie. Oprócz tego był posiadaczem dużej kolekcji pluszowych misiów i innych mięciutkich zabawek.

Jego hobby ulotniło się gdzieś, kiedy zaręczył się z Edną Jones – atrakcyjną dziewiętnastolatką. Najwidoczniej dostrzegała ona jakąś przyszłość przed swoim narzeczonym, który w owym czasie był tylko urzędnikiem w biurze miejscowego radcy prawnego. Wszystkie ślady niewinnych, dziecięcych upodobań Brian przeniósł do swojej, pilnie wtedy strzeżonej, sypialni, gdzie przez jakiś czas pozostawały tajemnicą. Stracił swoje dziewictwo i zajął się sprawami, które w zasadzie bawiły wszystkich ludzi w jego wieku. Dwa razy w

tygodniu zaglądał nawet do knajpy. Ale w końcu brzemie stało się nie do wytrzymania. Po śmierci ojca w przyływie depresji wyznał Ednie, że nie potrafi żyć bez Toby'ego Twirla i zaprosił ją, by obejrzała jego sanktuarium na pięterku.

Zaskoczona rozglądała się po jego sypialni: szeregi kolorowych roczników i puchate brązowe misie oparte o poduszkę i ustawione w nogach łóżka. Nie potrafiła tego pojąć, zresztą nawet nie próbowała. Drwina przemieszała się w niej z obawą: czy to bezpieczne wiązać się z kimś o tak pokrętnej umysłowości? Na pewno nie był „zupełnie normalny”. W następnym tygodniu zerwała zaręczyny i wtedy to właśnie Brian po raz pierwszy podjął próbę samobójstwa.

Po groźbach zeskokczenia z trzeciego piętra parkingu Brian opuścił matkę i kupił dom na John Street. Doktor wydał orzeczenie, że jest trwale niezdolny do pracy zarobkowej i Brian przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Kochał zwierzęta. Nie potrafił wszakże zmusić się, by trzymać w domu choć jedno. Wiadomo, że któregoś dnia nieodwołalnie umierają. Jego kudłate misie mogły istnieć zawsze, wymagając niekiedy drobnej naprawy. Na pewno jednak nie obawiały się śmierci. Został wegetarianinem, a potem wegetarianinem ekstremistą. Uważał, że używanie jakichkolwiek produktów pochodzenia zwierzęcego jest wykorzystywaniem głupiutkich stworzeń i nigdy nie było niczym więcej. Liczył się z tym, że aligatory zjedzą kilku ludzi – nie można było w końcu winić zwierząt za to, że

są głodne. Ci, którzy zginęli, dostali dokładnie to, na co zasłużyli. Zamykano biedne stworzenia w ogrodach zoologicznych, a gdy jacyś bohaterscy ludzie zdołali uwolnić kilka z nich, podnoszono larum i dziki wrzask: „Zabić, zabić je natychmiast!” „Zemsta” – rozmyślał – „była jedynym motywem tej nagonki. Aligatory poharatały tam kogoś, trzeba więc zastrzelić trzy spośród nich, aby dać im nauczkę”.

Żywił się bardzo oszczędnie, przeważnie kanapkami z masłem roślinnym. Czytał bardzo dużo, oglądał trochę telewizję (z wyjątkiem programów sportowych i wiadomości dnia), nieustannie o czymś rozmyślał.

W pewnym okresie przechodził przez okres religijności, ale ten minął dość szybko. Wiązało się to z uczęszczaniem do kościoła i spotykaniem innych, on zaś nienawidził ludzi.

Tak czy owak ziarno wiary padło na podatny grunt i w następnych miesiącach zaowocowało poczuciem winy. Sama myśl, że „Bóg obserwuje każdy mój ruch” – sama myśl o tym sprawiła, że stał się przesadnie nerwowy.

Tego lata zdecydował, że wreszcie przestanie się onanizować. Zrozumiał, że nie poniża przez to *własnego* ciała, bowiem ciało to należało do Stwórcy. W pewnym sensie przypominało to nieco dojenie krów, które pozbawiało cielaki mleka ich matek. Kiedy się masturbował, marnotrawił spernę, służącą przecież prokreacji – rozumował bardzo prosto. Każdy wytrysk jego nasienia w jakąś tkaninę pozbawiał jedno dziecko

możliwości przyjścia na świat. Myśl ta była przerażająca.

Nie chodziło wcale o to, że widział się w roli ojca jakiegokolwiek dziecka. Edna dawno już zniknęła z jego życia, dotarły do niego słuchy, że poślubiła jakiegoś gościa z Bassington i miała teraz własną rodzinę. Odczuwał zazdrość, ale było to grzeszne uczucie: nie miał prawa pożądać Edny. Nawet jeżeli nie chodził już do kościoła...

Powstrzymywanie się od masturbacji sprawiło, że za życia zaczął odczuwać piekielne męki. Podczas bezsennych nocy zwalczał pożądanie i rzucał się niespokojnie w pościeli. Przeklinał swoją erekcję, ale ten... narząd sterczał tylko i drwił sobie z niego. Rozwagał nawet możliwość pewnego drastycznego czynu, który rozwiązałby ów problem definitywnie, ale zabrakło mu odwagi. Bez względu jednak na kosztę – zdecydował się nie ulegać pokusom.

Popęd był jednak nieodparty. Pewnego dusznego poranka obudził się z erotycznego snu. Dziewczyna (nie była nią Edna) dopuszczała się różnych bezceństw, aby go uwieść. Na pościeli spostrzegł mokrą, kleistą plamę. Zsunął gatki i przerażony zobaczył spermę na swoim brzuchu. Zaczął przeklinać swój już częściowo sflaczały organ za to, że w końcu pokonał go, wykorzystując nieświadomość snu!

Sny te zaczęły się powtarzać, zawsze wtedy, kiedy frustracja Briana osiągała szczyt. I oto pewnej nocy uległ pokusie. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Co zaś

najgorsze, każda sekunda tej grzesznej nocy dostarczała mu przyjemności.

Nie zważając na upał, podciągnął pościel aż do brody. Trzymał ręce sztywno wyciągnięte wzdłuż ciała i ułożone na kocu. Dość nieoczekiwanie, jakby obdarzona została własnym życiem, jego prawa ręka wsunęła się pod koc. Walcząc z narastającym pożądaniem, zgodził się w końcu na to, że pomaca tylko, nic więcej. Ale to wzmocniło jedynie pożądanie. Usiłował cofnąć palce, ale te same jakoś zamknęły się mocno na pulsującym mięśniu. Wezwał głośno Boga na pomoc, ale modlitwa pozostała bez odpowiedzi. Podobnie jak Adamowi dano mu wolną wolę.

Poruszył dłonią, najpierw powoli, potem przyspieszając, w końcu nie potrafił się już powstrzymać. Zwijając się w konwulsjach, odrzucił pościel, głośno jęcząc z grzesznej rozkoszy, czerpiąc przyjemność, satysfakcję i czując pulsujące gorąco we własnych, spoconych lędźwiach. Po chwili rozpoczął od nowa, ulegając żądaniom ciała. Nie przestawał, dopóki całkowicie nie wyczerpał sił i nie zaspokoił popędu, zapadając w końcu w pełen poczucia wstydu, głęboki sen.

Rankiem wykąpał się, namydlając obficie swoje ciało. Usiłował je oczyścić i usunąć wszystkie ślady grzechu, ale były to poczynania daremne. Wiedział, że wieczorem zrobi to znowu. W tej sytuacji miał tylko jedno wyjście.

Tym razem zdecydował, że doprowadzi rzecz do końca, poprzednie trzy próby uważał za ćwiczenia

praktyczne. Nie bał się śmierci – wiedział, że przyniesie mu ulgę. Oczywiście odbieranie sobie życia było grzechem – ale nieustanne uleganie plugawym potrzebom własnego ciała również nim było. Jednym słowem – równowaga. Daleko lepiej jednak – tak to przynajmniej oceniał – zgrzeszyć raz i skończyć z tym wszystkim ostatecznie i nieodwołalnie, niż dalej żyć w brudzie i nieczystości.

Postanowił, że się utopi. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Nigdy nie opanował sztuki pływania i modlił się, żeby nieoczekiwanie nie został nią obdarzony. Rzeka była szybka i głęboka. Wiedział, że jeżeli zeskoczy z brzegu nie będzie miał już odwrotu. Nawet gdyby się rozmyślił, niczego to już nie zmieni.

Brian rozumiał, że musi poczekać do zmroku. Nad rzeką kręcili się policjanci i żołnierze. O ile nie powstrzymaliby go, zanim nie skoczy, mogliby coś wykombinować i wyciągnąć go z wody żywego.

Uznał też, że tym razem nie zostawi żadnego listu. Nie wyjaśni powodów swojego samobójstwa. Nie chciał wyjawiać wszystkim jego przyczyny. Swoją wstydlivą sekret zabierze ze sobą do wodnistego grobu.

W ciągu dnia przygotowywał się do opuszczenia tego świata. Nie było czasu, aby spisać ostatnią wolę, miał jednak nadzieję, że kilka wyrażonych na piśmie sugestii i próśb zostanie uszanowanych przez tych, którzy będą dysponowali jego rzeczami. Swoje książeczki o Tobym

Twirlu przeznaczył dla biblioteki miejskiej, a niedźwiadki dla domów dra Barnarda. Nie chciał, żeby wylądowały na aukcyjnym stole ze starzyzną. Największego z niedźwiadków, Toby'ego, postanowił zabrać ze sobą. Wiedział, że ten się zgodzi i zrozumie. Od zawsze dzielili ze sobą życie, śmierć też ich nie rozdzieli.

Dzień włókł się niezmiernie powoli. Brian, co było dość niezwykle, odkrył, że od dawna nie czuł się tak odprężony i spokojny. Pogodzony z własnym ciałem, czuł ogromną ulgę podjął wreszcie nieodwołalną decyzję. Tym razem nie zawróci w połowie drogi. Nie miał nic do stracenia, niczego i nikogo, co byłoby dla niego tyle warte, aby stanowić wystarczający powód pozostania przy życiu, i dlatego chciał skończyć z tym wszystkim, ostatnie przewinienie jedynie dopomogło mu w owej decyzji.

Zdał sobie sprawę, że nie obdarzył swojej matki nawet głównem. Była zakałą społeczeństwa i dziękował Bogu, że przestała do niego wreszcie dzwonić. Od jej ostatniego telefonu minęły już chyba dwa miesiące. Początkowo kręciła się tutaj, dzwoniła, łomotała do drzwi wejściowych – niekiedy trwało to i pół godziny. Brian musiał wtedy siedzieć na schodach i czekać, aż ona sobie pójdzie.

Opuszczał rolety i zasuwiał firanki w pokoju na parterze. W ten sposób oduczył ją przyciskania twarzy do szyb i stukania w okno jak usiłujący dostać się do środka wampir.

Nie było mu wstyd ani nie czuł się winny. Cokolwiek

robiła po tym, jak ją opuścił, to w końcu tylko *jej* sprawa.

Resztę dnia spędził, sprzątajac przykladnie caly dom. Chcial, by to miejsce lsnilo nieskazitelna czystoscia, kiedy w koncu sie tu wlamia, ujrza je wlascnie takim. Ustawil niedzwiadki w szeregu w poprzek lozka i oparl o nie pocztowke przypominajaca znalazcy o ostatniej woli wlasciciela. Zostawiajac w domu misie, czul smutek, ale nie mogl zabrac ich ze soba. Zreszta nie byly to fair, nie mial prawa ich niszczyc. Toby to co innego – istniala pomiedzy nimi wiez wykraczajaca daleko poza sympatie, jaka obdarzal pozostale zwierzaczki.

Brian wygral Toby'ego trzy lata temu, na Boze Narodzenie, podczas loterii w kościele. Był to ogromny miś o błękitnym futerku i oczach, które widziały i rozumiały. Brian utrzymywał w duchu, że może mówić do Toby'ego i niedzwiadek mu odpowiada. Jeżeli Toby zgadzał się z nim, uśmiechał się, jeżeli nie marszczył brwi. Brian wiedział, że Toby całkowicie akceptuje to, co jego pan planuje zrobić dziś wieczór, bo uśmiechem wyraził chęć towarzyszenia mu w ostatnim spacerze.

Wreszcie nadciągnął zmierzch. Brian zaczął się niecierpliwić. Siedział na najniższym schodku wewnątrz domu i trzymając w ramionach Toby'ego, oczekiwał, aż zapadnie ciemność.

Pożegnał się i nie zniósłby ostatniego spojrzenia na misie. Wiedział zresztą, że nic złego im się nie stanie.

Wreszcie nadszedł zmrok. Brown wyslizgnął się z domu, przytulając do siebie Toby'ego. Wielki miś trochę

mu przeszkadzał. Był zawadą dla człowieka, który nie chciał zwracać na siebie uwagi. Ale tylko jeden czy dwaj przechodnie przystanęli i obejrzel się za nim. „Popatrzcie tylko, to ten odludek spod dwunastego, nie widzieliśmy go od miesiący. Jak myślisz, gdzie się wybiera? Popatrz, popatrz, niesie ze sobą cholernie dużego, pluszowego misia!”

„To nie wasz interes” – rozmyślał Brian, skręcając w alejkę łączącą się z biegnącą wzdłuż rzeki ścieżką. Toby zahaczył o wystający sęk, co prawie wyrwało go z uścisku mężczyzny. Brian odwrócił się, odczepił misia i klepnął go, dodając mu otuchy. Wiedział, że to bolało. Szepnął pocieszająco: „Nie przejmuj się, wkrótce wszystko to będziemy mieli za sobą”.

Dotarł nad sam brzeg. Potem cofnął się nieco i ukrył wśród krzaków. Na prawo od niego znajdowała się elektrownia – miniaturowa Niagara gotującej się kipieli i dwie bliźniacze nogi giganta strzelające prosto ku czarnemu niebu. Poczul na twarzy krople deszczu, lodowate uderzenie zimnej wody rozbryzgującej się i spływającej strumieniami wzdłuż jego ciała. *Och nie, nie mówcie mi, że będzie lato!*

Nieoczekiwanie poczul się wytrącony z równowagi i rozdrażniony. Nie lubił wielu rzeczy, ale najbardziej nie cierpiał deszczu. Nie znosił, jak padało – nawet wtedy, gdy cały dzień pozostawał w domu. Wszystko jedno, gdzie znajdował się w czasie deszczu, działał on na Briana przygnębiająco i decydował o jego myślach i działaniach.

Owego dnia, kiedy to wziął za dużą dawkę leków, też lało, przypominał sobie. Kiedy skulił się przy ścianie wieżowca, deszcz chłostał go, odrzucając od krawędzi parapetu. A jeśli już o tym mowa, wówczas gdy próbował skoczyć pod samochód, też mżyło. Bruk lśnił uderzony tysiącem drobniutkich niewidzialnych stopek, jak gdyby tańczyły po nim elfy z książeczek dla dzieci. Wszędzie było wilgotno i ślisko. To dlatego wpadł do kanału, kiedy zamierzał skoczyć pod volkswagena.

Nie, w końcu nie o to chodziło, powiedział. Spójrz prawdzie w oczy. Za każdym razem zaważyłeś sprawę celowo. Może, gdyby było ładnie, zrealizowałby jednak swój plan już za pierwszym razem.

Decydujący czynnik stanowiła pogoda. A teraz zaczynało lać i to solidnie. Słyszał plusk deszczu na liściach otaczających go krzaków i stukot kropli spadających na ziemię. Niebo nad mostem miało czerwonawy odcień i pełne było kłębiących się, ciężkich burzowych chmur.

Trzymając Toby'ego w jednej ręce, pięścią drugiej pogroził dłonią ku niebu. „Zawsze mi to robicie” – rzucił milczące oskarżenie. „Wszystko, o co proszę, to kilka minut ładnej pogody. Potem możecie obszczywać już całą ziemię przez całą wieczność, jeśli tak chcecie”.

Padało już potężnie. Ponieważ wiatr nie wiał, deszcz padał pionowo i zmoczył Brianowi koszulę oraz starannie wyprasowane spodnie. Lodowatym strumyczkiem wcisnął się za kołnierz. Brown wzdrygnął się konwulsyjnie. Miś

był również przemoczony i nie wyglądał na zadowolonego.

Na co jeszcze czekam? Właściwie nie wiedział. Patrzył na lśniąca w refleksach nocnego nieba, ciemną, oleistą, kłębiącą się poniżej rzekę. Była dwa, najwyżej trzy jardy od niego. „Parę sekund, podejdź” – powiedział sobie – „i skocz tak daleko, jak tylko potrafisz, tak żeby nie wylądować na płyciźnie, bo wtedy skończy się na przemoczeniu. Mocno trzymaj Toby’ego. To proste, nie musisz nic innego zrobić, tylko raz skoczyć. No dalej! *Teraz!*”

Zrobił dwa wolne kroki do przodu. Zatrzymał się i spojrzał na wodę. Rzeka była już pod nim, nie dalej niż o stopę od wąskiej ścieżki, na której stał. Spieczona gliniasta ziemia pod jego nogami powoli zmieniała się już w grząskie błoto. Zmoczone deszczem włosy przylepiły mu się do czaszki, a oczy zaczynały piec od szamponu, którego dokładnie nie spłukał, gdy rano mył głowę.

Przemoknięta odzież przylegała mu do ciała, przejmując go chłodem. Po wpływie zimna wstrząsnęła nim cała seria dreszczy – zaraz, jak to matka je nazywała – a, przypomniał sobie, mówiła: „Ktoś przeszedł po moim grobie”. Ale *jego* grób był tu w dole, w postaci mrocznej, kotłującej się i bulgoczącej wody.

Tylko jeden skok. Wiedział, że to wszystko, czego żądała od niego rzeka. Kilka sekund – i będzie po wszystkim. Gdyby tylko nie padało...

A potem zrozumiał okropną prawdę – nie potrafi tego

zrobić. Powodem był deszcz, który powstrzymywał go już wcześniej. Teraz też zachwiał jego decyzją i przytłoczył swoją wszechobecnością. Brian popatrzył na Toby'ego, szukając w nim oparcia, ale mrok ukrył wyraz twarzy miękkiego, wielkiego misia.

Czuł, że tylko traci czas i z każdą minutą coraz bardziej moknie. Nie *obawiał się* skoku, nic z tych rzeczy. Deszcz zatrzymał go po prostu – jak w przypadku odliczania przed startem promu kosmicznego, kiedy pogoda potrafi również wszystko zepsuć. Kluczowym elementem były żywioły.

– Lepiej chodźmy do domu – powiedział głośno do Toby'ego. – Może spróbujemy jutro w nocy. Pogoda powinna się kiedyś poprawić.

– Marnotrawisz dany ci czas – odpowiedział niedźwiadek. Straciłeś swoją szansę. Rzeczywiście lepiej będzie, gdy tak jak powiedziałeś – wrócimy do domu.

Brian skinął głową i zrezygnowany obracał się właśnie, kiedy nagle rzeka jak gdyby skoczyła na niego. Coś ciemnego i długiego oddzieliło się od nurtu i wpadło na brzeg, tak szybko, że uderzyło człowieka jak taran. Para olbrzymich nożyc chwyciła go powyżej kolan, amputując natychmiast obie nogi.

Brown wrzeszcząc rozpaczliwie, zwałił się na bok i wpadł tyłem w błoto. Pluszowa zabawka wyleciała mu z rąk i koziółkując, potoczyła się dalej, jak gdyby martwy przedmiot, kierując się instynktem samozachowawczym, usiłował uciec. Toczący się niedźwiadek wpadł do wody i

odpłynął, zanurzając mordkę w nurcie rzeki.

Brian ujrzał parę oczu, łypiących łapczywie ślepi, w których odbijały się głód i desperacja wyposzczonej bestii.

Kajman uderzył po raz drugi. Pożerał swoją zdobycz, wydzierając miękkie, ciepłe mięso żyjącej jeszcze ofiary. Zwierzę nie było nawet złe, ale po prostu głodne.

Ucztowało żarłocznie. Po raz pierwszy od czasu ucieczki na chwilę straciło wrodzoną sobie czujność. Zwierzę całą swoją przebiegłość zużyło, by podkraść się ku ofierze. Teraz, przez te kilka minut, było bezbronne. Wszędzie dookoła znajdowali się uzbrojeni, kryjący się przed ulewą żołnierze, a jednak samica potrafiła znaleźć sobie bezbronnego wroga. Być może uśmiechnęło się do niej szczęście, skoro przeżyła posiłek, który powinna była przypłacić śmiercią.

Zwierzę jadło, aż zaspokoilo głód i z pełnym brzuchem ponownie wślizgnęło się do rzeki. Głęboko zanurkowało, wracając do swojej kryjówki w załomie skalnym, na dnie rzeki w pobliżu źródła ciepłej wody.

Samica wiedziała, że nie musi wypływać, dopóki znowu nie poczuje głodu.

Maurice Young popychał przed sobą Susie, schodząc w dół stromą błotnistą ścieżką nadrzeczną. Naga dziewczyna potykała się i niejednym razem upadłaby, gdyby

jej nie podtrzymawał. Wolne miała tylko nogi. Nadgarstki tak jej spuchły, że nie czuła już bólu wywołanego wcinającą się w nie żyłką. Knebel sprawiał, że z trudem oddychała. Wiedziała, że gdyby nawet krzyknęła i zwróciła na siebie uwagę żołnierzy lub policjantów, to Maurice zdąży ją zabić, zanim przyjdą jej z pomocą. „Och, Philipie, gdzie jesteś” – rozmyślała z rozpaczą. Niewiele brakowało, by oszalała ze strachu. Nie chciała umierać – a już na pewno nie w ten sposób.

Noc była dziwnie spokojna. Światła latarek nie błędziły po rzece. W ciemnościach chyba nic się nie poruszało, gdyż panowała niesamowita cisza. Do uszu dziewczyny dobiegało jedynie bulgotanie rzeki.

– O kurwa! – Maurice potknął się, jego noga w czymś ugrzęzła. Chwycił się ramienia Susie i nieomal przewrócił ich oboje na błotnisty brzeg. Wystarczyło, że błysnął latarką. *Para oderwanych od korpusu, poszarpanych nóg, zakrwawione ludzkie szczątki leżące w poprzek ścieżki.* Cofnął się, widząc krew i zgniecione poszycie.

– Jadła już – mruknął. – Była już na brzegu i zażądała ofiary. Spóźniliśmy się, a to ją rozgniewało. Jest zła, ale już nie głodna.

Susie odczuła przelotną ulgę. Bestia nażarła się i nie zabije jej. Ale Maurice, jak gdyby czytając w jej myślach, natychmiast zgasił tę nadzieję.

– Ofiara jednak musi się dokonać – palcami okrutnie wykręcał jej ciało. – Poczekamy. *A jeśli ona nie przyjdzie po ciebie, to ty pójdiesz do niej. Musisz umrzeć za to, co*

zrobiłaś, Susie.

Zmusił ją, żeby klękła koło niego. Skulili się w krzakach, za ścianą siekącego deszczu, tak zimnego teraz, gdy minął już długi okres letnich upałów. Czekali na śmierć, która miała nadejść w formie prymitywnej egzekucji odpowiedniejszej dla mrocznych rejonów nad Amazonką niż dla wybrzeża angielskiej rzeki. Ale w końcu cóż to za różnica?

Pomarańczowe światła elektrowni połyskiwały na błotnistym nurcie rzeki płynącej w ciszy, która tchnęła śmiercią, usypiając jak gdyby ofiarę przed egzekucją.

Philip nie bez wysiłku skupił się na realizacji planu, który wymyślił wcześniej. Udręczony umysł weterynarza z trudem koncentrował się na tym, co robił. Zmagając się z ulewą, ustawiał magnetofon na brzegu rzeki obok upustu wodnego. Deszcz, tak potrzebny dla powodzenia całej akcji, przygnębiał go i zwiększał psychiczną udrękę.

Ustawił dwa głośniki – miał nadzieję, że tyle wystarczy. Modlił się w duchu, aby nie było za późno. Nieoczekiwanie wszystko to zaczęło wydawać mu się beznadziejnym przedsięwzięciem, jego kolejnym i chybionym – jak w wypadku sfory Mellingsa – pomysłem. „Samica straciła całe potomstwo i nie da się wykluczyć, że zapomniała już o małych. Może szamoczące się zwierzę, koza albo owca, skuteczniej by ją przywabiło” pomyślał. Nie, to było nie do przyjęcia – ani dla niego, ani dla tłumów, które wyły, żądając krwi gada.

Gdyby użył żywej przynęty, prasa by go ukrzyżowała. Podniósłby się w całym kraju okropny wrzask miłośników zwierząt. Wiedział, że musi zrobić tak, jak to planował od początku, nie miał innej możliwości.

Powiedział Carverowi, że zniknęła Susie Lee i jego landrover. Wóz wciągnięto na listę skradzionych samochodów.

– Wzięła go dziewczyna – ze stoickim spokojem stwierdził detektyw, notując coś na boku. – Uciekła od pana i zabrała samochód. – Słowa te nie były balsamem na zbolełą duszę Philipa. „Dziękowałbym Bogu, gdyby tak właśnie się stało” pomyślał później. W głębi duszy czuł, że przyczyna zniknięcia dziewczyny i samochodu nie była wcale aż tak oczywista. Przede wszystkim muszą wreszcie dostać kajmana. Dopiero potem rozpocznie poszukiwania Susie. Zmusił się, by skierować myśli ku wykonywanej czynności. Po obu stronach stanowiska Philipa, w odległości paru jardów, ukryło się w krzakach kilkunastu strzelców wyborowych. Jeśli mordercza bestia wyjdzie z rzeki, i tym razem nie popełnią już błędu. Ale czy na pewno?

Potężne reflektory były skierowane w stronę ścieżki. Gdyby zauważono na niej jakiś ruch, natychmiast zostanie zalana potokami światła. Pułapkę zastawiono fachowo, pozostało jedynie czekać na schwytanie ofiary.

Wsluchując się w nieustanny poszum rzeki, usłyszał też inne dźwięki, powstałe wyłącznie w jego umyśle. Magnetofon wzmacniacze podłączono do głośników, z

których jeden umieszczono pod wodą, a drugi na lądzie. Gdy wciśnie klawisz odtwarzania, nad rzeką rozlegnie się skrzeczenie małych, usiłujących dostać się do swojej matki.

Tak wiele zależało teraz od Philipa. Przekazywali sobie pałeczkę, aż wylądowała ona w jego dłoni. On miał być tym, który podejmie decyzję. „Wciśnij klawisz, jeśli ocenisz, że już czas, Grant. Zostaniesz bohaterem. Ale jeśli ktoś przy tym zginie...”

Jak zawsze oczekiwanie było najtrudniejsze.

Leżącą na ziemi Susie Lee otaczały ciemności. Nie wiedziała zatem, czy Young jest w pobliżu. „Musiał gdzieś tu być” pomyślała. „Nie podejmie ryzyka i nie zostawi jej tu samej. Tak mógłby jej dać nikłą co prawda, ale realną szansę ratunku. A poza tym nie zechce tracić z oczu finałowego widowiska. Na pewno czaił się gdzieś w pobliżu”.

Nie czuła już rąk ani nóg. Bez trudu mogłaby sobie wyobrazić, że amputowano jej członki i zostawiono tylko korpus jako przynętę dla kajmana. Przeszła już przez fazę śmiertelnego przerażenia, które nieomal doprowadziło ją do obłądzenia, teraz znowu rozumowała logicznie i w tępej rezygnacji poddała się oczekującemu ją losowi.

Miała oto umrzeć – i nic nie mogła na to poradzić. Gdyby tylko udało jej się zasnąć i nigdy nie obudzić. Próbowwała nie myśleć o czekającej ją śmierci, ale nie potrafiła.

Może zwierzę nie przyjdzie? Przyjdzie. Czyje były te nogi leżące tam w mroku? Nie знаła w końcu tego człowieka, cóż więc to ją obchodzi. Umarło już wielu ludzi. I na tym się nie skończy.

I znowu wracała do tych okropnych myśli o czekającej ją śmierci. Było i coś jeszcze, co zwiększało jej udrękę psychiczną. To ona pomagała uwolnić te aligatory i kajmany, a więc otrzyma to, na co zasłużyła. Kto mieczem wojuje...

Wyczuwała, że Maurice obserwuje ją, pożądając jej ciała, ale teraz w odmienny już sposób. Obserwując jej rozszarpywanie, będzie drżał jak piroman na widok roznieconego przez siebie pożaru. Posunął się za daleko, już nigdy nie będzie normalnym człowiekiem – to martwiło ją najbardziej. Zaczął od uryny wlewanej do pojemników w mleczarni. „Teraz” – myślała – „użyłby do tego celu śmiertelnej trucizny”.

I wtedy usłyszała kajmana: plusk, potem odgłos ciężkiego człapania w błocie, rodzaj cichego prychnięcia i niski, chrapliwy oddech. Pod wpływem nagłej paniki szarpnęła się rozpaczliwie, ale nie miała żadnej możliwości ucieczki.

Ziemia drżała. Zwierzę z trudem wydobywało się na brzeg, osuwając się do wody i wyłaząc ponownie. Susie usiłowała wołać o pomoc, ale fachowo założony knebel zdusił wszelkie próby krzyku. Wiedziała, że bestia dopadnie jej lada moment.

Nagły błysk światła oślepił ją, zmuszając do

zamknięcia oczu. Latarka Maurice'a. Bawił się cierpieniem dziewczyny, jak gdyby mówiąc: – *Spójrz, kajmanie, oto jest żywy człowiek dla ciebie! Ofiaruję ci ten dar. Weź go!*

Snop światła przesunął się od dziewczyny ku zwierzęciu. Bestia była już na wąskiej ścieżce, nie dalej niż dziesięć jardów od nich – czarna, łuskowata, złowrogo połyskująca w strugach deszczu. Nieco zaskoczona, łypała czerwonymi ślepiami. Może wietrzyła pułapkę? Ogon zwierzęcia poruszał się rytmicznie na boki, rozbryzgując błoto.

Gadowi nie spieszyło się wcale. Niedawno przecież nappełnił sobie żołądek. Zabijanie należało jednak do najgłębiej zakodowanych, zwierzęcych instynktów i samica nie potrafiła przejść obojętnie wobec bezbronnej ofiary. Kajman poruszył się niespokojnie, podejrzewając, że za chwilę otrzyma serię pocisków ale nie nastąpiło nic gwałtownego czy niemiłego. Jedynie światło trzymało go jeszcze na uwieczni. A gdy zgasło, samica człapiącym krokiem ruszyła przed siebie.

Otoczony mrokiem deszczowej, letniej nocy Philip Grant zmagił się ze swoim strachem. Nagle ujrzał bestię, na którą polowali. Spoglądał z pewnym niedowierzaniem, sądząc, że to może tylko projekcja jego własnych, koszmarnych myśli. W tej samej chwili zobaczył Susie Lee. Leżała nago, związana. Rozpaczliwie, choć daremnie próbowała odczołgać się od coraz bliższego kajmana.

Później nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kiedy nacisnął klawisz odtwarzania i usłyszał obracające się w magnetofonie szpule. I nic więcej. Żadnego skrzeku kajmanów. *Jezu Chryste, spieprzyłem i to!*

– Jest! – krzyknął ktoś ukryty w krzakach za nim.

Philip chciał zawołać: „Nie strzelajcie! Tam leży moja dziewczyna” – ale zdołał wydobyć z siebie jedynie ochrypy, niezrozumiały szept.

Zesztywniał. Lada moment rozlegną się strzały z ciężkiej broni palnej. Kajman zatrzymał się w odległości paru jardów od Susie, częściowo zasłaniając sobą ciało dziewczyny. Philip ze śmiertelną obawą pomyślał, że policjanci i wojskowi strzelcy wyborowi mogli jej nie zobaczyć i chociaż grad pocisków rozniesie bestię na strzępy, to niektóre z kul ugodzą w dziewczynę.

Wszystkim obserwującym tę scenę wydawało się, że nagle czas stanął w miejscu. Kajman zatrzymał się, a światło latarki rozbłysło znowu. Człowiek i bestia czekali na to, by któreś z nich zrobiło pierwszy ruch.

I wtedy nad rzeką rozległ się wściekły skrzek i zgrzytanie małych kajmanów, świszczące, dziesięciokrotnie wzmocnione dźwięki. Wszyscy, którzy je słyszeli, czuli rozpacz młodych, oddzielonych od matki. Wszyscy podświadomie im współczuli, chociaż niektórzy wiedzieli, że to po prostu nagranie, a gdy zostało dokonane, małe oddano matce. Płacz małych kajmanów był przejmujący i brzmiał tak realistycznie, że zahartowani strzelcy wyborowi wstrzymali się z

otwarciem ognia na kilka sekund.

Kajman odwrócił się i trochę cofnął. Szeroko otworzył paszczę – musiał to być gadzi odpowiednik kompletnego zaskoczenia. Samica, też usłyszała płacz małych. Zrozumiała. I przypomniała sobie...

Susie pozostały może trzy sekundy życia. Zęby gada zbliżały się już do jej związanego ciała – najpierw odgryzą jej nogi. Nagle kajman cofnął się, jakby zapominając o ofierze. Samica nie zwracała już uwagi na światło latarki ani na reflektory, które naraz z różnych stron przeszły mrok, zalewając je potokiem blasku. Słyszała jedynie krzyk swoich młodych dzieci, które dwa dni temu straciła w dole rzeki. Teraz kryły się w mroku, tam poza tymi oślepiającymi światłami i samica musiała iść do nich.

– Ognia! – zawołał ktoś.

Palce spoczywające na spustach drgnęły i zamarły po raz drugi. Teraz strzelcy wyborowi zobaczyli leżącą dziewczynę, a gad ruszając do przodu, usunął jednocześnie Susie z linii ognia. Nieoczekiwanie jednak dla wszystkich, z krzaków wypadł mężczyzna w przemoczonych dżinsach i stanął, uniósłszy ramiona, pomiędzy kajmanem i patrzącymi na to ludźmi.

– Głupie bydlę!

Maurice Young nie zdawał sobie sprawy, że tuż obok znajduje się jeszcze ktoś. Twarz wykrzywił mu teraz koszmarny grymas, ale nie powodował go strach przed kajmanem. Widział jedynie, że dziewczyna, która

zdradziła ich sprawę, leżała związana i przygotowana na ofiarę, a bóstwo z głębin odtrąciło ten dar.

– Weź ją! – zakwiczał. – Ona nas zdradziła. Ona...

Samica kajmana, opętana pragnieniem odnalezienia swoich małych ruszyła do szarży.

Zejdź mi z drogi, człowieku!

Maurice Young, ogarnięty szaleństwem, pozostał na swoim miejscu. Pochyliwszy się kornie, wskazał dłonią na dziewczynę.

– Nie, jeszcze nie, tam...

Gad uderzył go głową, zwalając na ziemię przed sobą, a potem stratował, zwalając się na niego całym ciężarem swojego ciała. Brzuch Maurice'a wydał się jak balon, a potem pękł, rozbryzgując dookoła zakrwawione wnętrzności. Pędząca dalej bestia zostawiła szalonego ekstremistę, który wijąc się w drgawkach, wrzaskiem potwornego bólu ogłosił światu swoją śmierć.

Samica ryknęła głośno. *Już idę, maleństwa.* W ten sposób okazała również swą nienawiść i furję tym, którzy oślepiли ją swoimi potężnymi reflektorami. Zwierzę ruszyło już do ataku, głosząc wszystkim śmierć za to, co zrobili małym.

Philip w ostatniej chwili zdołał uskoczyć na bok. Kajman prawie go dopadł, ale rozległy się strzały i zwierzę trafiła pierwsza ich seria. Przeszyła jego skórę i mimo impetu całego cielska zatrzymała je w miejscu. Samica uniosła się na tylne łapy tak, że przez chwilę wyglądała jak postać z filmu SF, odtworzona „bestia z

głębokości dwudziestu tysięcy sążni”, powołana do życia jedynie po to, aby ją ponownie zabić.

Chwiejąc się i rycząc z bólu i nienawiści, zwierzę zdobyło się na jeszcze jeden wysiłek, choć spływało już obficie krwią. Znowu rozległy się strzały, nieomal z przyłożenia. W świetle reflektorów widać było czerwone rozbryzgi, a fontanna krwi tryskająca z otwartej paszczy kajmana przywodziła na myśl zionącego ogniem smoka.

Dyszająca żądzą zemsty bestia dopadła wreszcie wroga – jednego z żołnierzy. Wyciągnęła go z krzaków, podrzuciła wysoko i zmiażdżyła jednym kłapnięciem tak, że jego skrwawione ciało natychmiast zwiotczało. Ale inni nadal nieubłaganie nieustępliwie opróżniali magazynki. Pociski rozrywały łuski dziurawiły opancerzoną skórę.

W końcu zwierzę zważyło się na ziemię, na martwe ciało żołnierza. Zwinęło się niemal w kłęb. Z nozdrzy kajmana trysnęły dwa bliźniacze strumyczki krwi, paszcza otworzyła się i chlusnęła z niej purpurowa struga. Mimo to widać było, że bestia nie ma zamiaru się poddać. *Wzięliście mnie zdradą!* Moje dzieci są od dawna martwe!

Próbowała jeszcze dźwignąć się do ostatniej śmiertelnej szarży. Może znalazłaby jeszcze nieco sił, aby tego dokonać, gdyby nie ostatnia seria, która nieomal rozerwała jej głowę na kawałki. Oczy zwierzęcia zaszły mgłą i pustką. Nie widziały już niczego, ale nadal pełne były nienawiści. Samica poruszała jeszcze szczękami, lecz wysiłek ten spowodował jedynie kolejny krwotok:

Kajman odwracając pysk w kierunku wrogów, rzucił im ostatnie wyzwanie. *Zabijcie!*

Strzał grzmiącą eksplozją przetoczył się nad powierzchnią rzeki. *Coup de grace.*

Zwierzę opadło na brzuch i znieruchomiało.

Philip Grant ruszył ku Susie. Ominął martwą bestię i przekroczył ciało Maurice'a Younga. Trup ekstremisty leżał w poprzek ścieżki ze zgiętymi palcami zanurzonymi w ranie na brzuchu, jak gdyby w ostatnim wysiłku Maurice usiłował włożyć tam poszarpane wnętrzności. Martwe oczy patrzyły obojętnie w mrok nocy. Nawet śmierć nie potrafiła zetrzeć wyrazu szaleństwa z jego twarzy.

Philip pochylił się nad Susie, przeciął jej więzy scyzorykiem usunął knebel z ust dziewczyny. – Moje biedactwo. – Pocałował ją, czując, jak cała drży. – Już po wszystkim. On nie żyje. – Miał na myśli Maurice'a, nie kajmana. Kajman w końcu niczemu nie był winien.

Podniósł Susie Lee z ziemi i ruszył z nią ku pozostałym. Wokół kajmana zbierali się już żołnierze. Niektórzy trzymali jeszcze broń w pogotowiu. „Jezu” – pomyślał Philip – „jest już martwe, potraktujcie je więc choć teraz z godnością”.

Dookoła nich wszędzie zapalono światła, rzeka ponownie rozbłysła jak iluminowana. W górze, na parkingu koło elektrowni Philip ujrzał ambulans, którego światła właśnie zaczynały pulsować, jak gdyby dawały znak, że wszystko naprawdę już się skończyło.

Susie Lee wypuszczono ze szpitala dopiero po dwu dniach. Fizycznie nie doznała żadnych prawie obrażeń, ale minie wiele czasu, zanim wróci do równowagi psychicznej.

– Powiedziałam policji, że Maurice porwał mnie, żeby osiągnąć ciebie. Było to częścią jego szalonej i zwariowanej walki z tymi, którzy trzymają zwierzęta w niewoli. – Zdołała się lekko uśmiechnąć. – No cóż, w sumie była to prawda, a Maurice nie zaprzeczy temu na pewno. Nie – odpowiedział. – Myślę zresztą, że więcej nie będą cię niepokoić. W następnym tygodniu wszystkie te wydarzenia staną się już historią. Pojawią się nowe sensacyjne i pełne grozy historie i prosz Boga, abyśmy nie zostali w nie wplątani. A przy okazji. Alex sprzedaje swój interes.

– Nabywcy postawią tu następne zoo?

– Nie, to firma handlu nieruchomościami. Na tym miejscu powstanie prawdopodobnie osiedle pracownicze. Nie mogę powiedzieć, abym z tego powodu odczuwał smutek. Wiesz, Susie – objął dziewczynę – zmieniłem swój stosunek do chwytania w sieci albo usypiania zbiegłych z niewoli zwierząt.

– Tak? – spojrzała na niego.

– Te aligatory i kajmany, choć na krótko, zaznały jednak wolności. W większości nie znały niczego innego oprócz niewoli i nagle nieoczekiwanie uwolniono je. Po czymś takim ponowne wsadzenie ich za kraty byłoby

rzeczą o wiele okrutniejszą.

– Myślę, że masz rację. Zabawne, ale nigdy wcześniej nie pomyślałam o tym w ten sposób. Nie zastanawiasz się, tylko uwalniasz zwierzęta i myślisz, że skoro je wypuścisz, od razu automatycznie niejako – muszą być szczęśliwe. Ale te kajmany, gdy tylko znalazły się poza zoo, stały się obiektem polowania. Z dwojga złego lepiej było pozostawić je w klatce. A jednak nienawidzę ogrodów zoologicznych.

– Ja także, ale we dwójkę nie zmienimy systemu. Zawsze będą istniały ogrody zoologiczne i będziemy musieli się z tym pogodzić. Być *może* cała ta historia przyniesie choć taki efekt, że zakuci ekstremiści wyciągną z niej jakąś nauzkę. A przy okazji. Pamela przekazała mi wiadomość. Dostała pracę w lecznicy zwierząt – w laboratorium, gdzie przygotowuje się leki. Pomyślałem, że skoro tak dobrze radziłaś sobie do tej pory, może zechcesz spróbować tej pracy na stałe. Bylibyśmy kimś w rodzaju wspólników.

– Spróbuję! – Objęła go i przyciągnęła do siebie. Dla niej ta historia zakończyła się dobrze.